tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 18 (1169) ROK XXIII 4 MAJA 1980 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: Trzeba mieć wyobraźnię ■ Człowiek wobec paragrafu ■ Trudna wiosna ■ Romantyczne i zielone ■ U przyjaciół ■ W kręgu kultur i obyczajów ■ U źródeł teraźniejszości ■ Felietony ■ Recenzje ■ Załącznik

Rok 1905. Barykada w Łodzi przy ul. Południowej, obecnie Rewolucji 1905 r. (zdjęcie)

Drukowanie odezw (malarstwo)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TAMTEN MAJ

21 kwietnia 1905 roku — według nowego stylu, bo według starego było dopiero 8 kwietnia — na stacji Granica carscy żandarmi zatrzymali podejrzanego mężczyznę. Po wylegitymowaniu okazało się, że zatrzymanym jest poddany austriacki, **Teofil Domagała.** Po zajrzeniu do jego bagaży okazało się, że to kurier partyjny, wiozący pierwszomajowe ulotki i odezwy.

Naczelnik żandarmerii guberni piotrkowskiej, **L. Uthof** okazał się człowiekiem bardzo skrupulatnym i napisał w raporcie, że Teofila Domagałę zatrzymano „z transportem wydawnictw rewolucyjnych... na dzień 1 maja, wagi **2 pudy i 4 funty".** L. Uthof być może zdawał sobie sprawę, że niebezpieczestwo tego rodzaju literatury nie polega na jej ciężarze; podając wagę ładunku, 33,5 kg, chciał zwrócić uwagę zwierzchności na jej masowy charakter.

W ŁODZI

Teofil Domagała nie był jedynym kurierem, który z partyjnymi odezwami ruszył do Królestwa Polskiego. Do Warszawy, Łodzi i innych miast dotarły odezwy SDKPiD, PPS i innych partii robotniczych.

Zarząd Główny Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy zwracał się do robotników w takich słowach:

„W nadchodzący dzień wielkiego święta robotniczego, w dzień Pierwszy Maja, gdy robotnicy całego świata rzucają wezwanie do walki całemu porządkowi kapitalistycznemu i wypowiadają swe żądania na dziś, damy i my wyraz naszej woli nieugiętej walczenia aż do ostatka z samowładztwem

przez powszechne zawieszenie pracy.

Jak jeden mąż z porzuceniem pracy wygłaszamy nasze żądania!

Precz z samowładztwem!

Precz z wojną!

Niech żyje rewolucja!

Niech żyje republika ludowa i samorząd krajowy!

Niech żyje 8-godzinny dzień roboczy!

Niech żyje socjalizm!".

Z odezwą do robotników wystąpił również

Dalszy ciąg na str. 3

HENRYK PUSTKOWSKI

POETA WOBEC WSPÓŁCZESNOŚCI „światopoglądy" czy „strategie"?

Nie chciałbym wprowadzać całej skomplikowanej problematyki filozoficznej, która się wiąże z pojęciem **współczesności,** dlatego też proponuję, żebyśmy przyjęli na użytek tych rozważań semiotyczną koncepcję wedle której „współczesność" jest rozpoznanym i aprobowanym rejonem wartości wspólnych („naszych", „aktualnych", „przeżytych przez pokolenia"). „Współczesność" tak rozumiana nie jest jakimś zbiorem tematów jakie podrzuca nam dzisiejszość, ale zadaniem dla poety, od którego nie może się uchylić — i które (dodajmy) każdy poeta może realizować wedle własnych możliwości poetyckich, temperamentu literackiego oraz przyjętej techniki „poezjowania" Chciałbym zatem wykazać — w sposób możliwie jasny (dlatego proszę mi wybaczyć wszelkie uproszczenia, jakich nie brak w tym referacie), które wartości i w jaki sposób dochodziły do głosu w poezji polskiej okresu 1956—78. Postaram się swoje spostrzeżenia ująć w formę kilku tez, pewnych loci communes — komunałów krytyki literackiej — dodając w kilku miejscach własną korektę do stwierdzeń na pozór oczywistych. Oto tezy:

I. NIESPÓJNOŚĆ KULTURY POLSKIEJ

Jeśli uwierzymy J. Lotmanowi, że „kultura jest niedziedziczoną pamięcią społeczeństwa znajdującą swój wyraz w określonym systemie zakazów i nakazów" — to owa „nieciągłość" stanowiąca ramę interpretacyjną wstępnej tezy jest konieczną cechą dynamiczności kulturowej. Kultura bowiem — w przeciwieństwie do cywilizacji — rozwija się i wytwarza nowe wartości nie wedle linearnego i sumarycznego modelu, ale na drodze ciągłych aktywnych odpoznań, stwarzania konstelacji o względnym stopniu stabilności, które w płynnym uniwersum zjawisk i zdarzeń budują wysepki tego co „nasze", „teraźniejsze" „wartościowe", wysepki — dodajmy — skazane na zanik zagrożone erupcją, katastrofą zapowiadającą wszakże możliwość wytworzenia się nowego atolu — nowych wartości kulturowych. Jest to dialektyczny proces wytwarzania się wartości kulturowych. Nie o taką nieciągłość jednak nam tu idzie. Nieciągłość kultury polskiej ma swoje przyczyny „zewnętrzne", w sposób brutalny ingerujące w naturalny porządek „walki przeciwieństw". Spośród tych zewnętrznych czynników niespójności wyróżniłbym następujące:

a) wojnę, która w sposób katastrofalny wyniszczyła potencjał wartości kulturowych,

b) tzw. epokę schematyzmu w literaturze (lata 50) wprowadzającą zunifikowany model kultury oraz system dyrektyw opartych na decyzjach „odgórnych",

c) „tabuizację" pewnych rejonów kultury doprowadzającą do podziału na literaturę „oficjalną" oraz „nieoficjalną",

d) wykorzystanie rozpoznanych elementów kulturowych (np. tradycji literackiej) dla celów strategii literackiej a nie dla celów płodnego dialogu wytwarzającego pole wartości wspólnych (światopoglądów literackich). Za przykład niech posłużą mechanizmy „wmanewrowania" dla celów własnych strategii takich elementów tradycji literackiej jak barok (J.M. Rymkiewicz), barok sarmacki (E. Bryll), próba budowania poezji kubistycznej, nowy ekspresjonizm, walki o nowy klasycyzm czy romantyzm itd. Są to etykietki *), jakimi często posługiwali się poeci nie zdając sobie chyba sprawy z tego, że etykietka raz wytworzona ma

Dalszy ciąg na str. 10

TRZEBA MIEĆ WYOBRAŹNIĘ

Rozmowa z kierowcą I Oddziału Towarowo-Spedycyjnego PKS w Łodzi SEWERYNEM CIEŚLAKIEM

— Lubi pan swój zawód?

— Lubię.

— Jest pan kierowcą z zamiłowania?

— Nie. Z przypadku. Pochodzę ze wsi. Pod koniec wojny umarła mi matka. Zostałem sam z bratem. Wziął mnie wujek do Żarnowa. U niego uczyłem się obsługiwać starą, poniemiecką maszynę Jeździliśmy z tą maszyną po wsiach i wynajmowaliśmy się do młócenia. Pod koniec 1948 roku osiedliliśmy się w Łodzi. Zacząłem pracować w obecnych zakładach Dzierżyńskiego. Jednocześnie uczyłem się prowadzić samochód. Ukończyłem kurs, zacząłem jeździć.

Później było wojsko. Po wojsku zacząłem pracować w PKS. I pracuję do dziś.

— Ile to już lat?

— Trzydzieści. Ale do emerytury jeszcze daleko. Wcześnie zacząłem.

— Ile kilometrów przejechał pan przez ten czas?

— Jakoś nigdy tego nie liczyłem. Ale tak sądząc po samochodach, którymi jeździłem przez te 30 lat, to przejechałem więcej niż 3,5 miliona kilometrów.

— Za granicę pan też jeździł?

— Nie. Wolę jeździć po Polsce.

— Czy to są stale te same trasy?

— To są bardzo różne trasy. Bywa i tak, że kilka razy pod rząd przyjdzie jeździć tą samą. Na przykład na Śląsk. Ale później przychodzą inne, jedzie się do Rzeszowa, do Szczecina, albo w innym kierunku.

— Co pan wozi?

Dalszy ciąg na str. 4—5

W IMIĘ PRZYJAŹNI

Na zdjęciu — sekretarz KŁ PZPR, Genowefa Adamczewska, prezydent miasta Łodzi, Józef Niewiadomski (z prawej) i Jerzy Wawrzak w chwili wręczania odznaki.

Foto: R. Łucyszyn

Redakcję naszą spotkało zaszczytne wyróżnienie: decyzją Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej otrzymaliśmy honorową odznaką tej organizacji. Aktu dekoracji dokonał przewodniczący ZŁ TPPR, prezydent miasta Łodzi, Józef Niewiadomski, podkreślając w swym wystąpieniu zasługi naszego tygodnika w szerzeniu przyjaźni Polski z narodami Związku Radzieckiego.

Na spotkanie w redakcji przybyli liczni działacze tej organizacji, współpracujący z nami tłumacze i pisarze, dziennikarze podejmujący w swoich publikacjach radziecką tematykę, dla której często otwieramy swoje łamy.

Podczas spotkania zabrała głos sekretarz KŁ PZPR Genowefa Adamczewska, która życzyła „Odgłosom" powodzenia w pracy nad jeszcze wszechstronniejszym i ciekawszym ukazywaniem problematyki Kraju Rad na łamach pisma.

W imieniu zespołu „Odgłosów" redaktor naczelny, Jerzy Wawrzak, podziękował za dostrzeżenie naszych wysiłków w popularyzowaniu kultury naszych wschodnich przyjaciół i przybliżeniu polskiemu czytelnikowi obrazu codziennego życia ludzi radzieckich.

Tematyce Związku Radzieckiego „Odgłosy" poświęcały wiele miejsca od początków swego istnienia. Były to przede wszystkim reportaże i relacje z podróży, stopniowo rozszerzyliśmy naszą uwagę na osiągnięcia radzieckiej poezji i prozy, drukowaliśmy też wywiady z ludźmi radzieckiej kultury i nauki. Radzieckie wiersze, opublikowane na naszych łamach tylko w ostatnich latach, z pewnością mogłyby się złożyć w interesującą antologię współczesnej poezji rosyjskiej, białoruskiej, gruzińskiej i azerbejdżańskiej, a nawet narodów tak dla nas egzotycznych jak Awarowie czy Bałcharzy. Wielka to zasługa działających w Łodzi tłumaczy, takich, jak: Igor Sikirycki, Tadeusz Chróścielewski, Jan Huszcza, Józef Maciej Kononowicz, Stanisław Kaszyński, Wasyl Kocznow, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Roman Gorzelski, Jerzy Wilmański i wielu, wielu innych, którzy pilnie śledzą wszystkie nowości radzieckiej literatury. To nie przypadek, że właśnie w Łodzi ukazała się pomnikowa antologia poświęcona Polsce w radzieckiej poezji i inna, poświęcona obrazowi Związku Radzieckiego w poezji polskiej.

Szczególnie cieszy nas stała wymiana kolumn z gazetą „Raboczij Kraj" z zaprzyjaźnionego z Łodzią miasta Iwanowo. Wymianę tę będziemy z satysfakcją kontynuować, prezentując nowe wiersze i opowiadania naszych radzieckich kolegów.

Przyjmując z satysfakcją Złotą Honorową Odznakę Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej będziemy nadal starali się szeroko ukazywać najciekawsze dokonania nauki, kultury i sztuki naszych przyjaciół, służąc szlachetnej idei zbliżenia między narodami.

* * *

Włókniarskie zespoły muzyczne włączyły się do społecznej akcji zbiórki funduszów na budowę Specjalistycznego Szpitala Dziecięcego w Łodzi. Na zespoły amatorskie działające przy Międzyzakładowym Domu Kultury Włókniarzy „Lodex" zobowiązały się do gratisowego koncertowania. Na ten właśnie cel przeznaczone będą dochody z występów kabaretu „Bi-Ba-Bo" i chóru „Włókniarskie słowiki".

* * *

Rozegrano finał wojewódzki konkursu czytelniczego Ligi Kobiet pod hasłem **„35-lecie PRL w literaturze pamiętnikarskiej"**. Zwyciężczynią tych eliminacji została pracownica Fabryki Dywanów „Dywilan" — **Joanna Krzemińska**. Warto podkreślić, że połowę uczestników konkursu stanowiła młodzież szkolna.

* * *

Poleski Zarząd TPŁ i Wydział Oświaty i Kultury Łódź-Polesie ogłosiły konkurs fotograficzny pod nazwą „Stare i nowe Polesie". Termin zgłoszeń upływa 30 września br. Adres organizatorów — Poleski Dom Kultury, al. 1 Maja 87.

* * *

19 kwietnia otworzył swoje podwoje „Lunapark" w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu. U schyłku roku Łódź ponownie otrzyma lokal „Maxim" tym razem przewiduje się w nim nocny klub-dyskotekę i lokal gastronomiczny „na poziomie".

* * *

31-osobowa delegacja łódzkiego środowiska plastycznego weźmie udział w trwającym od 14 do 16 maja we Wrocławiu Walnym Zjeździe Delegatów Związku Polskich Artystów Plastyków. Łódzcy artyści uczestniczyć będą również w Kongresie Upowszechniania Kultury Plastycznej.

Jak poinformowano na konferencji prasowej w ŁO ZPAP, łódzcy plastycy podejmą w dyskusjach przede wszystkim problematykę projektowania i wzornictwa przemysłowego (zwłaszcza w przemyśle lekkim). Z najnowszych i planowanych inicjatyw łódzkiego środowiska plastycznego wymienić należy m. in. podpisanie umowy o współpracy między ZPAP w Łodzi, PWSSP, a RSM „Lokator" o współdziałaniu w kształtowaniu wyglądu łódzkich osiedli mieszkaniowych, oraz przygotowanie w Łodzi ogólnopolskiej giełdy wzornictwa przemysłowego (2—7 czerwca br.) na której zgromadzone zostaną nowe wzory stanowiące ofertę dla przemysłu.

* * *

Na VI Międzynarodowym Triennale Fotografii pn. „Teatr w sztuce fotograficznej" — w Nowym Sadzie, w Jugosławii — I nagrodę i złoty medal w grupie tematycznej „Atmosfera teatru" zdobył **Włodzimierz Małek** z Łodzi (za cykl „Za kulisami"). Nagrodzony zestaw wykonany został w czasie trwania V Międzynarodowych Spotkań Baletowych w Łodzi.

* * *

W dniach od 15 do 17 maja br. trwać będzie w Łodzi I Ogólnopolski Przegląd Filmów Przyrodniczych o Nagrodę im. Włodzimierza Puchalskiego. Integralną częścią przeglądu będzie sesja popularnonaukowa, poświęcona zagadnieniom warsztatowym retrospektywa dorobku Wł. Puchalskiego oraz prezentacja dokonań zagranicznych. Organizatorami przeglądu będą: Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, Muzeum Zakładu Ewolucjonizmu i Antropologii UŁ i łódzkie zoo.

* * *

Ogłoszono wyniki XV Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Zawodowych Małych Form w Szczecinie. Wielką nagrodę — przyznawaną w drodze plebiscytu publiczności — wraz z symboliczną statuetką otrzymał spektakl Teatru im. Stefana Jaracza z Łodzi pt. „Kwartet" wg. Bogusława Schaffera w reż. Mikołaja Grabowskiego. Ten sam spektakl otrzymał również nagrodę ministra kultury i sztuki. Nagrodę za najciekawszą kreację aktorską — przyznaną przez szczecińską stocznię — zdobył również łodzianin Leszek Benke, twórca monodramu wg. „Konopielki" Edwarda Redlińskiego.

KRONIKA KULTURALNA

Poszukując nowego, wartościowego repertuaru, Redakcja Nagrań PR i Tv w Łodzi wspólnie z Estradą Łódzką i Oddziałem Łódzkim Związku Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych ZAKR, postanowiły nawiązać do tradycji cieszącej się przed laty dużym powodzeniem „Giełdy piosenki" i ogłaszają cykliczny konkurs na piosenkę, który każdorazowo będzie rozstrzygany podczas publicznego koncertu.

Konkurs jest otwarty, dostępny zarówno dla członków związków twórczych, jak i osób niezrzeszonych. Organizatorzy nie ograniczają liczby nadsyłanych utworów, ani nie określają bliżej ich charakteru, piosenki nie mogą jednak być wcześniej publikowane bądź wykonywane.

Rozpatrywane będą utwory łączne (muzyka z tekstem podpisanym pod nutami) na głos z fortepianem lub głos z sekcją rytmiczną, do nut należy dołączyć tekst w 5 egzemplarzach maszynopisu. Materiały w terminie do 20 maja można przesyłać na adres Redakcji Nagrań PR i Tv w Łodzi, ul. Narutowicza 130, bądź Oddziału Łódzkiego ZAKR, Moniuszki 5.

Specjalnie powołane jury przyzna po koncercie, którego data podana zostanie w terminie późniejszym, nagrody w wysokości 9, 7 i 5 tys. zł. Dopuszczalny jest inny podział nagród. Wyróżnione prace mogą być zakupione przez Estradę Łódzką bądź nagrane w Rozgłośni PR w Łodzi.

Ponieważ Oddział Łódzki ZAKR obejmuje swoim zasięgiem działania również województwa kieleckie, piotrkowskie, radomskie, sieradzkie i skierniewickie — organizatorzy zapraszają do konkursu również twórców z tych województw.

GIEŁDA PIOSENKI

WIZYTA BERLINER ENSEMBLE

Po raz drugi organizowane są w Polsce w dniach od 28 kwietnia do 28 maja br. Międzynarodowe Spotkania Teatralne. Odbędą się one na scenach Warszawy, Krakowa, Łodzi i Poznania, zaprezentowane zostaną podczas nich najwybitniejsze osiągnięcia twórcze krajów Europy, Ameryki i Azji.

Łódź gościć będzie 6 i 7 maja br. słynny, założony w 1948 roku przez Bertolta Brechta, BERLINER ENSEMBLE.

W pierwszym dniu, na scenie Teatru Wielkiego, Berliner Ensemble przedstawi dramat Volkera Brauna „Wielki pokój" będący poetycką przypowieścią o władzy i rewolucji, opartą na autentycznych wydarzeniach z III wieku p.n.e., z okresu panowania dynastii Han w Chinach. Reżyserami przedstawienia są MANFRED WEKWERTH i JOACHIM TENSCHERT. W roli głównej bohatera Gau Tsu wystąpi ECKEHARD SCHALL.

7 maja, na scenie Teatru Nowego, aktorzy Berliner Ensemble wystąpią z „Wieczorem brechtowskim", zatytułowanym „O życzliwości świata", złożonym z songów, wierszy i fragmentów utworów scenicznych założyciela tej sceny. Reżyseria — Peter Konwitschny. Aktorom towarzyczy Orkiestra Berliner Ensemble.

Na zdjęciu: scena z przedstawienia „Wielki pokój".

Foto: Vera Tenschert

LISTY DO REDAKCJI

„Dramat Woronowskich"

Odpowiadając na Wasz artykuł „Dramat Woronowskich", zamieszczony w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy" z dnia 16 marca 1980 r., dotyczący sprawy mieszkaniowej rodziny Ob. Woronowskiego Stanisława, informuję, że ponownie zebrano dokumenty dotyczące dochodów uzyskanych przez w/w rodzinę za okres ostatnich 12 miesięcy (...).

W wyniku rozmowy przeprowadzonej z Ob. Woronowskim w dniu 11 kwietnia 1980 r. ustalono, że Ob. Woronowski Stanisław nie wyraża zgody na przyjęcie lokalu spółdzielczego ze względu na brak pieniędzy potrzebnych na wkład mieszkaniowy w Skierniewickiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Skierniewicach oraz wysoki czynsz.

Oświadczył, że rezygnuje z mieszkania spółdzielczego i prosi o przydział mieszkania spółdzielczego na rzecz jego córki, Janiny Rydz, która zamieszkuje wspólnie z nim.

Rodzina córki składa się z 4 osób, Ob. Janina Rydz, zatrudniona jest w Rejonowym Przedsiębiorstwie Melioracyjnym w Skierniewicach i złożyła pierwsze podanie do dyrektora w/w przedsiębiorstwa o przydział lokalu spółdzielczego z puli zakładu pracy w dniu 26.02. 1980 r. Podanie to zostało pozytywnie zaopiniowane przez tutejszy Urząd Miejski.

Po uzgodnieniu z dyrektorem Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego w Skierniewicach przydzieliłem do dyspozycji w/w. przedsiębiorstwa jedno mieszkanie spółdzielcze typu M-3 w bloku rotacyjnym dla młodych małżeństw przy ul. W. Wasilewskiej nr 12 m. 28 w zamian za pomoc, jaką udzieliło to przedsiębiorstwo w realizacji spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego 1979 r.

Dyrektor przedsiębiorstwa, pismem nr NE 95/80 z dnia 14.04. 1980 r. wytypował do zasiedlenia w/w. lokalu rodzinę Ob. Rydz Janiny. Na wniosek dyrektora skierowałem Ob. Rydz Janinę do zasiedlenia w/w lokalu w dniu 14.04. 1980 r.

Jednocześnie informuję, że Ob. Janina Rydz mimo że miała założoną książeczkę mieszkaniową w 1971 r., złożyła podanie o przydział pomieszczenia dopiero 30 maja 1979 r.

Ze względu na zbyt małe uzyski mieszkań ze starego budownictwa nie miałem możliwości w 1979 roku przydzielenia rodzinie Ob. Rydz Janiny pomieszczenia zastępczego.

Informuję, że o przydział pomieszczeń zastępczych ubiega się 131 rodzin, które nie posiadają własnych mieszkań. Średni okres oczekiwania na przydział pomieszczenia zastępczego wynosi 3 lata.

Trudną sytuację mieszkaniową na terenie miasta Skierniewic pogarsza fakt złego stanu technicznego budynków mieszkalnych, których jest w mieście ok. 70. W budynkach tych zamieszkuje 256 rodzin, które winny być natychmiast wyprowadzone.

A więc w tragicznych warunkach mieszkaniowych w Skierniewicach nie zamieszkiwała tylko rodzina Woronowskich lecz setki rodzin, które oczekują na przydział mieszkań.

Budownictwo rad narodowych nie jest realizowane od 1975 r. Na powyższy cel przydziela się corocznie ok. 30 mieszkań spółdzielczych przyznawanych w ramach puli mieszkań spółdzielczych decyzją wojewody skierniewickiego i uwzględnia się budynki o najgorszym stanie technicznym.

W tej sytuacji problem mieszkaniowy rodzin zamieszkujących w budynkach przeznaczonych do rozbiórki nie zostanie rozwiązany w Skierniewicach przez najbliższe kilka lat.

PREZYDENT M. SKIERNIEWIC
(—) mgr Tadeusz Zakrzewski

* * *

Szanowna Redakcjo!

Nawiązując do ciekawych wspomnień refleksyjnych Feliksa Bąbola „W styczniu i później" (Odgłosy, nr 12 z 23.03 80) warto by może dodać jeszcze jedną pozycję bibliograficzną Stanisława Rachalewskiego (no, bo skoro został wspomniany i skoro mowa o miłej sercu memu Łodzi...).

Tą pozycją jest „Baśń i legenda Łodzi", Łódź 1935, 8° s. 182, wydana nakładem księgarni S. Seipelt Sp. z ogr. odp. w Łodzi. Są tam rozdziały przestrzałe, niedzisiejsze, ale całość powstała z ogromnej miłości do tego miasta. Dla badaczy cenna ze względu na podane „Źródła" do tematu, liczące 45 pozycji.

KRYSTYNA GUZIK
Polanica, Zakopiańska 12

Żądajmy errat

Redaktor Widok w 15 numerze „Odgłosów" poruszył nader istotną sprawę erraty, tj. wykazu błędów, dostrzeżonych już po wydrukowaniu dzieła. Refleksje swoje kończy Widok dość optymistycznie, acz nie bez ironii: „I choć radość z zakupionej książki mąci mi karteczka z erratą — to i tak wolę książkę z erratą niż... samą tylko erratę".

Jest to optymizm być może uzasadniony w przypadku beletrystyki, gdzie błąd łatwo wykryć nawet bez pomocy erraty, i gdzie niewyłapanie błędu nie pociąga za sobą poważniejszych następstw.

Zagadnienie erraty ma jednak drugą, ciemną stronę. A jest nią n i e k o m p l e t n a errata lub jej b r a k, w książkach naukowych i podręcznikach. Nie ma autora, który by błędu nie popełnił, on m u s i popełniać błędy, co udowadnia rachunek prawdopodobieństwa. Na wydawcy jednak leży obowiązek dobrania recenzentów na tyle fachowych, aby błędy merytoryczne wychwycili na etapie maszynopisu i dalej — obowiązek wyegzekwowania od autora niezbędnych poprawek i uzupełnień. Na koniec zaś wydawca — mając dzieło gotowe, powinien je raz jeszcze przekazać w ręce niezaangażowanych ekspertów, którzy by je wnikliwie przestudiowali pod kątem sporządzenia erraty. A tymczasem nie takiego się nie dzieje. Wychodzą w świat książki z błędami typu „literówek", z pominiętymi słowami lub poprzestawianymi wierszami (wina korekty i drukarni), ale wychodzą też książki z poważnymi i kompromitującymi błędami merytorycznymi. Zapoznanie się z końcowymi zdaniami wielu recenzji, ukazujących się na łamach czasopism fachowych dowodzi, że zjawisko jest raczej pospolite, z tendencjami do nasilania się.

Nieszczęście polega jednak na tym, że recenzje książki naukowej ukazują się najwcześniej po roku od jej opublikowania, a bywa, że i dopiero po trzech latach. Posiany więc błąd — trudny do zidentyfikowania przez czytelnika który nie jest ekspertem — ma idealne warunki do plenienia się, jak ów przysłowiowy perz.

Nie powinno być na to zgody. Książka zawsze miała charakter produktu i towaru szlachetnego. Nie powinniśmy się godzić na jego dewaluowanie. Książki naukowe drukuje się u nas długo, po 2—3 lata. Dodatkowa więc zwłoka o miesiąc czy dwa — na sporządzenie wyczerpującej erraty i jej dołączenie do dzieła — już niewiele opóźni, a wiele pomoże.

Osobne zagadnienie stanowią książki wybrakowane — z pominiętymi lub zdublowanymi składkami, z niezadrukowanymi stronami, z bohomazami w miejsce fotografii itd. Stanowczo za dużo jest tych braków na ladach księgarskich.

Każdy z nas, czytelników, rozumie trudności z papierem, poligrafią farbami itp. Tym bardziej nie powinniśmy tolerować marnotrawstwa, jakim jest bylejakie drukowanie, składanie i oprawianie, oraz szczególnie nagannego s z k o d n i c t w a — jakim jest wypuszczanie w świat książki naukowej z błędami. Protestujemy przeciw tandecie na rynku księgarskim.

Błąd i nonsens w książce może oznaczać błędy i nonsensy w działaniu i produkowaniu. Brak erraty na papierze może oznaczać spore straty w realnej codzienności, straty jak najbardziej materialne.

J.S. Knypl

* * *

W odpowiedzi na notatkę prasową pt. „Ekspres z zadyszką" zamieszczoną w Odgłosach dnia 27.01.80 r. dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, że winę za opóźnione doręczenie przesyłki poleconej nr 5434 ekspres - ponoszą pracownicy ekspedycji UPT Łódź 1.

W stosunku do winnych powyższej nieprawidłowości zostały wyciągnięte konsekwencje służbowe. (...)

Powiadamiając o powyższym dyrekcja przeprasza zainteresowanych za kłopoty spowodowane z winy naszych pracowników.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAIER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

TAMTEN MAJ

Dalszy ciąg ze str. 1

Centralny Komitet Robotniczy Polskiej Partii Socjalistycznej:

„Towarzysze! Musimy koniecznie okazać naszym wrogom naszą gotowość do walki. Musimy pokazać naszym braciom robotnikom całego świata, którzy z drżeniem serca śledzą przebieg naszej walki z carską przemocą, że nie ugięliśmy się i nie ugniemy się w tej walce, że jesteśmy gotowi na wszelkie ofiary w imię idei i że mamy już wielką siłę. (...)

Niech w dniu pierwszego maja zagrzmią potężnym echem nasze hasła bojowe:

Precz z wyzyskiem!

Precz z tyrańskim, krwiożerczym rządem najezdniczym!

Niech żyje wolna Polska ludowa!

Niech żyje socjalizm!".

W kwietniu 1905 roku strajkowali w Łodzi robotnicy Łódzkiej Manufaktury Niciarnianej oraz fabryki Heinzla i Kunitzera. Dochodziło do licznych starć z policjantami i wojskiem.

1 kwietnia 1905 roku bojowiec PPS **Józef Szurgot** rzucił bombę na komisarza II cyrkułu **Szałatowicza.** Zamachowiec zginął, Szałatowicz został ciężko ranny.

W połowie kwietnia 1905 roku zastrajkowali lokatorzy, którzy samowolnie obniżyli komorne i nie chcieli płacić innego.

Pod koniec kwietnia doszło do starcia na ulicy Wolborskiej z patrolem wojskowym, czterech robotników odniosło rany.

Dokonano zamachu na rewirowego Kirejenkę.

12 kwietnia 1905 roku policmajster M. Łodzi, radca stanu **I. Chrzanowski** donosił uprzejmie gubernatorowi piotrkowskiemu **A. Arcimowiczowi** o nastrojach panujących wśród łódzkich robotników:

„...rząd rosyjski dopuszcza się na każdym kroku jakiegoś niemoralnego czynu, na który trzeba koniecznie odpowiadać terrorem, toteż każdy, kto czuje się moralnie zobowiązany do zemszczenia się na kimkolwiek przy pomocy terroru, ma prawo dokonywać aktów terrorystycznych bez zgody organizacji, z własnej inicjatywy i na własne ryzyko".

Takich opinii dostarczyli carskiej policji liczni agenci dość gęsto rozstawieni wśród rewolucyjnie nastawionych robotników. Nic więc dziwnego, że pośpiesznie ściągano do Łodzi wojsko, a wicegubernator kaliski, **Pilc,** zwrócił się do sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, aby na czas letnich ćwiczeń pozostawić w Kaliszu, Sieradzu, Łęczycy, Wieluniu i Koninie wzmocnione garnizony.

W ŁÓDZKIEJ MANUFAKTURZE NICIARNIANEJ

Strajk powszechny sparaliżował życie Łodzi. 27 stycznia 1905 roku przybył do Łodzi gubernator piotrkowski M. Arcimowicz. Sytuacja była poważna. 10 lutego 1905 roku odbyło się w Grand Hotelu spotkanie wielkich przemysłowców. Zobowiązali się oni do wprowadzenia 60-godzinnego tygodnia pracy (to znaczy, że dzień roboczy miał wynosić 10 godzin), a także dać robotnikom podwyżkę płacy od 5 do 15 procent przy zachowaniu dotychczasowej stawki tygodniowej, jako podstawy do obliczenia podwyżki. 23 lutego zakończył się strajk powszechny, choć nadal trwał w małych fabrykach; strajkowali też rzemieślnicy, kolejarze, roznosiciele gazet, piekarze.

Postanowień podjętych 10 lutego 1905 roku w Grand Hotelu przez wielkich łódzkich fabrykantów nie respektował zarząd Towarzystwa Akcyjnego Łódzkiej Manufaktury Niciarnianej. 12 marca uzgodniono z delegatami fabrycznymi, że robotnicy wrócą do pracy na starych warunkach, a zarząd w ciągu 14 dni opracuje nowe i przedstawi je delegatom. Następnego dnia dwie trzecie robotników łódzkiej Manufaktury Niciarnianej przystąpiło do pracy.

Robotnicy domagali się zmniejszenia dnia pracy z 11,5 godzin do 10 oraz 15-procentowej podwyżki. 7 kwietnia zarząd Towarzystwa Akcyjnego Łódzkiej Manufaktury Niciarniej wymówił pracę wszystkim robotnikom z 14-dniowym terminem realizacji od chwili powiadomienia.

13 kwietnia 1905 roku robotnicy tej fabryki wystosowali do gubernatora piotrkowskiego M. Arcimowicza skargę, w której między innymi pisali:

„Zebraliśmy się w kilku i poszliśmy z prośbą do fabrykanta prosząc go o spełnienie obietnicy, lecz fabrykant nie tylko, że nas przepędził, ale jeszcze powiedział, że jeśli chcemy, to możemy otrzymać wynagrodzenie i podwyższenie zarobków nahajkami kozackimi.

Czy to takie prawo nadał nam Jego Cesarska Mość, czy to takie mamy prawa, my poddani rosyjscy, żeby cudzoziemcy, jak ów dyrektor fabryki — obcy poddany, mieli władzę rozkazywać kozakom bić nahajkami nas, poddanych rosyjskich i wiernych cesarzowi, bez najmniejszej winy?".

Skargę tę podpisali między innymi: **Antoni Wasiński, Andrzej Hrustowski, Antoni Bojan, Kazimierz Pestkowski, Ludwik Jarządka.**

Dyrektorem-cudzoziemcem Łódzkiej Manufaktury Niciarnianej, był **W. Buckley.**

Gubernator piotrkowski M. Arcimowicz nakazał inspektorowi fabrycznemu 6 obwodu, **N. Iwanowowi** zbadać sprawę i wyniki badań przekazać sobie do wiadomości. N. Iwanow stwierdził w raporcie, że fabrykant trzyma się litery prawa i pod tym względem nic mu nie można zarzucić. Moralnie jednak postępuje nagannie. Ze względu na to, że to naganne moralnie postępowanie trzyma się litery prawa, on N. Iwanow nie widzi, w jaki sposób można byłoby pomóc robotnikom.

Strajk—lokaut w Łódzkiej Manufakturze Niciarnianej trwał do 13 lipca 1905 roku.

11 kwietnia za przykładem robotników Manufaktury Niciarnianej zastrajkowali robotnicy fabryki Heinzla i Kunitzera. Strajk—lokaut w tej fabryce trwał do 16 maja 1905 roku.

W czasie strajku konsul generalny Wielkiej Brytanii zwrócił się do władz carskich z prośbą o ochronę mienia i życia obywateli brytyjskich, którzy mieszkali i pracowali w Łodzi. Opiekę taką władze gubernialne zapewniły.

W KRÓLESTWIE POLSKIM

Wychodzący w Warszawie „Tygodnik Ilustrowany" wydał 22 kwietnia 1905 roku numer z okazji zbliżających się świąt Wielkiej Nocy. Na pierwszej stronie zamieszczono reprodukcję obrazu F. M. Wygrzywalskiego „W Wielką Niedzielę" oraz wiersz Kazimierza Glińskiego „Alleluja". Drukowano 15 odcinek powieści Władysława Reymonta „Chłopi" i rozpoczęto druk „Rupieci" Marii Rodziewiczówny.

„Tygodnik Ilustrowany" wiele uwagi poświęcał korespondencjom i wiadomościom z Dalekiego Wschodu. Działał tam specjalny korespondent pisma — dr Jerzy Gliński. W numerze znalazła się fotografia pancernika flagowego japońskiego admirała Togo. Pancernik nosił nazwę „Mikasa".

Wojna japońsko-rosyjska rozpoczęła się formalnie od ataku japońskiego na Port Artur w nocy z 21 na 22 lutego 1904 roku. Walki trwały również w Mandżurii. Rząd carski wiązał wielkie nadzieje z wojną i dlatego umiejętnie ją prowokował. Sądzono, że zwycięstwa odniesione w walce z Japończykami wzmocnią autorytet caratu i odwrócą uwagę od narastających sprzeczności wewnętrznych, konfliktów narodowościowych i klasowych. Ale tymczasem sukcesy odnosili Japończycy.

Generał Anatol Stoessel poddał Port Artur w styczniu 1905 roku.

„Upadek Portu Artura — napisał Włodzimierz Lenin — stanowi jedno z największych historycznych podsumowań zbrodni caratu, które zaczęły wychodzić na jaw już na początku wojny, a obecnie ujawniać się będą jeszcze szerzej, jeszcze bardziej niepowstrzymanie".

10 marca 1905 roku zakończyła się bitwa pod Mukdenem. Była to największa klęska armii rosyjskiej.

W Królestwie Polskim uważnie nasłuchiwano wieści z Dalekiego Wschodu. Klęski ponoszone przez Rosję dawały różnym ugrupowaniom politycznym różne nadzieje. Zaostrzały jednocześnie walkę klasową. Rząd carski wzmagał represje. Ciężar przegrywanej wojny spadał na barki pracujących, wzmagając ich walkę z uciskiem kapitalistycznym.

27 maja 1905 roku japoński admirał Togo, którego pancernik flagowy „Mikasa" zaledwie kilka dni temu eksponował „Tygodnik Ilustrowany", rozgromił flotę rosyjską pod Cuszimą.

Wydarzenia w kraju potoczyły się wszakże w zupełnie innym kierunku niż to sądzili ludzie sympatyzujący z poglądami wyrażanymi na łamach „Tygodnika Ilustrowanego", gdzie swoje „Kroniki tygodniowe" publikował Bolesław Prus.

W ŁODZI

Odezwy i ulotki pierwszomajowe pojawiły się w Łodzi 30 kwietnia 1905 roku. Odezwę do robotników wydał również Łódzki Komitet Robotniczy PPS.

Policja carska uważnie zbierała sygnały i doniesienia swoich agentów o przygotowaniach do obchodów 1 Maja. Agenci uprzedzili, że przygotowywane są cztery duże demonstracje: o godzinie 11 na ulicy Południowej między Targową a Widzewską (J. Kilińskiego), o 13 na Nowym i Górnym Rynku, o 16 znów na ulicy Południowej i o 18 na ulicy Aleksandryjskiej (Bohaterów Getta). Do tych rejonów wysłano silne patrole wojska i żandarmerii. Jedynie na ulicy Aleksandryjskiej, mimo obecności wojska i policji, nie udało się zapobiec demonstracji.

W maju 1905 roku, według danych carskiej policji w fabrykach łódzkich zatrudnione były 62 444 osoby 1 maja 19 566 pracowników nie stawiło się do pracy; 2 422 osoby nie przystąpiły do pracy w godzinach od 9 do 10 rano, 9 274 osoby nie wróciły do pracy po przerwie obiadowej. Jak dziś obliczają historycy, 1 maja 1905 roku strajkowało 48 procent robotników łódzkich fabryk.

Demonstracje zaczęły się już we wczesnych godzinach rannych. O godzinie 6 pojawili się demonstranci na ulicy Milionowej. Nieśli czerwony sztandar z napisem: **„Niech żyje 1 maja. PPS".** Wszystkie hasła sygnowane były przez poszczególne partie. Na widok zbliżającego się wojska, demonstranci zarzucili sztandar na druty telefoniczne, a sami rozeszli się. Policja zdjęła sztandar z drutów.

O 6.30 na Górnym Rynku demonstrowali Żydzi. Rozpędzając demonstrację policja zatrzymała **Beniamina Perczyka** i 20-letnią pończoszarkę **Rachelę,** córkę **Hersza.**

Następne demonstracje odbyły się między godziną 9.30 a 11.30. Demonstrowano na Wodnym Rynku. Przyłączyło się tam 1 462 robotników z fabryki K. Scheiblera. Demonstranci poszli Główną do Widzewskiej i dalej w kierunku Przejazdu (J. Tuwima). Demonstrantów zbierających się na Rynku Bałuckim, na ulicy Łąkowej i na Widzewskiej w pobliżu ulicy Średniej (M. Nowotki) rozpędziła policja i wojsko.

O godzinie 13 dragoni rozpędzili demonstrantów zbierających się na ulicy Piotrkowskiej przy rogu ulicy Południowej (Rewolucji 1905 roku), na Aleksandryjskiej i Starym Rynku. Wracających do cyrkułu dragonów robotnicy obrzucili kamieniami. W tym samym czasie wojsko uniemożliwiło zebranie się demonstrantom na ulicy Targowej 79 i na Łagiewnickiej 31.

Zastępca policmajstra m. Łodzi, A. Bogdanow, relacjonując przebieg wydarzeń pierwszomajowych w Łodzi, stwierdził, że **„z policji i kozaków nikt nie odniósł szwanku".** Ale to był dopiero początek krwawych wydarzeń w Łodzi. Atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Demonstranci rozpędzani w jednym miejscu, zbierali się w niedługim czasie w innym. Po mieście krążyły liczne patrole wojska i policji. Rósł gniew robotników.

O godzinie 14.40 zbierała się demonstracja na ulicy Łąkowej. Nad robotniczym tłumem pojawiły się sztandary z napisami: **„Precz z caratem", „Niech żyje 1 maja! PPS".**

Pierwsze ofiary padły na ulicy Wschodniej. Pochód z czerwonymi szandarami szedł do ulicy Średniej. Na Wschodniej, w rejonie domów nr 23, 25, doszło do starcia z policją i wojskiem. Demonstrantów poprzedzali robotnicy uzbrojeni w rewolwery. Nim jednak doszło do strzelaniny, **Izrael Stern,** próbował przemówić do żołnierzy, mówiąc, że walczył z Japończykami na Dalekim Wschodzie, że demonstranci nie mają nic przeciwko wojsku. Padł zastrzelony. Zginęła też **Estera Rajzel Wejswol.** Ranny został strzelec 22 Wschodniosyberyjskiego Pułku Strzelców. Zmarł po przewiezieniu go do szpitala.

O godzinie 17.30 zebrała się na Wodnym Rynku demonstracja zorganizowana przez Bund. Pochód ruszył w stronę szosy Rokicińskiej, zawrócił jednak na Wodny Rynek. Tu doszło do wymiany strzałów z wojskiem. Ranny został 61-letni tkacz **Karol Kersz.** Demonstranci schronili się w parku Kwela, skąd strzelali do żołnierzy.

O 18.30 demonstrantów zbierających się na rogu Widzewskiej i Zarzewskiej rozpędziło wojsko. W tym samym czasie zbiera się demonstracja na rogu ulic Pfeifera (Orawska) i Aleksandryjskiej. Wykwitają czerwone sztandary. Słychać okrzyki. Śpiew. Na policję sypią się kamienie. Aresztowano **Władysława Janicka.** Demonstranci chcieli go odbić. Wojsko zaczęło strzelać. Zabito wtedy 40-letnią żonę szewca **Mariannę Kosman** i 9-letniego syna piekarza, **Jana Plesika.**

W relacji prasy socjalistycznej wypadek ten wyglądał nieco inaczej. W czasie rozpędzania demonstrantów potknął się koń jednego z kozaków, żołnierz spadł na ziemię i karabin wyleciał mu z rąk, padając u stóp demonstrantów. Karabin schwycił jakiś chłopak i znikł w tłumie. Żołnierze aresztowali innego, podejrzanego o pomoc tamtemu. Na interwencję tłumu zastrzelili aresztowanego i dali salwę do ludzi, zabijając kobietę i dziecko.

O 19 doszło do starcia z wojskiem na rogu szosy Rokicińskiej (Armii Czerwonej) i Przędzalnianej. Kozaków obrzucono kamieniami. Wojsko strzelało do tłumu. Relacjonując przebieg wydarzeń w tym miejscu zastępca policmajstra m. Łodzi, **A. Bogdanow** stwierdził:

„Podczas starcia zostało lekko ranionych kamieniami 3 dragonów oraz 1 koń dragoński i 3 konie kozackie, a prócz tego 1 koń dragoński otrzymał ranę w czoło, przy czym kula ześliznęła się po kości czołowej, wyszła obok ucha. Po stronie demonstrantów został raniony w nogę Józef Zagórewicz, s. Jakuba, lat 35, szeregowiec rezerwy; umieszczony na kuracji w szpitalu fabryki Scheiblera".

Po starciu demonstrantów z wojskiem w rejonie Bałuckiego Rynku do cyrkułu zgłosiła się **Sura Herszkowicz** oświadczając, że została ranna oraz **Abraham Chęciński,** który zawiadomił, że ranna jest jego sublokatorka, **Fejga Borenstein.** Otrzymała ona postrzał w podbrzusze. Zmarła, nim nadjechało pogotowie.

Ostatnia tego dnia demonstracja miała miejsce o godzinie 20.30. Wyruszyła ona z Wodnego Rynku ulicą Targową w kierunku ulicy Nawrot. Kiedy czoło skręciło w Nawrot, i maszerowało w stronę ulicy Piotrkowskiej, wojsko zaatakowało tyły pochodu. Demonstranci zaczęli uciekać w kierunku ulicy Przejazd. Wojsko puściło się w pogoń. W tym czasie reszta demonstracji maszerowała ulicą Nawrot. Biegnący przed pochodem chłopcy rzucali kamieniami w latarnie, gasząc je i rozbijając. Demonstranci strzelali z rewolwerów. Na rogu Widzewskiej i Nawrot ktoś wziął za policyjnego szpicla **Ksawerego Bieniaka.** Zadano mu siedem kłutych ran. Jedna z kul raniła w nogi przyglądające się pochodowi dwie dziewczyny — tkaczkę **Weronikę Bystrzycką** i pończoszarkę **Chanę Słonimską.** Rany były powierzchowne. Inna kula trafiła wyglądającą przez okno **Mariannę Bartosińską.** Rana w skroń okazała się śmiertelna. Kobieta zmarła w szpitalu Czerwonego Krzyża.

W WARSZAWIE

Do krwawych starć doszło też 1 maja 1905 roku w Warszawie. W Alejach Jerozolimskich wojsko dało ognia do demonstrantów, zabijając 37 osób i raniąc 45.

Wspomniany „Tygodnik Ilustrowany" dopiero 13 maja 1905 roku w „Kronice", powołując się na „Warszawski Dniewnik", napisał: **„Dzień 1-szy maja zapisał się krwawo w kronice Warszawy".** Opierając się na informacji „Warszawskiego Dniewnika" pismo wspomina o starciach w kilku miejscach i o tym, że w Alejach Jerozolimskich zabito 25 osób i raniono 20. Pismo dodaje też, że tego samego dnia na ulicy Marszałkowskiej rzucono bombę na patrol kozaków, raniąc trzech żołnierzy, jednego policjanta oraz dwie przechodzące kobiety.

W ŁODZI

4 maja 1905 roku 200 gimnazjalistów zebrało się na ulicy Konstantynowskiej 14 gdzie swoje siedziby miały dwa teatry: „Wielki" i „Apollo", domagając się zamknięcia przedstawień z powodu pogrzebu ofiar pierwszomajowych demonstracji. Nim przybyło wojsko, młodzież, publiczność i aktorzy rozeszli się do domów.

W LONDYNIE

Obradujący od 25 kwietnia 1905 roku w Londynie III Zjazd SDPRR uchwalił następującą rezolucję:

„Trzeci Zjazd SDPRR wyraża swe oburzenie z powodu nowych morderstw zorganizowanych przez zbrodniczy rząd w dniu 1 maja w Warszawie i Łodzi, wita męstwo i zdecydowanie bratniego proletariatu Polski i wyraża niezłomne przekonanie, iż przyjdzie wkrótce dzień, kiedy proletariat wszystkich narodowości Rosji wystąpi solidarnie przeciwko znienawidzonemu samowładztwu i przez ostatnie zwycięstwo nad nim utoruje sobie drogę do dalszej walki o socjalizm".

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Rok 1906. Strajk w fabryce Scheiblera

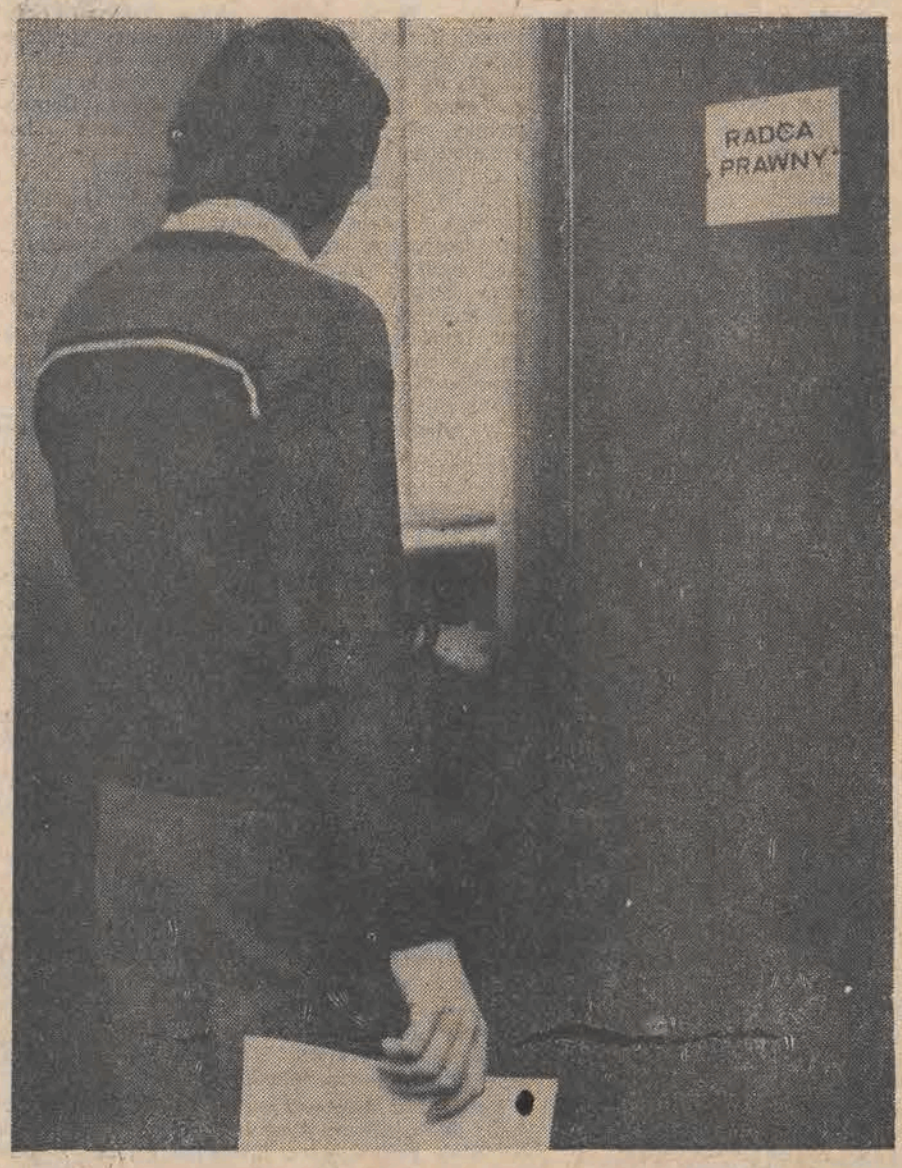

Foto: R. Łucyszyn

CZŁOWIEK WOBEC PARAGRAFU

BOGDA MADEJ

Zarządzenia, regulaminy, przepisy, postanowienia mają normować nam życie, ułatwiać je. Co my jednak o tym wszystkim wiemy? Aby odpowiedzieć na to pytanie, posłużę się kilkoma przykładami.

Przykład pierwszy. Pracownica fabryki „Z" wzięła sobie urlop bezpłatny dla opieki nad małym dzieckiem. W czasie tego urlopu podjęła pracę na podstawie umowy agencyjnej. W czasie wykonywania tej pracy otrzymała płatny urlop. Po powrocie do fabryki „Z" już nie chciano jej dać płatnego urlopu, motywując to tym, że otrzymała go w innym miejscu pracy. A tymczasem przepis stanowi, że pracownicy tej również należy się urlop w macierzystym zakładzie, aczkolwiek z określonymi potrąceniami, jakie stosuje się w takich przypadkach.

Przykład drugi. Po roku nienagannej pracy Kowalski w dniu 31 grudnia rozwiązał umowę o pracę po uprzednim wymówieniu. Zdaniem przedsiębiorstwa, w którym zaprzestał pracy, nie należy się mu „trzynastka". Nie należy się ona bowiem tym, którzy w roku kalendarzowym odchodzą z przedsiębiorstwa na własną prośbę. Ale zasada ta nie odnosi się do tych, którzy kończą pracę w dniu 31 grudnia i w innym przedsiębiorstwie rozpoczynają w dniu 2 stycznia. Kowalskiemu należy się więc „trzynastka" w pełnym wymiarze.

Przykład trzeci. W przedsiębiorstwie „A" pracuje kombatant. Przepracował rok kalendarzowy i przy obliczaniu mu „trzynastki" przedkłada kartę kombatanta. Na to obliczający mówią, że to bardzo ładnie, że ma taką kartę, ale ich to zupełnie nie obchodzi. I mylą się, gdyż po roku kalendarzowym pracy w przedsiębiorstwie czy fabryce kombatantowi do obliczenia „trzynastki" bierze się za podstawę również staż wyszczególniony w karcie kombatanta.

Przykład czwarty. Kowalski i Malinowski popełnili wykroczenia przeciw regulaminowi pracy. Minął rok. Pracowali dobrze. Nadszedł czas obliczania „trzynastki". Kowalski otrzymał ją w pełnym wymiarze, a Malinowski z potrąceniami. Okazało się, że dyrekcja anulowała Kowalskiemu karę, a Malinowskiemu — nie. Dlaczego? Na jakiej podstawie? Malinowski tego nie wie i co gorsze, nie wie też, gdzie mógłby się o tym dowiedzieć. Złożył odwołanie, ale czuje, że bez należytej znajomości przepisów nic nie wskóra.

Jak tu jednak orientować się w gąszczu przepisów i aktów prawnych, skoro w latach sześćdziesiątych same tylko resorty wydały ich 89 tysięcy. Do połowy 1976 roku uchylono 60 tysięcy takich aktów, ale przez ten czas nadal trwa ich „produkcja". W dzieło radosnej twórczości prawnej włącza się kto może i chce, a naczelnicy gmin tylko w latach 1976—1978 wydali około 23 tysięcy aktów prawnych, które nadal obowiązują w gminach.

Aby akt prawny mógł funkcjonować, musi dotrzeć do społecznej świadomości. Musi więc być opublikowany. Musi być dostępny. Musi być też właściwie interpretowany. Naczelnicy gmin, na przykład, powinni swoje rozporządzenia udostępniać do wglądu mieszkańcom gminy. Często tego nie robią. Powstaje pytanie, jak więc obywatel ma przestrzegać zarządzeń, których nie zna? Podobnie sytuacja wygląda w przedsiębiorstwach. Akt prawny opublikowany w niewłaściwym miejscu (w niewłaściwym piśmie), nie istnieje. Nie obowiązuje. Jest radosną twórczością kogoś, kto postanowił się bawić w prawodawcę. Ale to teoria.

Resorty wydając postanowienia i przepisy pilnują, aby były przestrzegane A są one często sprzeczne z innymi, ogólnie obowiązującymi. Albo są w ogóle nieważne, jako że nie zostały opublikowane. „Przegląd Techniczny" obliczył, że „według ostrożnych szacunkowych, dokładnych danych bowiem nikt nie posiada, około 40 procent wydawanych aktów prawnych jest nie publikowanych". Jak więc ma o nich wiedzieć Kowalski, kiedy nawet prawnicy mają kłopoty z dotarciem do nich i z pełną orientacją w wydawanych i obowiązujących przepisach?

„Życie Warszawy", referując redakcyjną konsultację w sprawie podziału „trzynastki", doszło do następującego wniosku:

Listy z nagrodami i nie tylko listy, winny być należycie zweryfikowane przez zakładowych radców prawnych. Nie mogą oni ograniczać się do służebnej roli wobec dyrektora zakładu. Ta służebność może się okazać skuteczniejsza, jeżeli wszystkie decyzje, związane z podobnymi sprawami finansowymi, będą wnikliwie przeanalizowane przez radców, zanim trafią do rachuby. Mniej wtedy będzie sporów w komisjach rozjemczych i sądach pracy.

Spróbowałam sobie wyobrazić radców prawnych ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex", w którym pracuje około 8 tysięcy ludzi, jak godzinami ślęczą nad listami nagród z funduszu zakładowego i każdą pozycję sprawdzają z przepisami i dokumentami pracownika. Czyż nie prościej jednak byłoby, gdyby ciż sami radcy prawni, zamiast siedzieć nad kontrolowaniem i opracowywaniem podstaw do obliczenia „trzynastki", zebrali pracowników rachuby i dokładnie zapoznali ich z obowiązującymi przepisami, ich interpretacją i komplikacjami, jakie mogą wyniknąć w praktyce? A następnie pomogli w rozwikłaniu spraw szczególnie trudnych, wątpliwych, spornych?

Radca prawny jest to postać w naszym życiu codziennym dość znana, ale wielorako rozumiana. A jak swoją rolę widzą oni sami?

— *Radca prawny* — powiedział jeden z nich — *nie jest doradcą prawnym. To dwa diametralnie różne pojęcia. Radca, w praktyce jest urzędnikiem działu kadr. Najczęściej opiniuje pod względem prawnym różne decyzje personalne, sporne sprawy. Jest pomocnikiem dyrektora w sprawach kłopotliwych, kiedy trzeba bronić podjętych decyzji, albo kiedy przedsiębiorstwo wchodzi w konflikt z innym.*

— *Radca prawny* — powiedział inny — *to najniżej stojący prawnik w hierarchii zawodowej. Najwyżej postawieni są sędziowie, później prokuratorzy, adwokaci, a na końcu my. Ale i jest nas najwięcej.*

Porównałam dane. Sędziów mieliśmy w 1978 roku 3 302, prokuratorów — 2 934, adwokatów — 5 673, radców prawnych — 10 355. Radcą prawnym zostaje się wtedy, kiedy jest się wpisanym na listę w okręgowej komisji arbitrażowej. W Łodzi wpisanych jest na nią 775 radców. Obsługują oni 4 sąsiadujące ze sobą województwa: miejskie łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie. Do liczby 775 radców trzeba dodać jeszcze dwustu, którzy pełnią tę funkcję w organizacjach i instytucjach o charakterze społecznym. W sumie jest więc w naszym rejonie około tysiąca radców prawnych.

Radców prawnych jest jednak mniej niż przedsiębiorstw, w których powinni pełnić swoje funkcje. Z tej to przyczyny radcy prawni mogą pracować na półtora etatu i nie muszą płacić progresywnego podatku od dodatkowej pracy. Wywalczył to ostatnio zespół radców prawnych przy Państwowym Arbitrażu Gospodarczym w Warszawie. Jednak tylko duże przedsiębiorstwa mogą zatrudniać radcę na pełnym etacie, a niekiedy nawet dwóch, lub trzech. Inne dysponują połówkami etatów, bądź nawet ćwiartkami. Maksymalnie jednak jeden radca może pracować w czterech przedsiębiorstwach. Zespół radców prawnych przy Okręgowej Komisji Państwowego Arbitrażu Gospodarczego w Łodzi czuwa, aby ta zasada nie była łamana. W małych województwach, jednak, gdzie występuje deficyt prawników, nikt takiej zasady nie przestrzega. Zdarza się, że jeden radca „obsługuje" dużo więcej niż 4 przedsiębiorstwa.

Zawód radcy prawnego może wydawać się atrakcyjnym. Jest on w pewnym sensie „wolnym zawodem". Radca prawny obowiązany jest spędzać w przedsiębiorstwie dwie piąte czasu pracy. Przy pełnym etacie, przy przeliczeniu na 8-godzinny dzień pracy, powinien być w przedsiębiorstwie trochę więcej niż dwa dni w tygodniu. Przy pół etatu — powiedzmy — półtora dnia. Przy ćwiartce — niecały dzień, gdzieś z 5 godzin. Pozostały czas przeznacza mu się na wizyty w sądzie, komisji arbitrażowej, bibliotece, na pracę własną w poszukiwaniu różnych dokumentów, które nie wiadomo gdzie wydrukowano, albo i nie. Ale, czy rzeczywiście rad-

Dalszy ciąg ze str. 1

TRZEBA MIEĆ WYOBRAŹNIĘ

— Od pięciu lat wożę papierosy.

— To chyba nie jest kłopotliwy ładunek?

— Przeciwnie. Bardzo kłopotliwy. Jest to bardzo cenny ładunek. Proszę sobie wyobrazić, że niekiedy mam w samochodzie papierosów wartości 6 lub 7 milionów złotych.

— I pan za to odpowiada w czasie podróży?

— Odpowiadam za dostarczenie ładunku na miejsce jego przeznaczenia.

— Do przewozu papierosów muszą być specjalnie zostosowane wozy. Czyste. Szczelne, aby ładunek nie zamókł. Podstawiam swój wóz pod rampę w wytwórni i podczas załadunku mogę wyjść na przykład na śniadanie. Po powrocie sprawdzam, czy ładunek został dobrze oplombowany. Podpisuję protokół załaduku. I odjeżdżam. Zawożę ładunek na miejsce i oddaję odbiorcy. Za to, co jest w środku, odpowiadają ci, którzy ładowali. Moim obowiązkiem jest dostarczyć ładunek w całości, z nienaruszonymi plombami

— Jakim samochodem pan jeździ?

— Jelczem 315.

— Od dawna?

— Od czterech lat.

— Czy to jest dużo?

— Tak. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli zmieniać samochody co dwa lata.

— Mogę się więc domyślać, że pana samochód jest już po kapitalnym remoncie.

— Niestety.

— Dlaczego mówi pan: niestety?

— Dlatego, że po kapitalnym remoncie jest gorszy niż był przed remontem.

— Czyja to wina?

— Tych, którzy robili remont.

— A czy można zapytać, kto ten remont robił?

— To nie jest tajemnica. Mój samochód remontowano w Lubelskich Zakładach Napraw Samochodów zakład nr 4 w Chodlu.

— I nie zrobili tego najlepiej.

— Gdybym dostał trasę do Kołobrzegu pojechał do Poznania, wyrzucił ładunek do rowu, wrócił do Łodzi i utrzymywał że wywiązałem się z zadania, czy to byłoby w porządku? Marzyłem, żeby już skoczyła się gwarancja. Trzy razy jeździłem do Chodla z reklamacjami. Tam nie ma hotelu, nie ma gdzie przenocować, do środka nie wpuszczają, nie można zobaczyć, jak oni usuwają usterki. Dają samochód i mówią, że jest w porządku. Odjedzie się kilkadziesiąt kilometrów i znów coś nawala. Czy to można nazwać kapitalnym remontem?

— Wolałby pan sam remontować swój samochód?

— Pewnie. Zresztą często to robię. Znam go znakomicie. Każdy fałszywy ton usłyszę. I dzięki temu w porę mogę usunąć wadę. Ale po tym kapitalnym remoncie, to wszystko w nim klekotało.

— Rozumiem, że zdarzały się panu w drodze awarie.

— Żeby to raz.

— I co pan wtedy robi?

— Wolałbym o tym nie mówić. Dla mnie awaria w drodze to tragedia, czarna rozpacz.

— Dlaczego? Może pan to jednak wyjaśni.

— Nie tak jeszcze dawno sprawa była prosta. Można było zawiadomić najbliższą bazę PKS, przyjeżdżali, brali na hol i remontowali. Teraz to wygląda inaczej. Brakuje części zamiennych i każdy je chowa dla swoich kierowców. Jak już uszkodzony wóz podholują do bazy, to każą samemu szukać sobie części zamiennych. Oni mogą najwyżej pomóc je wmontować. To znaczy, że trzeba jechać do Łodzi. Dobrze jeszcze, kiedy wraca się do Łodzi i nie ma tak cennego ładunku, ale jeśli wiem że mam pod plandeką te 7 milionów złotych, to nie zostawię ich na pastwę losu. Pozostaje więc telefon lub teleks. Daję znać do Łodzi i czekam, aż będzie okazja, że w moim kierunku pojedzie jakiś wóz z zapasową częścią.

— Z tego wynika, że teraz największą bolączką kierowców PKS jest brak części zamiennych.

— To jest najgorsze. Brakuje też ogumienia. Trochę lepiej jest z oponami, za to nie ma dętek.

— Czy kierowcy na trasie są solidarni?

— A jak może być inaczej? Przecież każdemu z nas może się coś przytrafić. Dziś mnie, jutro innemu. Musimy być solidarni i pomagać sobie. Jechałem kiedyś do Wrocławia. Przeliczyłem się z benzyną. Na 20 km przed miastem zabrakło mi paliwa. A tu noc. Co robić? Nie zostawię wozu z ładunkiem. Poczekałem, aż będzie jechał ktoś z kolegów. Kiedy nadjechał, zapytałem, czy ma paliwo. Miał w kanistrze benzynę. Nalał mi. Pytam ile mam zapłacić. A on powiada, że nic. — Dziś pomogłem tobie, jutro, jak mnie spotkasz, to mnie pomożesz. I pojechał. Nawet numeru nie zapamiętałem. Pomogę innemu, jak będzie trzeba.

— Co robi kierowca, kiedy dostarczy towar na miejsce i czeka na następny, albo już ma załadowany samochód, ale noc się zbliża? Przecież musi gdzieś odpocząć...

— Różnie bywa. W Łodzi, Poznaniu, Gdyni, Kielcach, Wrocławiu, są hotele dla kierowców PKS. Można tam wygodnie przenocować. W innych miastach jest gorzej, bo hoteli dla kierowców w ogóle nie ma, albo są takie, że lepiej z nich nie korzystać.

Latem mniej z tym biedy, bo można wygodnie przespać się w kabinie. Jest tam miejsce do spania dla kierowcy. Nawet wolę spać w samochodzie niż w złym hotelu.

— Ostatnio hoteli, moteli i zajazdów przybyło. Nie korzysta z nich pan?

— To nie są hotele na szoferską kieszeń. Zresztą i zajazdy przydrożne są przeznaczone nie dla nas, a dla bogatych kierowców osobowych wozów. Czasem nawet napić się latem nie ma gdzie, bo przy takich zajazdach są strzeżone parkingi, a ja nie jeżdżę prywatnym wozem. Nie mogę za wszystko płacić.

— Bywa chyba jednak, że musi pan zostawić samochód z ładunkiem. Gdzie go pan wtedy stawia?

— Najczęściej, jak już muszę, to gdzieś w pobliżu komendy MO, albo posterunku milicji. Wtedy wiem, że mi nic z wozu nie zginie.

„Pomogę innemu, jak będzie trzeba..."

Foto: R. Łucyszyn

— Na jakie choroby najczęściej chorują kierowcy zawodowi?

— Na serce i żołądek.

— Czy są dobre strony tego zawodu?

— Pewnie, że są. W Łodzi to ja mam dyrektorów, dyspozytorów, kierowników. W drodze to ja sam sobie jestem wszystkim. Sam decyduję. Jest na przykład gorąco, jechać nie można to staję sobie w cieniu, gdzieś pod lasem i kładę się spać. A jadę nocą. Towar dostarczam na czas, a to jest ważne.

— Czy długo czeka pan na rozładunek i załadunek?

— Na to traci się dużo czasu. Zupełnie niepotrzebnie.

— Dlaczego?

— Bo rampy są nie przystosowane do ładunku i rozładunku, nie ma ludzi. Nie ma też niezbędnych urządzeń. To trwa.

— Czy zdarzało się panu zabierać kogoś z drogi?

— Czasem trzeba. Na ogół tego nie robię. Nie lubię. Ludzie są różni. A ja odpowiadam za samochód i muszę dowieźć to, co mam pod plandeką.

ca prawny ma tyle wolnego czasu, skoro przez cały tydzień na ogół biega od przedsiębiorstwa do przedsiębiorstwa?

Jedno jest pewne. Możemy sobie nie zawracać głowy marzeniami o tym, że radca prawny będzie w przedsiębiorstwie szerzył wiedzę prawną, popularyzował prawo. Nie bardzo ma na to czas, ochotę i nikt też od niego czegoś takiego nie wymaga. Kowalski, oczywiście, może przyjść z prośbą o pomoc w tej czy innej sprawie. Najlepiej jednak, gdyby Kowalski przyszedł z prośbą o pomoc w sprawie, która nie dotyczy przedsiębiorstwa. Wtedy można mu pomóc, wyczerpująco uświadomić, służyć radą i życzliwością. Jeśli jednak sprawa dotyczy przedsiębiorstwa i na dodatek ma charakter konfliktowy, to radca prawny zaraz pobiegnie do dyrektora i zapyta: — jak pan dyrektor sobie życzy, aby sprawa ta była załatwiona? Z tego to powodu takie są kolejki do radców prawnych różnych organizacji społecznych oraz redakcji gazet, radia.

— *Nie mam zamiaru ukrywać* — zwierzył mi się jeden z radców prawnych — *że staram się żyć w zgodzie z dyrektorem. I że zawsze próbuję wysondować jego opinię na interesujący mnie temat. Jestem tu bowiem po to, abym bronił interesów przedsiębiorstwa, a jak one są rozumiane, to już inna sprawa. Czasem intencje dyrekcji są sprzeczne z obowiązującymi przepisami i wtedy mówi mi się wprost: — wykombinuj pan to jakoś! Szukam kompromisu. A czasem jest i tak, że dyrektor stara się o prawną wykładnię swojej decyzji tylko po to, aby zaasekurować się na wszelką ewentualność. W razie czego zawsze będzie mógł powiedzieć: — przepraszam bardzo, ale myśmy działali zgodnie z obowiązującymi przepisami.*

Z doświadczeń wielu radców prawnych wynika, że przedsiębiorstwa w różnych spornych kwestiach, nawet zdając sobie sprawę ze swoich przegranych pozycji, zajmują stanowisko na nie. Dlaczego? Jest to bardzo proste. Ale może najpierw mały przykład.

W fabryce „B" zdarzył się wypadek. Robotnikowi okaleczyło rękę. Wystąpił z roszczeniami w wysokości 9 tysięcy złotych. Fabryka powiedziała „nie". Sprawa poszła do sądu i sąd skazał fabrykę na zapłacenie 20 tysięcy złotych odszkodowania. Fabryka przekazała wyrok do ZUS, niech płaci. A ZUS powiedział „nie". I teraz sprawa powędruje do arbitrażu. Jego postanowienie — miejmy nadzieję — będzie ostateczne.

Radca prawny fabryki „B" od początku był przekonany o niewłaściwym postępowaniu swoich mocodawców. Z doświadczenia jednak wiedział, że fabryka nie wypłaci niczego, jeśli nie zostanie do tego zmuszona prawomocną decyzją sądu. Każde przedsiębiorstwo nawiedzane jest taką ilością kontroli, które tak komplikują pracę, że każdy księgowy nim wyda złotówkę, chce mieć za 10 złotych podkładek, aby nikt mu już później głowy nie zawracał. Fabryka „B" chciałaby teraz uregulować sprawę z pracownikiem, bo jest wyrok. Ale teraz z kolei ZUS woli poczekać na prawomocne orzeczenie arbitrażu. Wtedy już nie będzie żadnych wątpliwości, że pieniądze zostały wydane zgodnie z obowiązującymi przepisami. A że czeka na nie człowiek, który z winy fabryki ma okaleczoną dłoń, kogóż to obchodzi...

Radca prawny, gdy się tak mu bliżej przyjrzeć, nie bardzo sam wie, kim jest. Do załogi przedsiębiorstwa, w którym pracuje, nie należy. Najczęściej wpada tu na kilka godzin i pędzi dalej. Nie bardzo wie, jak żyje załoga i ona nie bardzo wie, kto i czy — jest jej radcą prawnym. W fabryce czy instytucji traktują go trochę jak intruza, pożytecznego wprawdzie, ale zawsze. Radą powinien właściwie służyć wszystkim, ale jego kontakty ograniczają się głównie do dyrekcji i kierowników działów. A i ci nie zawsze mu wszystko chętnie udostępnią, jeśli nie będzie na to zgody dyrektora. Wśród prawników traktowany jest najgorzej. Nie cieszy się zbytnim autorytetem. Do niedawna pozostawiony był zupełnie sobie. Od niedawna powołano zespoły radców prawnych przy okręgowych komisjach arbitrażowych i te zespoły starają się integrować to rozproszone środowisko, dbać o jego interesy, służyć radą i fachową pomocą.

Radcy prawni inaczej widzieliby swoją rolę. Przede wszystkim zazdroszczą kolegom z NRD, gdzie radcy prawni, choć nieformalnie, traktowani są jako zastępcy dyrektora do spraw prawnych. Marzy im się, aby nie tylko mogli głębiej wchodzić w sprawy przedsiębiorstwa, ale byli też współautorami przygotowywanych umów, aby pojęcie „radca prawny" bardziej było zbliżone do doradcy, niż do prawnego strażaka, którego wzywa się do gaszenia ognia konfliktów i sporów, i to w taki sposób, aby „jego" przedsiębiorstwo nie wyszło na tym źle.

A mnie się marzy i to, aby radca prawny miał też trochę czasu, ochoty i możliwości dla popularyzacji prawa, abyśmy się mogli choć odrobinę orientować w tym jurysdykcyjnym gąszczu. Można bowiem założyć że skoro mamy tyle różnych aktów prawnych, o których w ogóle nie wiemy, to przynajmniej raz na tydzień każdy z nas coś narusza, przekracza, omija i tak dalej, wchodząc w konflikt z porządkiem i społeczną dyscypliną. Czy musimy? Dla umacniania społecznej dyscypliny znajomość prawa jest niezbędna. A tej ciągle nam brakuje.

— A dzieci zimą, jak idą do szkoły?

— Lepiej, jak je biorą mniejsze samochody. Mój jest wysoki. Trudno wspiąć się do szoferki. Zimą wszystko jest oblodzone. Może się jeszcze dzieciakowi coś stać.

Czasem jednak trzeba się zatrzymać. Jechałem kiedyś drogą. Niedaleko stała samotna chata. Wybiegło z niej dziecko i macha do mnie. Widać coś się stało; trzeba pomóc. Zatrzymuję samochód i pytam malca: — Co się stało? A on na to: — Która godzina? — Oburzyłem się. To ty mnie po to zatrzymałeś? A on mówi z niewinną miną: — Tak, żeby się tato do pracy nie spóźnił.

— Co pan sądzi o naszych drogach?

— Specjalnie nie narzekam. Najgorsze są przełomy po zimie. To jest niebezpieczne. Szczególnie dla takich wielkich i ciężkich wozów jak mój. Nagłe szarpnięcie może pourywać nawet ręce.

— Kogo pan się najbardziej obawia na drodze?

— Kierowca musi mieć wyobraźnię. Mumi umieć przewidywać, co się ewentualnie stanie, jeśli popełni błąd. Obawiam się kierowców bez wyobraźni, którzy nie umieją przewidzieć, co się może zdarzyć w zderzeniu z takim kolosem jak mój. Obawiam się też nie oświetlonych wozów konnych i rowerzystów. Mój samochód z pełnym ładunkiem i przyczepą ma około 33 ton. Jak zbyt późno zobaczę przeszkodę, to nie ma rady, nie zahamuję.

— Zdarzyło się już panu coś takiego?

— Odpukać, ale nie. Co prawda raz mi się zdarzyło w Raciborzu przewrócić siedem słupów od oświetlenia ulicznego. Wyjeżdżałem z bramy z ładunkiem i przyczepą. To było blisko skrzyżowania, zeszłej zimy, było ślisko. Jezdnia dwukierunkowa z pasem ziemi pośrodku. W lewo skręcić nie mogę, bo pod prąd. Przewodu między słupami nie dostrzegłem, bo był oszroniony i zlewał się z oszronionymi drzewami. Ruszyłem więc w środek na ośnieżony pas ziemi, aby wjechać na właściwe pasmo jezdni. Bardzo się zdziwiłem, że spadła nagle lampa. Obejrzałem się i widzę, że leci na mnie słup. Dodałem gazu. Ostatni spadł przy skrzyżowaniu, gdzie milicjant ruchem kierował. Na szczęście nic nikomu się nie stało. Było tylko wielkie zamieszanie. Kilka radiowozów przyjechało na sygnałach. Potem przyszedł słony rachunek za szkody wyrządzone miastu. Ale to nie była całkiem moja wina. Inaczej wyjechać z tej bramy przy takiej ślizgawicy nie dało rady.

— Gdzie pan odpoczywa?

— W lesie. Cały rok jeżdżę po kraju, to urlop spędzam w lesie. Na polowaniu. Wielkich osiągnięć nie mam. Raz trafiłem dużego dzika. My kontraktujemy żywą zwierzynę, zające i kuropatwy. I z tego mamy pieniądze na organizowanie polowań. To bardzo przyjemny sport.

— A co żona na to wszystko?

— Jesteśmy już z sobą 25 lat. Przyzwyczaiła się.

— Ma pan dzieci?

— Syna.

— Co robi syn?

— Pracuje u nas w PKS. Jest kierowcą. Ożenił się. Uczy się dalej. Teraz akurat choruje.

— Ma pan własny samochód?

— Mam. Do lasu trzeba przecież jakoś dojechać.

— I przez to nie ciągnie pana w czasie urlopu do Jelcza 315.

— To co innego. Jak mam urlop, to jednak zaglądam do bazy. Wezmę wóz, zrobię dwa kółka po placu, żeby zobaczyć czy wszystko jest w porządku, czy ktoś czasem sobie czegoś nie „pożyczył". I to wszystko. Resztę czasu spędzam na powietrzu, w lesie, albo z rodziną na wycieczce.

— Życzę panu szerokiej drogi i aby jak najmniej zdarzało się panu w drodze awarii.

— Dziękuję.

Rozmawiała:
MAGDA BOGUCKA

RYSZARD BINKOWSKI

TRUDNA WIOSNA

Dobre warunki pogodowe jesienią i zimą gwarantowały rolnictwu niezły start do wiosennych prac polowych, bowiem jesienią było sporo czasu na staranne przeprowadzenie zabiegów agrotechnicznych, siewów, podorywek i orek zimowych. Do badań w laboratoriach skierowano 201 tys. ton materiału siewnego, ale z nasionami są kłopoty, szczególnie z owsem. Plony ubiegłoroczne były niskie, ucierpiały także plantacje zbóż nasiennych.

Do końca stycznia w kraju dostarczono 56 proc. planowanych ilości nawozów azotowych (748 tys. ton), 59 proc. nawozów fosforowych (w planie 980 tys. ton) i zaledwie 38 proc. potasowych, a w planie jest 1.450 tys. ton. Transport nie wywiązuje się z zadań, nawozów wciąż jest za mało.

Nie najlepiej przedstawia się sprawa maszyn. Wynikły trudności z naprawami silników do ciągników C 360 i C 330, brakowało elementów napędowych do kosiarek. Wprawdzie w ub. roku wartość zregenerowanych przez TOR części zamiennych osiągnęła kwotę 2,2 mld zł (nowe kosztowałyby 5 mld zł), ale nie wszystko można regenerować, toteż są kłopoty. Ponadto brakuje ogumienia oraz chemicznych środków ochrony roślin, chociaż niektóre ze środków chemicznych można było z powodzeniem wyprodukować w kraju.

W takiej sytuacji należy dokładać wszelkich starań, by siewy przeprowadzić sprawnie i w terminie, sprawiedliwie rozdzielać nasiona i środki chemiczne, racjonalnie gospodarować nasionami i aby fabryki pracujące dla rolnictwa jak najszybciej wywiązywały się z niezbędnych dostaw, bez których nie sposób przeprowadzić ważną wiosenną kampanię polową.

Tymczasem wiosna jak gdyby wyszła naprzeciw tym kłopotom, co brzmi paradoksalnie, bo korzyści nie przynosi, rzecz jasna. Wiosna opóźniła się o cztery tygodnie. Wreszcie nastąpiło ocieplenie, przez kilka dni było słonecznie, potem jednak, począwszy od 18 kwietnia, temperatura spadła, a 19 kwietnia zaczął padać grad i śnieg. Dotrzymanie terminów agrotechnicznych stoi więc pod dużym znakiem zapytania.

Trzeba przyznać, że gospodarstwa w woj. miejskim łódzkim podległe Zjednoczeniu Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej i władające gruntami stanowiącymi około 5 proc. ogólnej powierzchni użytków rolnych województwa należycie wykorzystały czas sprzyjającej dla rolnictwa pogody. Powszechnie jest wiadomo, iż nie wszystkie PGR spełniają jeszcze rolę wiodącą w gospodarce rolnej. Tego nie można powiedzieć jednak o Łódzkim Kombinacie Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych, który ostatnio zajął pierwsze miejsce we współzawodnictwie krajowym. PGO zajmują się uprawą zbóż, hodowlą trzody, bydła, zwierząt futerkowych, muszą bowiem zagospodarowywać przyległe grunty PFZ, których nie przejmują rolnicy indywidualni, ale podstawę produkcji stanowi uprawa warzyw i kwiatów szklarniowych. I dlatego w PGO wiosną myśli się już o zimie. O wiośnie także, bo w chłodne noce wiosenne w szklarniach trzeba utrzymać właściwą temperaturę.

Produkcja szklarniowa uzależniona jest od ciepła, nic więc dziwnego, że o cieple mówi się już wiosną. Zbudowany na licencji radzieckiej kombinat szklarniowy Janów (12 ha pod szkłem) w lutym miał poważne kłopoty z utrzymaniem ciepła w szklarniach. Niedobory ciepła nadrabiano zwiększonym przepływem gorącej wody, ale trzeba za to słono płacić. Rzecz w tym, że Janów jest podłączony do elektrociepłowni, która tą samą „nitką" ogrzewa także osiedle na Widzewie. Ciepło wystarczające do ogrzewania mieszkań nie wystarcza do ogrzania szklarni. Trudna wiosna może spowodować straty w szklarniach, bo jeśli np. w myśl odpowiednich zarządzeń wyłączy się 25 kwietnia ogrzewanie mieszkań, a potem nagle temperatura w nocy spadnie, to ludzie przetrzymają, ale rośliny zginą.

Przed laty dyrektor Kombinatu PGO, Andrzej Rzeźniczak, pokazywał mi z dumą kilkuhektarowy kombinat szklarniowy w Widzewie pod Pabianicami, zbudowany przez Bułgarów. Jednym z największych osiągnięć technicznych była tam w pełni zautomatyzowana ciepłownia, czysta, przestronna, z tablicami rozdzielczymi, spalająca mazut. Przed laty nikt nie był zdolny przewidzieć, że z mazutem wynikną poważne kłopoty, że po prostu trudno będzie go kupić, nie tylko ze względu na brak, ale i na ceny. No i stało się, w przyszłym roku może zapaść decyzja o unieruchomieniu kombinatu w Widzewie z powodu braku mazutu.

Jedynym wyjściem z sytuacji byłoby podłączenie Widzewa do ciepłowni miejskiej w Pabianicach. Ale to jest prawie cztery kilometry rurociągu, a w kosztach 50 mln zł. Szkopuł w tym, że moc ciepłowni pabianickiej nie wystarczy do ogrzania samych Pabianic. Myśli się więc o połączeniu ciepłowni pabianickiej z EC V. Warto się jednak zastanowić, czy jest sens zakładać kilka kilometrów „pustego tranzytu"? Otóż dowiedziałem się, że do magistrali ciepłowniczej chętnie przyłączyliby się prywatni ogrodnicy z Ksawerowa. Jeden z nich oświadczył, że sam podłączy się do linii, a dodatkowo przekaże 3 mln na budowę szpitala. Myśle, że nie tylko warto, ale powinno się przychylić do tych inicjatyw i propozycji.

Przysłuchując się naradzie aktywu Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej, doszedłem do wniosku, iż nie zrażają się tam aktualnymi kłopotami i myślą przyszłościowo. Ryb mamy mało, trzeba więc budować nowe stawy hodowlane. Najlepiej zimą, ale potrzebne są koparki i spycharki. Ponadto trzeba odbudować stawy w Gospodarzu, a z tym wiąże się regulacja i konserwacja rzeki Ner, bo zamulenia nie pochodzą ze zrzutów wody z Kalinka, ale stąd, iż Ner od czterdziestu lat nie był konserwowany. Uregulowanie rzeki i melioracja nisko położonych gruntów nie nastąpią jednak w tej pięciolatce. Aby poprawić sytuację, należy konserwować jaz w Gospodarzu.

W Brusie zrezygnowano z inwestycji, a miał tam powstać park kultury i wypoczynku. A więc czekać na dalsze decyzje? Nie! Uprawiać ziemię, bo jest dobra, zagospodarowana i musi dawać plony. W Byszewach są złe grunty, tam melioracja „pójdzie" po roku 1985.

PGR wzbraniają się przed przejmowaniem drobnych działek z PFZ, bo to utrudnia im pracę, nie pozwala wkroczyć z maszynami. Ale gdy ziemi zaczyna „spływać" coraz więcej (renty i emerytury dla rolników), PGR muszą zagospodarować tę, która leży najbliżej ich gruntów. Konieczne są scalenia i wymiany w Leśmierzu, w Nakielnicy jest ponad 2 tys. ha do scaleń. Trzeba budować drogi dojazdowe, ale w tym roku można tylko dwie, ponieważ nie ma asfaltu. Stryków potrzebuje lokalnej oczyszczalni ścieków. Na razie jest to niemożliwe, ścieki ze Strykowa można jednak odprowadzać do Głowna.

Jedną z poważnych bolączek PGR jest brak mieszkań dla pracowników. Mieszkania to nie tylko gwarancja ściągnięcia wykwalifikowanej kadry, ale i lepsza produkcja. Tymczasem w Byszewach z powodu niedostatku mieszkań nie można zatrudnić nawet pracowników niewykwalifikowanych i obsada na 100 ha jest tam bardzo niska.

Wiadomo, że rolnictwo jest rozproszone i w takich warunkach znaczną rolę odgrywa dobra komunikacja. Tymczasem pracownicy PGR otrzymali na ten rok przydział na jeden samochód prywatny. Prezydent Miasta Łodzi otrzymał 80 przydziałów. Ale są to talony wyłącznie dla pracowników podległych Urzędowi Miasta. W województwie takich pracowników jest blisko 70 tysięcy. Wydaje się, że skoro władze centralne zmniejszają ilość samochodów służbowych, to kosztem tej operacji można by zwiększyć ilość przydziałów samochodów prywatnych dla pracowników zatrudnionych w rolnictwie i administracji terenowej.

Ostatnio ogromnej wagi nabrała u nas sprawa produkcji eksportowej, dewizowej. Ale tutaj okazuje się, że dawne błędy, planowanie „na dzisiaj" utrudniają rozwijanie takiej produkcji. Przykładem może być pegeerowska ferma w Smolicach, gdzie hoduje się lisy, norki i tchórzofretki. Wszystko idzie na eksport, dając rocznie 300 tys. dolarów dochodu. Bez żadnej inwestycji można by zwiększyć produkcję i osiągnąć dodatkowo 20 mln zł zysku rocznie. Nie trzeba nikogo przekonywać, ile dolarów wpłynęłoby do skarbu państwa. Niestety, fermy w Smolicach nie można rozbudować. Z jednej strony zamyka ją przyszła autostrada W-Z, z dwóch dalszych — ulica i tory kolejowe, a ponadto obowiązuje pięćsetmetrowa strefa sanitarna.

Jak widać, wiele tych spraw nie dotyczy bezpośrednio wiosny, ale dobrze, że już o nich się myśli. A tymczasem wiosna nie szczędzi rolnictwu kłopotów, i to nie tylko gospodarstwom państwowym, bo pogoda nie wybiera i nie oszczędza nikogo. Aby pomniejszyć ujemne skutki aury, na pola muszą wyjść nie tylko pełnosprawne maszyny, ale przede wszystkim ludzie, a zwłaszcza pracownicy służb doradczych, służąc wszędzie swymi fachowymi radami rolnikom. Można będzie w znacznym stopniu odrobić straty, ale tylko pod warunkiem, że w opóźnionej kampanii wiosennej połączy się fachowość z rzetelnością i zaangażowaniem oraz pełnym zaopatrzeniem wsi w środki produkcji.

Foto: Archiwum

„HOMMAGE À WITKIEWICZ" W DÜSSELDORFIE

Jedną z głównych wystaw organizowanych w Düsseldorfie z okazji Dni Polskich jest wystawa „Hommage à Witkiewicz" (25 kwietnia — 1 czerwca) przygotowana przez Muzeum Sztuki w Łodzi w Kunsthalle w Düsseldorfie. Ta największa z dotychczasowych prezentacji twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza za granicą zapoznaje z całokształtem jego dzieła plastycznego — zawiera bowiem obszerny zbiór kompozycji olejnych, pastelowych portretów oraz rysunków i fotografii.

Sztuka Witkacego ukazana jest w korelacji z twórczością kilku znakomitych polskich artystów poprzedzających i towarzyszących jego życiu, a także artystów działających dziś, którzy, choć w sposób zupełnie inny, dotykają jednakże w swej zróżnicowanej twórczości pewnych problemów analogicznych do tych, jakie stawiał przed sobą Witkiewicz. W skład wystawy wchodzą więc mniejsze, lecz ze wszech miar reprezentatywne zestawy dzieł Jacka Malczewskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Witolda Wojtkiewicza, Tadeusza Kantora i Tadeusza Brzozowskiego. Wystawę zamknie prezentacja antologiczna dzieła filmowego Andrzeja Wajdy w postaci obszernego wyboru fotografii barwnych z poszczególnych filmów, rzucanych sukcesywnie na osobne ekrany. Zamiarem organizatorów wystawy było stworzenie nowoczesnego, dynamicznego pokazu wybranych, szczególnie oryginalnych i autentycznych wartości w dorobku sztuki polskiej XX w. Tytuł wystawy „Hommage à Witkiewicz" nabiera w tym układzie znaczenia symbolicznego — jest wyrazem szacunku, jaki składają Witkiewiczowi przede wszystkim organizatorzy wystawy i niejako — poprzez nich uczestniczący w wystawie artyści.

Dzieła reprezentowane na wystawie wypożyczyły Muzea Narodowe w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Muzeum Sztuki w Łodzi, muzea w Bytomiu, Radomiu, Toruniu, Słupsku oraz kolekcje prywatne. Kunsthalle w Düsseldorfie wydaje katalog przygotowany przez Muzeum Sztuki z tekstami m.in. M. Porębskiego, A. Kostołowskiego, M. Szpakowskiej, J. Deglera, U. Czartoryskiej, A. Morawińskiej, W. Juszczaka, A. Ławniczakowej, W. Borowskiego, A. Osęki, K.T. Toeplitza. Wystawa „Hommage à Witkiewicz" będzie niewątpliwie ważnym ogniwem w ugruntowywaniu autorytetu polskiej kultury artystycznej za granicą.

Z wystawy twórczości S.I. Witkiewicza w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Foto: R. Łucyszyn

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ (2)

ROMANTYCZNE I ZIELONE

Oto, po dwóch miesiącach wakacji, znów jesteś w tym kamiennym mieście. Masz złudne wrażenie, że trochę wypiękniało, wyszlachetniało, odświeżyło się, podobnie jak i wasze mieszkanko przy ulicy Nawrot.

Jakże maleńki i cichy wydał ci się Nowogródek! I jakże inny w swej aurze, kolorycie, od tego wielkiego miasta. W czym tkwi ta inność? W krajobrazie, oczywiście, ale nade wszystko w ludziach. Po dystansie czasowym możesz łatwiej odczytać stylistykę fabrycznego kolosa.

Nie spotkasz tu pewnych siebie, mówiących pełnym głosem, szerokich w gestach kresowych szlagonów; wystarczy ich kilku, by zagłuszyć i przysłonić całą resztę małego miasteczka. Nie spotkasz tu skośnookich, ciemnolicych Tatarów, ani białoruskich chłopów cichych, nieśmiałych, ustępliwych, jakby przepraszających za fakt, że istnieją. Nie spotkasz tego specjalnego gatunku Żydów, ubranych kuso, z chłopska, w wysokich butach, w ruskich kaszkietach nad ogorzałą twarzą...

Więc jaką ma twarz ta rozległa, szumiąca krosnami metropolia? A raczej ile ma twarzy i jakich?

I szarą, zmęczoną, przedwcześnie postarzałą twarz włókniarki, ukrytą w kraciastej chuście. I — jakby w glinie rzeźbioną — surową, mocną twarz robotnika. I bladą, ziemistą twarz, obramowaną czarną krymką i patriarchalną brodą żydowskiego kramarza, szewczyny czy krawca. I pergaminową, zagłodzoną twarz drobnego urzędnika, kancelisty. I tłustą, z wałkami podbródków, lśniącą pełną samozadowolenia twarz burżuja — bankiera, fabrykanta, hurtownika...

W labiryncie ulic i uliczek, w parkach i na deptaku spotykasz raz po raz młode twarze twego pokolenia, beztroskie, roześmiane. Wśród nich spotykasz czasem wyzywającą, agresywną i bezczelną gębę paniczyka z fabrykanckiego gniazda, czy wypieszczony „cyferblat" bankierskiego synalka.

Każda dzielnica — Bałuty, Widzew, Chojny, Koziny, Polesie, Zarzew czy Stoki — ma swój własny rytm, styl, charakter, własne centrum, akcent architektoniczny, jakim bywa kościół, fabryka czy wyspa zieleni.

Lubisz czasem w samotnej wędrówce odkrywać jakąś odległą, cichą uliczkę, świecącą w słońcu srebrną łuską kocich łbów, gdzie panuje cisza, bezruch, spokój, gdzie z drewnianych domków i szarych kamieniczek patrzą na ciebie sine szyby okien, podpalone czerwienią nasturcji, gdzie kilka starych drzew przypomina, że był tu kiedyś wielki las. Składasz tym uliczkom bezinteresowne wizyty: pospacerujesz, popatrzysz, zatrzymasz się, zajrzysz w głąb podwórka, przez sztachety ogródka..

Ileż somnambulicznego nastroju ma w sobie ulica Tylna — spokojna, bezludna, prowadząca donikąd, a raczej zablokowana murami fabryki, zamknięta pałacem Scheiblera. Rzadko kiedy budzą ją ze snu kroki przechodnia. Ze szpar między płytami chodnika wyrasta trawa i złotozielony mech.

Odwiedzasz czasem stare kąty — Senatorską Słowiańską, czy Łomżyńską, niosą cię nogi na senne uliczki Juliusza, Targową, Wodną, Złotą, Wysoką, Nową czy Przędzalnianą...

Lubisz zajrzeć w targowy dzień na Wodny Rynek, wsparty jednym bokiem o tasiemcowe familiaki, drugim — o park Źródliska, gdzie skrył się w cieniu drzew niepozorny budynek najtańszego w mieście kina „Oświata". Można tu za dziesięć groszy oglądać Pata i Patachona, Flipa i Flapa, Chaplina, Keatona i porywające filmy kowbojskie i fantastyczne.

Dni targowe na Wodnym Rynku zaskakują przechodnia z wielkomiejskiego śródmieścia swoistym folklorem, kolorytem jarmarku, odpustu, wiejskiego festynu.

Przeciskasz się przez rozkrzyczany tłum kramarzy, wózkarzy, wędrownych handlarzy-powsinogów, kuglarzy i oszustów, kanciarzy i kieszonkowców, hazardzistów, kataryniarzy i wróżbitów. Pachnie tu dymem z machorki, końskim łajnem, ludzkim potem. Od klatek ciągnie zapach królików, gołębi, białych myszek, kanarków, zalatuje smrodek od strony kwiczących prosiąt, smutnych, sękatych kóz, gęstostrzelnych gęsi i kaczek. Kobiety w łowickich strojach kucają przy koszach z nabiałem, warzywami, owocami...

Urzęduje tu przy stoliczku artysta, który za złotówkę „wiernie oddaje rysy", wycinając profile z czarnego kartonu. Jest i „literata" sprzedający „poszczególne zeszyta" pieśni i poematów o strasznej zbrodni dwojga trupów we wsi Skierniewice gdzie leżą dwa trupy i żaden nie żyje. Jest tu otoczony podziwem dzieciaków, pan Wiktor, fotograf, z monstrualną aparaturą i kompletem dekoracyj, na tle których uwiecznia klijentów. „Dla uczniów szkolnych, żołnierzy i strażaków ogniowych — trzy sztuki ulgowo".

W strzelnicy można zdobyć butelkę wina, lalkę czy papierośnicę, a przy okrągłym, loteryjnym stoliku można wykręcić popiersie Kościuszki, glinianego koguta lub tabliczkę przeterminowanej czekolady.

Można tu napić się wody z sokiem malinowym czy cytrynowym, nalizać lodów czy objeść chrupiącymi obwarzankami...

Zawędrowałeś dziś na ulicę Podleśną. Smukła wieża niewielkiego kościoła mariawitów ściga się z wysoką zielenią. Tu, w tym kościele, pełni czasem zastępczo funkcję organisty Leon Rokita z waszej klasy. Przysadzisty, szerokopiecy z lekka pochylony, ma w swej postaci i twarzy (nomen omen) coś z polskiego diabła Rokity, co to wyłania się z błotnistych chaszczy rokitnicy. Jakże mylący jest sarkastyczny, „szatański" uśmiech poczciwego Leona! W istocie ów „Pludra", to człowiek o gołębim sercu, koleżeński, opiekuńczy, a przy tym niezły kawalarz i wysoko ceniony zawodnik na giełdzie graczy w „salonowca". Spod potężnych ciosów żelaznej łapy wyłącza honorowo kolegów lżejszej wagi...

Kiedy tak idziesz w słońcu tym tunelem ciszy i zieleni, spostrzegasz nagle przed sobą dawno nie widzianego „Rogalika" — Janka Turlejskiego, kompana z poprzedniej budy. Toczy przed sobą kamyk, śmieje się do siebie, porusza wargami, gestykuluje. Jeszcze cię nie zauważył, bo ma spuszczoną głowę. Stajesz. Czekasz, aż wpadnie na ciebie, jak na słup telegraficzny. Ale już spostrzegł cię, macha ręką i przyspiesza kroku:

Rys. Marek Kononowicz

— *Cześć, Filozof!* — wita cię dawnym przezwiskiem z miną chłopaka, przyłapanego na kradzieży jabłek.

— *Cześć, Rogalik! Co ty, urwałeś się z łańcucha? Pacierze szepczesz, czy sam się zabawiasz rozmową?*

— *Trochę zgadłeś z tym łańcuchem. Ale pacierze, to już zostawiam dla ciebie.*

— *Co robisz na tym bezludziu?* — pytasz zdziwiony.

— *Chodź do tych mariawitów, to ci powiem* — mówi i rozgląda się czujnie po wyludnionej ulicy.

Idziecie przez wąziutki, betonem pokryty cmentarzyk na tyły kościoła i siadacie na rozklekotanej ławeczce, stojącej pod kancelarią.

— *Szkoda, że ta furtka zamknięta. Patrz, jaki tam apetyczny, cienisty ogród. Rozciągnąć się tak na trawie, beknąć, popatrzeć na słońce, co?*

— *Robisz takie wrażenie, jakbyś się cieszył w imieniu całego proletariatu* — mówisz.

— *Całego, minus jeden* — odpowiada Turlejski. — *Wygarnęli dziś rano z domu Samuela Fuksowicza. Boję się, czy ktoś nie dał cynku niuchaczom. Muszę trochę przeczekać poza domem. Fuksowicz to z waszej budy. Na szczęście to twardziel i spryciarz, pary z gęby nie puści, chyba, że im dmuchnie odwrotną stroną medalu. Zresztą nie miał u siebie nic śmierdzącego. Nauczyliśmy się notować na korze mózgowej.*

— *Fuksowicz? Znam go. Dawał mi korepetycje z matematyki.*

— *Wiem. Mówił mi o tobie. Inaczej bym ci nie wspomniał. Podobno w tej nowej budzie robisz się coraz bardziej czerwony?*

— *Złudzenie. Ciągle jestem biało-czerwony. Tyle że zaczynam rozumieć czerwonych. A im bardziej ich rozumiem, tym bardziej szanuję i coraz bardziej jestem przeciw nim.*

— *Filozof, nie popisuj się paradoksami, bo zamącasz sprawę. Pewnie chodzi ci o marksizm, filozofię, tak?*

— *Tak. Chodzi mi o sekciarstwo światopoglądowe. Zamykacie drzwi przed ludźmi wierzącymi.*

— *Bo by nas rozsadzili od środka.*

— *A zobacz, Rogalik, czy to burżuje wypełniają kościoły, czy robociarze?*

— *Bo wy, wierzący, macie kościoły i możecie krzyczeć z ambon na całe gardło, a my nie mamy kościołów i kneblują nam gęby. Nasze kościoły, jak na razie, w więzieniach. Zobacz, ilu tam naszych siedzi. Ty chodzisz spokojnie, a mnie ganiają. Jakby tu przyszedł gliniarz z nagonki, to mnie zabiorą, a ciebie zostawią. Tak, czy nie?*

— *Mylisz się. Mnie też by zabrali.*

— *Za co? Za biało-czerwone kolory. Za to, że chodzisz do kościoła?*

— *Nie, bo bym im powiedział, że też jestem komunistą.*

— *Dlaczego?*

— *Sam nie wiem. Może z przekory, może przez głupią solidarność, może w imię naszej przyjaźni?*

— *Dziwny jesteś, Filozof. Trochę cię rozumiem. Ale to chyba świadczy i o tym, że jesteś coraz bliżej proletariatu, że kiedyś będziemy razem.*

— *To będzie zależeć od ciebie, czy będziemy razem, od tego, czy ty się zmienisz.*

— *Jak to rozumieć?*

— *Ja jestem z proletariatem dlatego, że wierzę w Pana Boga, a ty będziesz kiedyś z Panem Bogiem dlatego, że jesteś z proletariatem.*

— *Wiesz co, Filozof, zostawmy na razie ten temat. Wrócimy do niego, jak podrośniesz. Teraz jesteś jeszcze za krótki...*

— *Dobra. A ty przez ten czas zmądrzejesz* — uśmiechasz się i po przyjacielsku obejmujesz ramieniem jego plecy.

Chwilę milczycie. Patrzysz na wróbla, który bezczelnie podchodzi pod wasze stopy. Od strony Dworca Kaliskiego dobiega przeciągły gwizd lokomotywy. Turlejski przesuwa rogatywkę na tył głowy i ociera chusteczką kropelki potu. Ten gwizd lokomotywy przypomniał ci nagle, że ojciec Rogalika jest kolejarzem, często w rozjazdach, a matka męczy się cały dzień w swym sklepiku spożywczym. Patrzysz ukradkiem na twarz Janka. Zrobiło ci się go strasznie żal, że się tak szarpie i spala w nierównej walce, że jest jak szczuty psami zwierz, że tak się ogałaca z beztroskiej młodości dla dalekich, złudnych miraży. Chcesz jakoś zatrzeć atmosferę po tym starciu ideologicznym, zawrócić do wspomnień, wspólnych przeżyć z tamtej budy, powiedzieć coś ciepłego, serdecznego.

— *Pamiętasz, Jasiu, jak wypuściłeś z klatki na wolność synogarlice?*

— *Tak. Pamiętam.*

— *A pamiętasz, jak karmiłeś żółwia złotymi rybkami?*

— *Pamiętam... A to ty teraz powiedz, czy pamiętasz naszą jazdę na cyklodromie „Goliata"?*

— *Tak. I tych rzekomych karciarzy, co? No, a opowiedz mi trochę, co tam teraz słychać w twojej budzie? Są jakie zmiany?* — pytasz.

— *Przypominasz sobie Rudego?* — pyta Turlejski, wciągnięty w nowy temat.

— *Tak. Ryżawy glancuś.*

— *Wywalili go z budy. Nudził się w domu prywatnym i nakryli go w domu publicznym. W szeregach berlady też ubytki: w zeszłym roku utonął Fabers, ratując jakiegoś chłopca.*

— *Tak, słyszałem o tym od naszego szewca. Pokazuje mi podzelowane buty i mówi: „Patrz pan, profesór Fabers już po te buty nie przyjdzie. Utonął. Tyle nauki — i w ziemię. Miał mocny charakter, bo obczasy zdzierał od środka".*

— *A wiedziałeś, że umarł ksiądz?*

— *Nie.*

— *Na lekcji zbladł, chwycił się za pierś i upadł. Leman przeszedł na emeryturę. A nasz piękny germanista ponoć wplątał się w mało budujące historyjki z uczennicami z niemieckiej budy. A ojciec Maksia strzelił sobie w łeb po nie zaplanowanej plajcie.*

— *Jakie głupie jest życie i śmierć dorobkiewicza. Pęknie jak bańka mydlana z tak prozaicznego powodu. Gdyby tak każdy biedak w naszym mieście w łeb sobie strzelał z braku forsy, to zginęłoby pół miliona ludzi, co?*

— *Żeby strzelić sobie w łeb, trzeba mieć forsę na spluwę i pozwolenie na broń* — śmieje się Janek. — *Gdyby te pół miliona ludzi miało broń, strzelałoby nie w swój łeb, a całkiem do kogoś innego.*

— *A jak sport w waszej budzie?*

— *Wybacz, ale mnie to gówno obchodzi. Mogę ci tylko powiedzieć o jednym wyczynie sportowym: fizyk zamknął Maciaszczyka w kozie, a ten draniarz zsunął się po rynnie z trzeciego piętra i nawiał do domu. Kiedy po godzinie Dzieniakowski otworzył drzwi, to szukał go nawet pod szafą i w szufladach.*

— *I jak się to skończyło?* — pytasz.

— *Maciaszczyk wrobił w fizyka, że był zamknięty w sąsiedniej klasie, że musiał tam przesiedzieć całą noc, póki go woźny rano nie otworzył. Musiał odwalić woźnemu cały karton wafli z ich fabryczki, żeby tę wersję podtrzymał. A sport? Mówią, że dobrze u nas stoi. Jest przecież Pęski, Maciaszczyk, Janiec, Wisławski, Karmański, Karasiński, Glugla, Lissner, Steinert... Ale ty się chyba lepiej orientujesz ode mnie. Kupa naszych zabijaków sportowych przeniosła się do waszej budy, to pewnie ci mówili co i jak. Mój sport, to tylko rower. Czasem jeżdżę z Jańcem i Suwałą na wycieczki zamiejskie.*

— *Powiedz jeszcze, Jasiu, po coś się zaszwendał na tę uliczkę?*

— *Już ci mówiłem. Szedłem do tego kościoła, żeby przeczekać dzisiejszy dzień. Najbezpieczniej jest zawsze w poczekalni komisariatu, albo w kościele. Łapacze mają ograniczoną fantazję.*

— *Csss! Słyszysz fugę Bacha?* — przerywasz i nasłuchujesz.

— *Możliwe. Ja nie odróżniam Bacha od tanga Milonga. Nie mam czasu na te delikatesy.*

— *Szkoda. Pewnie gra ten mój kumpel z budy. Posłuchajmy.*

— *Możemy słuchać* — mówi Turlejski. — *Ja i tak jeszcze muszę tu swoje odsiedzieć, póki mi Zdzicho nie da cynku, że w domu jest wszystko w porządku. Możemy wejść do środka. Byle nas jaki kościelny nie zamknął, jak Dzieniakowski Maciaszczyka.*

KONIEC

I znów mamy okazję zaprezentować utwory naszych przyjaciół z Iwanowa. Już od kilku lat **„Odgłosy"** współpracują z gazetą **„Raboczij Kraj"**, na której łamach ukazało się wiele wierszy, opowiadań i artykułów pisarzy łódzkich. Ostatnio, na specjalnej kolumnie zatytułowanej „Braterstwo scementowane krwią", „Raboczij Kraj" opublikował opowiadanie Andrzeja Makowieckiego „Tylko jedna noc", wiersze Antoniego Kasprowicza, Igora Sikiryckiego i Tadeusza Chróścielewskiego oraz reportaż Ewy Ostrowskiej poświęcony naszemu miastu. Przekładów dokonali znani tłumacze: Walery Antipow, Siergiej Maszkow oraz Światosław Świacki. Na kolumnie tej znalazła się także poszerzona informacja o działalności iwanowskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej.

Tego rodzaju inicjatywy służą zbliżeniu i lepszemu poznaniu się wzajemnie. Dlatego też z satysfakcją rewanżujemy się nowym wyborem utworów pisarzy iwanowskich w przekładach łódzkich tłumaczy.

MIKOŁAJ GRACZEW

• • •

Pragnienie świeżego chleba
Nie spalonego na brąz
Lecz pachnącego życiem
Na dzień powszedni na życie

Pragnienie czułej pieszczoty
Nie przypadkowej pospiesznej
Lecz takiej co serca drgnieniem
przynosi ukojenie

Pragnienie swobodnej pieśni
Nie uwikłanej w fałsz
Dającej jak stary dzwon
wysoki czysty ton

ŚLAD

Gwiazda
czerwoną emalią płonąc
służyła żołnierzowi wiele lat
Teraz zdjęta z papachy
zostawia
odciśnięty trwały ślad

Ale i on z papachy zniknie
za rok lub dwa
Czas dni odmierza
Lecz pozostanie trwały ślad
w duszy żołnierza

Przekład: **JERZY WILMAŃSKI**

MARGARITA LESZKOWA

KAMIEŃ

Kamień przekształca się w ptaka
Kamień do nóg rzeka wytacza
Kamień wzejdzie daleką gwiazdą
Ożyje w cieniu ptaka
W kamieniu ogień drzemie
Kamień — poległych strzeże
Kamień wspina się na kamień
— dach wznosi
Okruszyną słońca
— kamień na palcu
Jak talizmanu będę go strzec
Kamień skradziony rzece
Od wroga ochroni
Kamień w ręku
— uderzy znienacka
Kamień trwogę
— dźwigaliśmy we wojnę
Kamień obelga
— zapadał nam w pamięć
Nie oczerniaj mnie kamieniem winą
Nie zabijaj kamieniem zdradą
Kamieniem rozłąką dni przestrzelone
Na skrzyżowaniu dróg stanie nade mną
— mój kamień stróż

KRAINA KRUKÓW

Czas wejść w Krainę Kruków
Gdzie drzewa nagie i bose
Na rdzawych liściach
Szron jak ołów
I las —
Pod czarnym żaglem kruków
Tam gniazd wzniesione rumowiska
Na schorowanych drzewach
Więzi cisza
Wiatr zamarł
Splótł już tęgie przęsła
Tam wyspa czarnej jesieni
Tam przystań
Znieruchomienie
Anabioza
Czas przenieść w ciszę
Żarłoczne troski
I niewygasłe lęki
Czas już wejść w Krainę Kruków

• • •

Oczernia mnie lustro
I kłamie odbicie
W zwierciadle wody
W fali szkła
przemija czas
Tylko w twoich oczach
gwiazda nie zachodzi
W twoich oczach czas nie kłamie

Przekład: **DANUTA ROSIŃSKA**

NIKOŁAJ SIŁKOW

DLA CIEBIE CIEPŁO MOJEJ DUSZY...

Połacie zbóż, zorana niwa,
Błękitem len płonący w maju,
To do was dusza ma przywarła,
Bezkresne pola mego kraju.

Tam śród zarośli rzeka płynie,
Tu gaj wzorzystych pełen cieni,
To bez was piękno nie istnieje,
Zielone lasy mojej ziemi.

Tak lubię zapach sianokosów,
Gdy świeże siano w stogach leży,
To za was, łąki i żuławy,
Poległo wielu tak żołnierzy.

Dostojna jest poranna cisza,
Gdy wiatr listowiem nie poruszy,
Dla Ciebie, ludu mej ojczyzny,
Uniosę pieśń i ciepło duszy!

GAWRONY

Gdy znikną mroki nocy,
Gdy wstanie świt zamglony,
Pofruną zatrzepocą
Nad naszą wsią gawrony.
W porannym, cichym brzasku
Ptak każdy ma zajęcie
I przywykł do ich wrzasku
Mój dziad, gdy był dziecięciem.
Co roku obserwując
Gawronów obyczaje
On w ich ruchliwych stadach
Znajomków rozpoznaje.
Ty dziwisz się gawronom,
Co gardząc lasem, wodą,
Co tak jak Ruś szeroka
Śród ludzi życie wiodą?
Zapytaj więc starego,
A padną słowa takie:
„Być może to dlatego,
Że lubią nas te ptaki".

• • •

Wieść otrzymawszy od syna,
Matka już łez nie ukrywa.
Z czym dziś listonosz przybywa?
Łzy po policzkach jej płyną.
Wieść otrzymawszy od syna
Matka już łez nie ukrywa.

Każda linijka posłania
Ciepła jest, czuła, radosna.
Wiatry, zawieje nieznośne,
Proszę, nie mącćie spotkania.
Każda linijka posłania
Tyle nadziei przyniosła.

Wiele oddałaby mama,
Żeby odeszły ją lęki,
Żeby znów stał się maleńki,
Żeby starczała mu sama.
Wiele oddałaby mama,
Żeby znów stał się maleńki.

Listy przychodzą tak rzadko,
Czeka wciąż we dnie i w nocy,
Czekać nie staje już mocy.
Odwiedź ją czasem, sąsiadko!
Listy przychodzą tak rzadko,
Czekać nie staje już mocy.

Przekład: **ELEONORA KARPUK**

IWAN PIETRUCHIN

JADWIGA

Serdecznie się Polka nachyla:
Ma piegi i włosy miedziane,
Zupełnie jak rosyjska dziewczyna,
Nachyla się z troską nad rannym.

Cóż:
wszyscyśmy siostry i bracia,
Jedna nas ziemia rodziła.
Lecz gdy Polska z Rosją w objęciach,
Nowa stąd zrodzi się siła.

Jest nagle spokojnie i cicho,
A piekła boleśnie wciąż rana.
Dzięki ci,
dzięki, Jadwigo,
Za ocalenie Iwana.

Przekład. **KONRAD FREJDLICH**

WITALIJ SERDIUK

SYN ŻOŁNIERZA

Już odchodziłem od witryny... Przypadkowo wzrok musnął cieniutką książeczkę w zupełnie niepozornej obwolucie. Oczy obojętnie poszukały nazwiska autora — Giennadij Sieriebriakow! Znalazłem!

Ileż to było sporów wokół tej książeczki, ile nadziei związanych z nią. To nie błahostka — pierwszy tomik wierszy wydany przez centralne wydawnictwo. Nareszcie...!

Wziąłem go do ręki — „Najedinie s Rossijej", wydawnictwo „Sowietskaja Rossija". Czytałem te wiersze strona za stroną, kartka za kartką. A kiedy palce odwróciły ostatnią — odczułem pragnienie porozmawiania z kimś o tych wierszach, o ich autorze, o przyjacielu i ziomku z Iwanowa, poecie i dziennikarzu.

TAK BYŁO...

Eszelony pędziły na wschód. W nich byli ludzie, których trzeba było zawieźć jak najdalej od granicy, jak najdalej od Czortkowa, od wojny. W kącie wagonu Klaudia Iwanowna tuli do siebie synów — Jurę i Gienę. Myśli ich lecą w przeciwnym kierunku — ku mężowi i ojcu, ku synowi i bratu. Jak tam oni, czy żyją?

A garnizon miasteczka, którego dowództwo objął kapitan wojsk wewnętrznych Wiktor Aleksiejewicz Sieriebriakow już rozpoczął bój. Obok ojca walczył najstarszy syn — szesnastoletni Żenia. To była ciężka, gorzka walka. O każdą uliczkę, każdy domek, każdy ogródek...

Faszystowski snajper zamaskowany na strychu któregoś z domów nie dawał nawet oderwać głowy od ziemi. Gdyby go można było zdjąć! Ale poszedł już jeden żołnierz, drugi... nie wrócili. „Idź ty, Żenia — powiedział ojciec. — Weź mój pistolet... Bądź ostrożny".

Chłopiec pełznął jak wąż, szybkim cieniem ślizgał się wzdłuż domów. Kiedy stanął na strychu, snajper ładował właśnie karabin. Rzucił się na chłopca, a ten ze strachu wbił w niego prawie cały magazynek.

Eszelony z Czortkowa były wtedy już daleko i trzyletni brzdąc z zachwytem przylepiał nos do okna wagonu: „Mamo, samolot...". Ale dorośli nie wiedzieć czemu nie podzielali jego radości, siedzieli posępni. Nieprzyjacielskie samoloty już od dość dawna nie odstępowały od pociągu. Messerschmidty huczały złowrogo, nurkowały nad dachami wagonów, ale nie zrzucały bomb, nawet nie strzelały. To niepojęte zachowanie samolotów wyjaśniło się dopiero na którejś ze stacji. Na dachach kilku wagonów była wymalowana swastyka. Kogoś ścigano, komuś sprawdzano dokumenty... Później szeptem opowiadano sobie, że złapano szpiega który chciał przedostać się na głębokie tyły. W świadomości Gieny pozostały takie wspomnienia: „Chata. Łóżko, zdjęcie w czarnej ramce./ Za ścianą szepty: — Chłopak z miasta!/ A ręce sennie pachnące sianem/ Niosły na stół porowate ciasto./ Podsuwały skamieniały piernik/ Jeszcze przed wojną przywieziony z cukierni./ Upojny był oddech mleka z dzbana.../ ...Po raz pierwszy płakałem nie ze strachu,/ Po raz pierwszy — z ludzkiej dobroci.../.

Resztki garnizonu kapitan Sieriebriakow poprowadził pod Umań. Tam znów garstka jego żołnierzy została okrążona. Wtedy w tym piekle ojciec i syn zgubili się. Wiktora Aleksiejewicza rannego w obie nogi ukryła w swej chacie prosta wieśniaczka. Kiedy trochę przyszedł do siebie, wystrugał kule i ruszył na wschód — szukać partyzantów. Szedł nocami, nie tracił wiary, że dojdzie. Znalazł się na Briańszczyźnie. Owładnęło nim teraz tylko jedno pragnienie — żądza zemsty. Pomścić zhańbioną ziemię ojczystą, matki, żony, dzieci, krew i łzy.

Któż znał tego siwego człowieka chodzącego o kulach? Kto mógł wiedzieć, czy to swój, czy obcy? A on prosi, żąda: „Dajcie mi broń...". Drogą radiową zapytano o niego Moskwę. Otrzymano potwierdzenie, że W. A. Sieriebriakow to wzorowy oficer. Mianowano go szefem sztabu oddziału partyzanckiego. W krótkim czasie zdobył szacunek i miłość współtowarzyszy: za szczerość, odwagę, rozsądek, za humanitarny stosunek do ludzi. Partyzancka „republika" rosła, poszerzała się, umacniała. Oddział stał się brygadą.

Po kilku miesiącach wezwano Wiktora Aleksiejewicza na „Wielką Ziemię", do Moskwy. Został mianowany dowódcą nowej brygady partyzanckiej. W drodze powrotnej jednak, gdy samolot już podchodził do bazy, zaatakował go Messerschmidt... /Ja o gwiazdach znów o gwiazdach,/ Nie o tych dalekich, lecz o bliskich/ O tych, co wzbijają się w czyste powietrze/ Na niezliczonych obeliskach.../ Ułożę z nich gwiazdozbiory, niezwykłe/ Gwiazdozbiory miłości i bólu, wierności, co śmierć zwycięża/ ...Być może, gdzieś w nieobjętych przestworzach/ Znajdę gwiazdę ojca — żołnierza/.

OJCOWIE I DZIECI.

To było trzy lata temu. Pamiętam. Zajrzałem do redakcji komsomolskiej gazety. „Szef" Giennadij podszedł do mnie: — Stary, jadę do Moskwy. Pionierzy zaprosili partyzantów z oddziału ojca. Chcą się spotkać z nami — z Żenią, Jurą i ze mną...

Zebrało się około stu osób. Weterani oddziału partyzanckiego przyjechali zewsząd: z Ukrainy, z Kazachstanu, z Gruzji, Białorusi... Nawet z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pobieleni siwizną, z śladami starych ran, ludzie, którzy do końca pozostali wierni partyzanckiej przyjaźni, wspólnej sprawie.

Nauczyciel fizyki 445 szkoły dzielnicy Pierwomajskiej w Moskwie Paweł Iwanowicz Moskalenko — to również były partyzant. Z jego to inicjatywy uczniowie-pionierzy prowadzili długie poszukiwania tych wszystkich, którzy walczyli w brygadzie. On podał uczniom myśl, aby urządzić w szkole muzeum mścicieli ojczyzny. Z wielką serdecznością witano honorowych gości tego spotkania — synów szefa sztabu brygady Wiktora Aleksiejewicza Sieriebriakowa.

W sali ramię przy ramieniu siedzieli ludzie, których życie było piękne i zadziwiające. Oto ściskają sobie ręce były lekarz brygady i jego pacjent, któremu trzeba było amputować nogę przy pomocy piły. A obok — podpułkownik wojsk NRD. W pierwszych dniach wojny niemiecki komunista Alfred Kehnen przeszedł na stronę radziecką, znalazł się w oddziale partyzanckim i stał się niezastąpionym zwiadowcą. O jego brawurowych akcjach do dziś krążą po Briańszczyźnie legendy. Każdy z tu obecnych jest wcieleniem losu burzliwego i niezwykłego, życia ciekawego i niepowtarzalnego.

Jewgienij Wiktorowicz Sieriebriakow, ten sam Żenia, który zaczął walkę jako szesnastoletni chłopiec, opowiada pionierom o sobie: „Dwa razy brano mnie do niewoli i oba razy udało mi się umknąć śmierci. Za drugim razem uciekłem z pociągu wyłamawszy kilka desek w wagonie. To było w Polsce. Przedostałem się do lasu. Razem z Polakami walczyłem przeciwko jednako znienawidzonym okupantom". A może żyją jeszcze w Polsce jego towarzysze broni? Jewgienij chętnie skontaktowałby się z nimi.

Tego spotkania z partyzantami-weteranami nie zapomną chyba nigdy uczniowie 445 moskiewskiej szkoły, spotkania z ludźmi których życie stało się legendą. A potem po weteranach wystąpił syn partyzanta — poeta Giennadij Sieriebriakow: /Kiedy posyłasz sztandar ku gwiazdom/ Lub w głąb oceanu idziesz na zwiad/ Pamiętaj święcie — częścią ojca jesteś.../

To były wiersze o ojcach i dzieciach, o męstwie i odwadze, o wierności ojczyźnie.

Wiersze. Przecież o nich chciałem przede wszystkim mówić. A tymczasem wyszło o czym innym — o źródłach twórczości poety Giennadija Sieriebriakowa. Mówiąc szczerze i krótko — bardzo mi się jego poezja podoba. Nie rani fałszem, nieprawdziwą metaforą, dysonansem rymu. Temat walki światła i czystości z mrokiem i brudem, które są jeszcze w naszym życiu obecne — oto główna treść tej poezji. Autor nie ucieka od skomplikowanych problemów świata, nie zaciera ostrych krawędzi. Jego postawa wobec życia jest przedłużeniem postawy ojca, jest uczciwa i pryncypialna.

Przekład: **WASYL KOCZNOW**

MACIEJ ŁUKOWSKI

W KRĘGU KULTUR I OBYCZAJÓW

Film etnograficzny rozwijał się obok głównego nurtu innych kręgów tematycznych filmu popularno-naukowego, będąc przez wiele lat przedmiotem sporów między naukowcami a filmowcami. Etnografowie uważali, że filmowy zapis obyczaju powinien być jedynie obiektywną rejestracją bez twórczego udziału reżysera, że powinien stanowić chłodny dokument autentyku, zastanego w określonym miejscu i czasie. Filmowcy byli innego zdania, widząc w etnograficznych zagadnieniach szansę atrakcyjnego tworzywa, które ułożone ręką filmowego twórcy będzie nie tylko ciekawą formą zapisu dokumentalnego, ale przede wszystkim atrakcyjnym elementem popularyzacji ginących obyczajów, tradycji, strojów, umiejętności rzemieślniczych. Spory te nie sprzyjały szybkiemu rozwojowi polskiego filmu etnograficznego.

Chyba dopiero lata siedemdziesiąte przyniosły zdecydowaną zmianę w traktowaniu filmu etnograficznego. Jest to okres widocznego zwiększenia zainteresowania społecznego sprawami ludowych tradycji i obrzędów; rodzi się także nieznany poprzednio nurt filmów światopoglądowych, sięgających do zwyczajów, obrzędów i kultur całego świata. Chyba na zasadzie sprzężenia zwrotnego **cykl filmów o Biblii**, a później cykl **„Religie świata"**, wzbudziły zainteresowanie wierzeniami i obrzędami polskimi.

TROPAMI FOLKLORU

Pierwszym powojennym obrazem, w którym odnajdujemy pierwiastki filmu etnograficznego, było **„Podhale w zimie"**, w reżyserii **Jerzego Salapskiego** z r. 1948. Klasyczny ten film krajoznawczy, bez głębszych ambicji analitycznych, zawierał interesującą sekwencję poświęconą tworzeniu koronek i haftowaniu góralskich spodni.

Rejon Podhala i inne tereny górskie, przez nabliższych dziesięć lat były penetrowane przez filmowców najczęściej. W roku 1952 **Zbigniew Bochenek** zrealizował film **„W Beskidzie Śląskim"**, w którym zajął się także strojami i obyczajem. W tymże roku ukończył drugi film o podobnej formule krajoznawczo-etnograficznej pt. **„Pieniny"**. Pięć lat później przyszła kolej na jego **„Spotkanie z Beskidem"**.

Filmy te mają podobną formułę konstrukcyjną, są opowieściami o walorach wybranej ziemi, pokazują jej topografię, zabytki, walory przyrodnicze, przypominają ludzi, którzy mają własną tradycję, własne obyczaje i własne stroje. Folklor pojawia się tu obok współczesności i stanowi pewien turystyczny rarytas, a nie przedmiot dokładnej analizy.

W tych latach (1948—1957), w których wobec wąskiego zasięgu telewizji, film krajoznawczy spełniał rolę jedynego wizualnego informatora w kraju, nie odnajdziemy filmów poświęconych np wyłącznie jednemu obrzędowi, lub pewnemu zespołowi obrzędów, charakterystycznych dla wybranego rejonu. Dopiero w roku 1957 został ukończony pierwszy film, który w całym swym kształcie stał się filmem etnograficznym. **„Wesele na Kurpiach"** reżysera **Jerzego Stefańskiego**, dosyć swobodnie kształtujące obraz na swój własny użytek, było realizowane przez kilka lat. Sam obrzęd był w pełni inscenizowany. Tym samym tropem poszli trzy lata później **Konstanty Gordon** w **„Weselu białoruskim"** i **Roman Woźniakowski** w **„Weselu łowickim"**. Realizatorzy poszli tropem doświadczeń ludowych zespołów artystycznych, które w swoim repertuarze mają takie właśnie obrzędowe widowiska.

Zgodnie z panującą w tamtych latach modą, film oświatowy ulega bardzo wyraźnym wpływom filmu fabularnego, inscenizacja uważana jest za pewną warsztatową doskonałość, z której wynika ostateczny, wygładzony i dramaturgicznie sprawny kształt filmu. Ówczesne kryteria oceny nie dopuszczały „brudów" naturalności filmowego zapisu, nawet rozmowy przeprowadzane w warunkach naturalnych były „przykrywane" postsynchronami, aby uzyskać ostateczny, nienaganny kształt. Owa nienaganność przekształciła się szybko w niekorzystną manierę.

Nurtem bardziej zbliżonym do zapisu naturalnego była filmowa rejestracja trwających jeszcze zwyczajów i obyczajów ludowych. Klasycznym jej przykładem jest film **Stanisława Grabowskiego** pt. **„Do Studziannej"**, rejestrujący tradycyjny jarmark i odpust. Film próbuje stworzyć szeroką panoramę zdarzeń występujących przed rozpoczęciem życia handlowego jarmarku, w czasie jego trwania i tuż po zakończeniu. Tę samą metodę, rozwiniętą później twórczo przez innych, zastosował S. Grabowski w połowie lat 70-tych w filmie o jarmarku końskim w Bodzentynie.

Na początku lat sześćdziesiątych pojawia się wśród twórców filmu etnograficznego postać **Witolda Żukowskiego**. Jego dwa filmy **„Na Kaszubach"** z r. 1961 i **„Kurpie"** z roku 1964, dają inne, głębsze spojrzenie na sprawy folkloru, tradycji i funkcjonujących do dziś obrzędów. Są jednak one nadal filmami na pograniczu krajoznawczych, a więc obciąża je współczesny obraz regionu z wszelkimi atutami jego gospodarki. W późniejszych filmach Żukowski skupi się wyłącznie na zagadnieniacn etnograficznych, co przyniesie filmy o wiele atrakcyjniejsze.

Filmy etnograficzne, jakie zaproponował Żukowski, były kolejnym krokiem w kierunku pełnoprawnego włączenia problematyki folkloru, obrzędu i ludowej kultury do programowych zamierzeń polskiego filmu krótkometrażowego.

Ludowe obrzędy były zazwyczaj dużą atrakcją dla widzów filmu oświatowego, którzy nie mieli okazji oglądać ich w innych warunkach. W roku 1960 **Tadeusz Kallwejt** zrealizował film **„Nad Bałtykiem zielonym"**, w którym umieścił piękny obrzęd przyjmowania nowego członka do związku rybackiego (maszoperii). Kallwejt zwracał dużą uwagę na to, aby jego filmy były widowiskowe, aby obrazem przekonywały o sprawach, o których mówią Tak było w jego filmach o starych tradycjach przemysłu i rzemiosła, jak **„Huta sprzed stu lat"** czy **„Słony chleb"**.

Wśród stałych twórców filmu etnograficznego, podejmujących konsekwentnie tę tematykę, wymienić należy wspomnianego już **Zbigniewa Bochenka**. W roku 1961 zrealizował on klasyczną już dzisiaj **„Pasterską opowieść"** o życiu pasterzy podhalańskich. Film wywołał duże spory wśród konsultantów, którzy nie mogli pogodzić się z tendencjami inscenizacyjnymi Bochenka. Życie pasterzy podporządkowane było koncepcji dramaturgicznej, opartej na prostym wydarzeniu, jakim było zaginięcie jednej owcy w górach i podjęcie poszukiwań przez bacę i pomocników. Konsultanci twierdzili, że zewnętrzne i odświętne zarysowanie obrazu życia codziennego pasterzy wypacza obraz autentyczny. Bochenek stał jednak na stanowisku, że film powinien zawierać elementy charakterystyczne, znane powszechnie, niewątpliwie kojarzące się z ową odświętnością życia pasterskiego. Film został ukończony według koncepcji reżysera i zyskał sympatyczny odbiór wśród widzów. Do końca jednak stanowi, przypomniany jeszcze po latach, przykład kolejnego sporu naukowców i filmowców.

Kazimierz Mucha stanął na innym stanowisku. Uwzględniając sugestie konsultantów, szedł tropem codzienności, próbując stworzyć obraz autentyczny i przemawiający do widza. Jego film **„Orawo, Orawo"**, spełnił istotną rolę w popularyzowaniu mało znanego regionu o specyficznej kulturze.

Przy podsumowywaniu poszukiwań formalnych i tematycznych należy wymienić film **Stanisława Janickiego „Cienie czasu"**. Był to pierwszy odcinek, planowanego jako 4-częściowy, cyklu **„Obrzędy i obyczaje ludu polskiego"**. Dalsze części nie powstały, a **„Cienie czasu"** były przedmiotem kontrowersyjnych sądów. Janicki zastosował pełną inscenizację, aby w sposób bardzo zagęszczony, zwarty, pokazać najciekawsze obrzędy wiosenne ludu kaszubskiego. Odwołał się do wrażliwości odbiorców, pozostawiając obraz bez autorskiego komentarza, nie wdając się w etymologię. Trop, jakim poszedł Janicki, jest niewątpliwie tropem przyszłościowym, ale ma on jedynie szansę wtedy, gdy jego filmy będą w pełni komunikatywne.

Śladami folkloru podążają filmowcy telewizyjni, rejestrując obrzędy także w ich kształcie naturalnym, częściej jednak uciekając się do występów zespołów ludowych. **Witold Żukowski** przygotował w roku 1979 cykl krótkich filmów telewizyjnych, będących mini-monografiami wybranych obrzędów, takich, jak **„Topienie Marzanny"**, **„Gaik-maik"**, itp. Niezwykle atrakcyjna forma obrazu, kompletności obrazowego opisu obrzędu, pozwoliły uzyskać optymalny chyba kształt współczesnego filmu informującego o obrzędach ludowych. Zupełnie otwartą kartą są natomiast ludowe wierzenia i wynikające z nich obrzędy ukazane w ciągłości etymologicznej.

NIEŚĆ MUZYKĘ W SOBIE

Obrzędowi ludowemu towarzyszy piosenka, muzyka, taniec. Tkwią one w ludowej zabawie, bywa, że stanowią komentarz do spektaklu. Muzyka, ta z obyczajów i obrzędów, trafiła do filmu stosunkowo późno. Pierwszym filmem gromadzącym ludowe przyśpiewki i tańce był film **Macieja Sieńskiego** z roku 1954 **„Świetlica znalazła piosenkę"**. Była to opowieść o pracy świetlicy w jednej ze wsi łęczyckich, której praca oświatowa polegała na zbieraniu starych ludowych piosenek i przyśpiewek. W roku 1958 **Stanisław Grabowski**, prezentując pracę Jadwigi i Mariana Sobieskich, ujawnił działania profesjonalne w tym zakresie; bohaterowie filmu, idąc śladami Kolberga, gromadzili istniejące jeszcze w ludzkiej pamięci ludowe utwory muzyczne i pieśni.

Na kolejny film o ludowej muzyce trzeba było czekać całych trzynaście lat. W roku 1972 **Kazimierz Mucha** zrealizował **„Kozła śpiewającego"** — o twórczości ludowego artysty, Tomasza Śliwy ze Zbąszynia, który wytwarzał stare, ludowe kozły, nauczając jednocześnie w tamtejszej szkole muzycznej, kultywując tradycje swego rzemiosła i także umiejętność gry na tym instrumencie. W kilka lat później film stał się nieocenionym dokumentem (T. Śliwa zmarł), unaoczniając wagę działań zmierzających do utrwalenia zanikających zjawisk i tradycji. Drugim filmem Mucha dotarł do terenów, które poprzednio przedstawił od innej strony w filmie „Orawo, Orawo". Tym razem interesowała go ciągłość tradycji śpiewania ludowych piosenek i muzykowania, zgodnych z dawnym rytuałem. Główną postacią filmu jest Andrzej Haniaczyk, kierownik miejscowej szkoły, jednocześnie szef folklorystycznego zespołu dziecięcego oraz zbieracz starych piosenek i utworów ludowych. Obydwa filmy zachowują formułę rozbudowanego reportażu, w którym osią przewodnią są wypowiedzi głównych bohaterów.

Mają te dwa filmy swoje tematyczne odpowiedniki w twórczości **Witolda Żukowskiego** z roku 1975. Żukowski także zrealizował w tym roku dwa filmy, z których **„Trąbiróg gajdy Jana Kawuloka"** poświęcony jest sylwetce znakomitego rzemieślnika, twórcy ludowych instrumentów, drugi — **„Beskidzie, Beskidzie, kto po tobie idzie"** — postaci Józefa Brody, nauczyciela ze wsi Kosarzyska i Koniakowa, który konsekwentnie utrwala i upowszechnia wiedzę i praktyczną naukę o ludowych śpiewakach z tego regionu. Różnią się te dwa zestawy filmów formułą estetyczną. Żukowski zrezygnował z większości tekstów, pozostawiając więcej szans dla obrazu. Szczególnie w filmie o Kawuloku konstrukcja następujących po sobie dużych zbliżeń obrazujących etapy tworzenia instrumentu stanowi kolejny krok w przedstawianiu złożoności procesu tworzenia ludowego przedmiotu. Formuła ta ujawni się z jeszcze większym rozmachem w filmach Witolda Żukowskiego z cyklu **„Z tradycji rzemiosł i sztuki ludowej"**.

Zupełnie odrębnym przykładem jest film **Piotra Szulkina „Dziewce z ciortem"**, nagrodzony wieloma nagrodami krajowymi i zagranicznymi. Mamy tu do czynienia z zupełnie nowym obszarem tematycznym i nową formą estetyczną. Ludowa ballada — jeden z najstarszych zabytków polskiej kultury ludowej, został przetworzony w piękny, sugestywny obraz filmowy, jasełkowe widowisko, filmowy moralitet. Szulkin odkrył nowe, nieznane dotąd obszary możliwości popularyzowania, lub choćby utrwalania tak ulotnych form, jak ludowa ballada. Forma ta różni się w sposób wyraźny od doświadczeń wcześniejszych (z lat 1966), kiedy to **Jerzy Szeski** zrealizował dwa filmy będące próbą filmowego widowiska opartego na ludowej balladzie (**„Ballada o Kasiuleńce i Jasiu"** oraz **„Ballada o pięknej tatarównie"**). W obydwu przykładach sięgnięto do doświadczeń technik specjalnych i filmu lalkowego; w filmie Szulkina mamy do czynienia z żywymi obrazami, w których biorą udział aktorzy i mieszkańcy wsi.

Z TRADYCJI RZEMIOSŁA

Unikalne i ginące zawody zawsze wzbudzały zainteresowanie, a ich atrakcyjne wizualnie produkty interesowały filmowców. W historii polskiego filmu oświatowego pierwsze filmy podejmujące tę tematykę odnajdujemy w roku 1957. Wtedy to reż. **Tadeusz Kallwejt** zrealizował inscenizowany film oświatowy **„Huta sprzed stu lat"**. Film rozpoczyna się wewnątrz nieczynnej już huty. Oglądamy dziwne urządzenia, zakurzone i jakby niepotrzebne, które fascynują swoją prostotą konstrukcyjną. Oto jednak stara huta ożywa, obserwujemy te same maszyny przy pracy, przy wytwarzaniu prostych, ale potrzebnych przedmiotów. Zmyślność konstrukcji owych maszyn, ich przydatność, wprawia widza w zadumę. Rok później Kallwejt kontynuuje prezentowanie starych zawodów, dawnych umiejętności, starych rzemiosł. Tym razem wprowadza widza do kopalni soli w Wieliczce. I tu nie wystarczają mu stare dokumenty i rysunki. Przenosi widza w świat minionych umiejętności poprzez poruszenie starych kół, wprowadzenie koni, które uruchomiają wielkie kopalniane windy. Bohaterowie filmu zjeżdżają na dół i posługując się narzędziami sprzed lat, wyrąbują sól. Filmy te zyskiwały popularność i dziś, po latach, okazują się także skuteczne.

W roku 1959 Kallwejt realizuje trzeci film, kontynuując raz obraną drogę. Przedmiotem zainteresowania są drewniane koła górskich foluszy, tartaków i młynów poruszanych bystrą wodą potoków. Film **„Hej, bystra woda"** oparty jest na zasadach podobnych do tych, jakie obowiązywały w „Hucie sprzed 100 lat" czy filmie „Słony chleb". Obiektem filmowania są zazwyczaj autentyki, a jedynie dokomponowanie do nich postaci, które nadawały owym autentykom wymiar instrumentów pracujących, było zabiegiem nieco fałszującym lub po prostu w dość dowolny sposób przedstawiającym historię. I jeśli mówimy o nagrodach z lat siedemdziesiątych dla cyklu filmów W. Żukowskiego „Z tradycji rzemiosł i sztuki ludowej", warto wspomnieć o Kallwejcie, który stawiał pionierskie kroki w takim właśnie, bardzo obrazowym traktowaniu rzemieślniczej tradycji.

Atrakcyjnym motywem filmów etnograficznych jest architektura, fotogeniczna, zawierająca elementy atmosfery czasu minionego. W roku 1964 **Stanisław Grabowski** podjął filmową dyskusję **(„Drewno, beton")** nad aktualnym stanem budownictwa podhalańskiego. Przedstawiając różne istniejące rozwiązania, opowiedział się za mądrym łączeniem tradycji ze współczesnością. Kilka lat później **Kazimierz Mucha** w filmie **„Rytmy spiskie"** sięgnął do architektury drewnianej regionu Spisza i Orawy. **Edward Pałczyński** znów, realizując film o ginących drewnianych wiatrakach ,sięgnął po bogatą paletę filmowych środków, idąc w kierunku filmu poetyckiego, w którym zabytkowy wiatrak jest tylko atrakcyjnym tłem. Do wiatraków wrócił po latach **A. Bogusławski** w filmie **„Koźlaki, paltraki"**. Zapoczątkował on w roku 1976 dużą serię pod wspólnym tytułem **„Architektura drewniana w Polsce"**, realizowaną przez Wytwórnię Filmów Oświatowych wspólnie z telewizją.

Realizację cyklu powierzono różnym twórcom, każdy z nich miał szansę nieco innego spojrzenia na zagadnienie. Powstały filmy różne, jedne o daleko idących ambicjach artystycznych, inne bardziej zbliżone do solidnej dokumentacji. M.in. **Władysław Wasilewski** zrealizował film **„Drewniane cerkiewki"**, w których w oparciu o pastorałki Harasymowicza snuje poetycką balladę o drzewie i ginącym pięknie bieszczadzkich cerkiewek. **Zbigniew Bochenek** zrealizował według klasycznych wzorów popularno-naukowy film **„Dębno — suita z drewna"**, będący rzetelną opowieścią o wszystkich atutach tego niezwykłego zabytku.

W cyklu tym powstały filmy o chałupach nadmorskich, o drewnianych zabudowaniach Polski centralnej, o chatach z gór, o karczmach, zajazdach i drewnianych kościółkach. Był to największy tego rodzaju cykl filmów wprodukowanych w Polsce.

Cały cykl konsekwentnie popularyzowała Telewizja Polska w serii programów pod wspólnym tytułem **„W kręgu kultur i obyczajów"**, który pomieścił większość polskich powojennych filmów etnograficznych.

W roku 1975 **Witold Żukowski** zaprezentował po raz pierwszy **„Jarmark w Leżajsku"**, otwierając nim nowy cykl **„Z tradycji rzemiosł i sztuki ludowej"**. Film był rejestracją zjawisk zaobserwowanych na dorocznym jarmarku organizowanym w Leżajsku z okazji święta kościelnego. Obserwacja jarmarku jest w tym filmie jedynie pretekstem do pokazania rzemieślniczych umiejętności wytwarzania różnych przedmiotów z drewna Spacerując po barwnym terenie kamera wyławia unikalne już dziś naczynia drewniane, zabawki, przyrządy pomiarowe. Gdzie niegdzie zatrzymuje się, a owo zatrzymanie wypełnione jest relacją z poszczególnych etapów powstawania oglądanego sprzętu w warsztacie rzemieślniczym. Film opiera się na długich ujęciach i bardzo dużych powiększeniach. Obserwujemy bruzdy zapracowanych rąk, każde posunięcie hebla, ruch dłuta, uczestniczymy w powstawaniu przedmiotu. Do sensacyjnych zdjęć tego filmu należy sekwencja (robiona właściwie jednym ujęciem) wyciosywania łyżki drewnianej przy pomocy siekiery. Drugim filmem z cyklu był **„W garncarskim rodzie"**, zrealizowany w Łążku Ordynackim. I tu główna uwaga skupiona jest na technologii tworzenia, na obserwacji każdego ruchu dłoni, na kole garncarskim, na ułożeniu włosa pędzla dekorującego naczynie. Filmy wzbudziły ogromne zainteresowanie, szybko obiegając cały niemal świat.

Filmy z cyklu **„Z tradycji rzemiosł i sztuki ludowej"** urosły do rangi modelu. Operują wyłącznie obrazem (tekstu w nich nie ma), dużym zbliżeniem, długimi ujęciami. Są konstruowane na zasadzie stałej obecności w procesie tworzenia. Gotowe dzieło jest klamrą rozpoczynającą nasze zainteresowanie i wieńczące ostateczny efekt.

DZIŚ I JUTRO FILMU ETNOGRAFICZNEGO

Rośnie wśród polskich filmowców zainteresowanie tematyką etnograficzną, zmienia się kształt filmu. Rozszerza się też krąg działań amatorskich (istnieje nawet specjalne stowarzyszenie filmu entnograficznego). Ludowe wierzenia, obyczaje i tradycje są barwną i atrakcyjną sferą poszukiwań tematycznych. Witold Żukowski przygotowuje się do cyklu czterech filmów, które mają owe widzenie i obrzędy przedstawić w systemie uporządkowanymi porami roku. Jest to praca gigantyczna, nie tylko samego filmowca, ale i wielu naukowców, którzy opracowują założenia i dokumentację. Jak widać ów sojusz ze światem nauki jest dziś oczywistością, bez pomocy nauki nie może powstać żaden dobry film etnograficzny.

Konsekwentnie zajmowała się tą tematyką jedynie Wytwórnia Filmów Oświatowych, a ostatnio Redakcja Programów Oświatowych Telewizji Polskiej. Doświadczenia WFO oraz możliwości finansowe i emisyjne telewizji powinny stworzyć szansę dla realizacji całych seriali popularnonaukowych, których tak wiele przecież potrzeba i taką cieszą się popularnością.

Czy film etnograficzny jest potrzebny? Pytanie chyba czysto retoryczne. Jest to film na wskroś światopoglądowy, pozwalający na refleksje pełne i głębokie; angażuje widza intelektualnie i emocjonalnie, nie pozostawiając go bojętnym wobec spraw, których, być może, nie był w stanie wcześniej zauważyć.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

CZAS KONFRONTACJI (2)

1.

Przyjęty u nas trwale system „konsumowania" kultury dzieli się na okresy szarej codzienności i okresy święta. Dla widzów kinowych jedynym w swoim rodzaju świętem są „Konfrontacje". Parenaście tysięcy ludzi w kilku miastach Polski ogląda w prawie tym samym czasie filmy, które w repertuarze najbliższego roku będą pozycjami należącymi do bardziej interesujących. Jest to zjawisko, które trwale zapisało się w życiu kulturalnym, zjawisko — jakiego nie można porównać pod względem popularności z żadną inną imprezą filmową. Za jego powodzeniem stoi z pewnością magia odświętności, niezwykłości, dwutygodniowego transu (codziennie ponad dwie godziny w kinie). Seanse popołudniowe mają w tym roku w łódzkich kinach frekwencję stuprocentową. I tak jest już od wielu lat. Nic w tym zresztą dziwnego: „Konfrontacje" są potrzebne szczególnie w Łodzi, gdzie poza szkołą filmową i wyspecjalizowanym środowiskiem twórców i pracowników filmu (WFO, Semafor, WFF) istnieje liczna grupa działaczy i uczestników ruchu DKF.

Na sali widzi się przede wszystkim widzów młodych. Z obserwacji przypuszczam, że jakieś kilkanaście procent studentów łódzkich uczelni bierze udział w „Konfrontacjach", a są specjalistyczne kierunki (kulturoznawstwo), gdzie liczba ta zbliża się do stu procent. Zwłaszcza rewelacyjną frekwencję można było zauważyć na „Hair". Być może zadecydowała o tym pamięć o micie głośnego musicalu, który otarł się o świadomość poprzedników dzisiejszych widzów. A może po prostu popularność Formana po jednym z ważnych wydarzeń ubiegłego sezonu kinowego — jego słynnym „Locie nad kukułczym gniazdem".

2.

„Hair" Formana to film, w którym nie po raz pierwszy mamy okazję przekonać się, w jakim stopniu twórca ten posiada umiejętność przeobrażania nieskomplikowanych fabuł, zwyczajnych sytuacji, w materiał głębokich diagnoz społecznych. Było tak już w czeskich filmach Formana — zwłaszcza w „Miłości blondynki". W amerykańskim okresie jego twórczości wszystkie trzy filmy — „Odlot", „Lot nad kukułczym gniazdem" i „Hair" — dotykają (w bardzo różny sposób) tego samego zagadnienia: sytuacji jednostki lub szczególnej grupy społecznej — młodzieży, wobec świata zhierarchizowanego, zracjonalizowanego nietolerancyjnego dla postaw odbiegających od sztywnej społecznej normy.

W ostatnim filmie — ekranizacji słynnego przed parunastu laty widowiska muzycznego, będącego sztandarowym utworem pewnej epoki w kulturze amerykańskiej — bohaterem jest pokoleniowa formacja młodzieży. Formacja, którą stworzył protest przeciwko wojnie wietnamskiej, a zniszczył utopijny charakter tego ruchu, przyjmującego negację nie tyle za program, co raczej za kierunek mody i obyczaju, zasadę organizującą (bo o programie mówić tu trudno).

Zazwyczaj bezsensowne jest wspominanie przy okazji omówień filmów o walorach ich realizacji, która nie jest przecież wartością autonomiczną. Jednak w „Hair" (podobnie zresztą jak w „Locie nad kukułczym gniazdem") właśnie realizacji, rewelacyjnej konstrukcji dramaturgicznej, można zawdzięczać, że banalna — w sumie — fabuła, staje się punktem wyjścia do spojrzenia na przemian lirycznego i ironicznego. Spojrzenia życzliwego i ośmieszającego zarówno bohaterów, jak i reguły, które rządzą sztywnym światem amerykańskiego mieszczaństwa (sceny na przyjęciu) i buntujących się uczestników ruchu „dzieci-kwiatów". Kontrasty, jakie pojawiają się w filmie — pomiędzy ubiorami postaci i grup społecznych, dotyczą także ich świadomości (wspaniały indywidualista — hippis Berger, w mundurze, bez tytułowych włosów — staje się w momencie bezwolnym szeregowcem Bergerem, już w drodze do Wietnamu). Na koniec jest już tylko nostalgia: w spojrzeniu na bohaterów protestujących przed Białym Domem, a dziś już nieobecnych w pejzażu Ameryki. Bohaterów, którzy swoją młodość przeciwstawili historii — a ona nie tylko traktowała ich bezwzględnie, ale i szybko wypełniała ulice miast następnymi pokoleniami. Wojna wietnamska jest już dość odległą przeszłością, a przecież młodzi ludzie, którzy odeszli razem z nią przekroczyli dopiero trzydziestkę.

3.

„Czas Apokalipsy" Coppoli ukazuje tę właśnie wojnę jako całkowicie odczłowieczoną — co nie byłoby niczym nadzwyczajnym — ale w sposób dotąd w kinie nie spotykany. Pacyfistyczna wymowa „Apokalipsy", o której tak często się wspomina, jest dyskusyjna. Wojna staje się — dzięki zastosowaniu techniki izolującej mordercę od ofiary — zjawiskiem estetycznym, monumentalnym, wspaniałym. Jej wizerunek to obraz triumfu ludzkiej potęgi nad innym człowiekiem, który jednak z perspektywy helikoptera jest jedynie punktem zdolnym do ucieczki, lub beznadziejnej desperacji. Trudno ocenić na ile taki obraz wojny wietnamskiej (i w ogóle współczesnej wojny) jest prawdziwy. Jednak, mimo że działanie techniki czyni człowieka obsługującego urządzenia wojenne, skomplikowane przyrządy do zabijania — tylko zdehumanizowanym dodatkiem do tych urządzeń, powstaje nowy romantyzm wojny estetycznej, wyjątkowo okrutnej — lecz pięknej. Jej oszałamiające wizje przeciwstawiają się odrażającemu, totalitarnemu państwu Kurtza — okrutnemu i odestetyzowanemu (wiszące ciała zamordowanych, ucięte głowy, ponurość ruin i dżungli). Kurtz — to w intencji Coppoli — człowiek potrafiący dostrzec, że środki techniczne są jedynie przedłużeniem rąk ludzkich, a automaty do zabijania — utrwaleniem woli człowieka. Podejmuje on próbę odrzucenia tego wszystkiego, co stoi pomiędzy nim a przeciwnikiem. Jest to decyzja heroiczna, ale zarazem destylująca okrucieństwo ze współczesnej wojny — do stanu czystego. Kurtz i postacie żołnierzy z „podniebnej kawalerii" USA: różnicą jest jedynie to, co dzieli ich od ofiary. To, co najistotniejsze pozostaje niezmienione.

Niepodważalne walory estetyczno-filmowe „Apokalipsy" nie mogą jednak wystarczająco uzasadnić psychologicznych niejasności w sekwencjach rozgrywających się w królestwie Kurtza. Wojna — jej niezwykłe obrazy — wydają się ostatecznie nie tyle istotne dla sensu utworu, ile fascynujące samego Coppolę; stają się celem samym w sobie. „Powstaną nowe kłamstwa, wielkie wizje" — śpiewa bohater „Hair" wcielony przypadkowo do armii ruszającej na Wietnam. „Czas Apokalipsy" jest wizją. Czy jest kłamstwem? A może tylko półprawdą.

4.

Skończyła się już epoka tzw. dodatków do filmów fabularnych wyświetlanych w kinach. Widzowie zostali odizolowani ostatecznie od filmu dokumentalnego, filmu o sztuce — w ogóle od filmów krótkometrażowych. „Konfrontacje" są więc jedyną okazją (poza dość regularnymi pokazami telewizyjnymi) do zapoznania się z najnowszymi filmami polskimi tych gatunków. W tym roku w konfrontacyjnym zestawie znalazły się wszystkie filmy nagrodzone na festiwalu krakowskim w czerwcu ubiegłego roku. Największe wrażenie wywołał jeden z dwu wyróżnionych Grand Prix filmów **Kieślowskiego — „Z punktu widzenia nocnego portiera"**. Filmy krótkie w programie „Konfrontacji" to ważny punkt tej imprezy. Można jedynie żałować, że z dużej i naprawdę interesującej produkcji nie starczyło filmów na wszystkie dni, do każdej projekcji. A byłoby to uzasadnione nawet wówczas, gdy jeden film fabularny składa się z dwu części — tak, jak w zestawie tegorocznym „Syberiada".

5.

„Syberiada" — Michałkowa-Konczałowskiego — epopeja obejmująca czas lat sześćdziesięciu, zatrzymuje się w widzeniu historii na indywidualnych losach ludzkich. Na losach trzech pokoleń — rodzin zamieszkujących na skraju tajgi, w której czekają na swój wielki dzień złoża ropy naftowej. Wydarzenia historyczne, jakie pojawiają się na horyzoncie (wśród fragmentów dokumentalnych można było rozpoznać m. in. sceny z „Pieśni o Leninie" Wiertowa) wkraczają w życie wioski — poprzez ludzkie namiętności. Historia w „Syberiadzie" to właśnie łańcuch wydarzeń, za którymi stoi miłość i nienawiść, zemsta za upokorzenia klasowe i solidarność z rodzinnym miejscem. Potężne emocje, ogrom przyrody i obszaru (I sekretarz okręgu w latach sześćdziesiątych odpowiada za terytorium „trzykrotnie większe od powierzchni Francji") heroiczne czyny i wreszcie zderzenie wielkości archaicznej kultury z monstrualnością nowoczesnej machiny zarządzania. Te kontrasty, uzyskujące w filmie nierzadko wymiar metaforyczny (bohaterski wiertniczy nie może podnieść potężnych, starych wrót rozjechanych niegdyś przez niego spychaczem w momencie bezrozumnego triumfu nowoczesności nad przeszłością) nawiązują do wiertowowsko-eisensteinowskiej tradycji kina lat dwudziestych. Zarazem mieszczą się w kulturowym stereotypie potęgi kraju, ogromu jego zwycięstw i upadków. Nad ludźmi Syberii świeci wciąż ta sama gwiazda — metafora wiecznego dążenia do wielkości. To, że drogę poprzez tajgę do gwiazdy wyrąbywał niegdyś — drzewo po drzewie — jeden z bohaterów w początku wieku, a teraz wyznaczają ją trasy buldożerów — jest tylko zmianą pozorną. Za dniem dzisiejszym i przeszłością stoi ten sam stosunek do własnego życia, które — bardziej niż gdziekolwiek indziej — odczuwa potrzebę podporządkowania się wielkiej idei. Jest to z pewnością jedna z cech rosyjskiej kultury. Michałkow-Konczałowski każe nam w „Syberiadzie" szukać jej źródeł przede wszystkim w skali świata, w jakim przyszło żyć jego mieszkańcom.

6.

W zestawie filmów zabrakło w tym roku — poza **„Rozbitkami" Alei** — zdecydowanych nieporozumień. Trudno jednak zaryzykować twierdzenie, że stało się tak dlatego, iż kraje socjalistyczne reprezentowane były wyjątkowo skromnie — choć w latach poprzednich filmy rumuńskie, bułgarskie, a nawet czeskie skutecznie obniżały poziom „Konfrontacji". Tym razem mieliśmy okazję oglądać porażki twórców znanych — Felliniego, Kawalerowicza, a także Herzoga. Jest to na pewno bardziej godne uwagi, niż najsilniej nawet emocjonujące filmy o mołdawskich hajdukach.

7.

„Nosferatu — wampir" Herzoga — remake (modne zjawisko i słowo) filmu Murnaua z 1922 roku jest na tle dotychczasowej twórczości niemieckiego reżysera faktem dość niespodziewanym. Gdyby jakoś najbardziej skrótowo zdefiniować co w filmach Herzoga najbardziej charakterystyczne — można by powiedzieć, że interesuje go to, co w niezwykłości zwyczajne, co w wypadkach wyjątkowych umyka wyjątkowości. W historii Kaspara Hausera („Każdy dla siebie, Bóg przeciw wszystkim") niezwykłe dzieje bohatera są tylko punktem wyjścia do opisu bezradności człowieka wobec zjawisk nie mieszczących się w jego rzeczywistości kulturowej — w której i poprzez którą istnieje. Podobnie w „Stroszku" współczesna cywilizacja jest równie nieudolna w postępowaniu z bohaterem, jak i on nie mieszczący się w jej ograniczonych ramach. Te obserwacje filozoficzne natrafiały na zupełnie wyjątkowe odzwierciedlenie w warstwie obrazowej filmów. Sekwencja snu Kaspara, prawie oniryczne obrazy natury w tym samym filmie — poprzedzają estetycznym działaniem na widza próbę ich racjonalizacji. Z niczym takim nie mamy do czynienia w „Nosferatu", z czego nie można by uczynić zarzutu wobec reżysera, gdyby udało mu się na miejsce dawnych wartości wprowadzić nowe. Tak jednak nie jest. „Nosferatu" z roku 1979 nie wywołuje metafizycznego lęku, który w wyjątkowo intensywny sposób promieniował z ekspresjonistycznego pierwowzoru. Wyjątek stanowią może niektóre sceny na zamku hrabiego Draculi — gdzie światło dnia wpływa do sal z ogromnych, słonecznych przestrzeni gór (filmowcy ekspresjonistyczni stosowali w takim wypadku tumany specjalnie zmielonej miki — dla wzmocnienia efektu świetlnego). Trudno mówić także w filmie Herzoga o jakiejś nowej interpretacji baśni o Nosferatu (poza próbą uczłowieczenia krwiożerczego bohatera). Interpretacji, która wykraczałaby poza mit wampira — człowieka „odwrotnego" pożądającego krwi — uosobienia życia i światła (którego się przecież lęka). Podobnie jak każdy człowiek dąży do ciemności mimo strachu, który ona w nim budzi.

8.

Przed dwoma miesiącami pisałem na tych łamach bez entuzjazmu o „Konfrontacjach", winiąc je za marny repertuar premierowy w początkach roku i zarzucając im ambicje przede wszystkim finansowe. Wówczas nie znałem jeszcze tytułów tegorocznego zestawu, który — jak niosła wieść już wówczas — miał okazać się wyjątkowy. Nie przeceniam roli prasy w oddziaływaniu na system rozpowszechniania filmów, ale do kina chodziłem dość trwożliwie, bo tak się akurat złożyło w tym roku, że po moich wyrzekaniach na „Konfrontacje" dotarły one do Łodzi — ku niezadowoleniu widzów — chyba w ostatniej kolejności w kraju.

Dziś, gdy „Konfrontacje 79" już zakończone, powstaje obawa czekającej nas pustki repertuarowej. Filmy, które obejrzeliśmy w ciągu ostatnich dwu tygodni — już zakupione — wypełnią przecież program kinowy najbliższych miesięcy. Jest to jednak normalne ryzyko, które z pewnością nie odstraszy nikogo od zakupu za rok karnetu na kolejne „Konfrontacje 80".

BALET

ŚWIĘTO WIELKIEJ SZTUKI

Zakończone niedawno Dni Kultury Radzieckiej przyniosły szczególnie wiele satysfakcji i emocjonujących wrażeń artystycznych miłośnikom pięknej sztuki tańca.

Przez cztery wieczory swój najwyżej w całym świecie oceniany kunszt prezentował zespół baletowy **Teatru Wielkiego w Moskwie.** Gdybym wszystkie refleksje, jakie wzbudził we mnie występ artystów radzieckich zmuszona była zawrzeć w jednym tylko zdaniu, brzmiałoby ono następująco: wieczory te były za krótkie. Tym czytelnikom, którzy nie widzieli przedstawień moskiewskiego zespołu i gotowi są pomyśleć, iż były to krótkie spektakle baletowe, spieszę wyjaśnić, że tancerze radzieccy przyjechali do nas z dwoma pełnospektaklowymi widowiskami trwającymi po trzy godziny i każde z nich prezentowali dwukrotnie, w dwu różnych i za każdym razem równie doskonałych obsadach głównych partii.

Szczęśliwcy, którym udało się nabyć bilety i ci, którym z powodu rychłego ich braku w teatralnej kasie udostępniono miejsca stojące (sala była wypełniona po brzegi, a bileterki z trudem regulowały ruch w zatłoczonych przejściach, gdzie zagorzali wielbiciele radzieckiego baletu „rezerwowali" sobie miejsca) obejrzeli **„Spartakusa" Arama Chaczaturiana i „Romea i Julię" Sergiusza Prokofiewa** w kształcie artystycznym tak nieskazitelnym i porywającym, z jakim, czego jestem absolutnie pewna, nie zetknęli się wcześniej w żadnym innym teatrze.

Tajemnica sukcesów, jakimi może poszczycić się radziecka szkoła tańca tkwi w trosce o pełne zespolenie niebywałego wprost mistrzostwa technicznego z siłą dramatycznego przekazu i prawdziwą, a nie markowaną jedynie, głębią uczucia, ową wzruszającą i budzącą wzruszenia autentycznością przeżycia wyrażanych tańcem treści.

Mistrzostwo techniczne, w którym balet naszych wschodnich sąsiadów jest wręcz niedoścignione, stanowi wzór dla wszystkich zespołów baletowych uprawiających taniec klasyczny. Perfekcja wykonawcza jest jak się zdaje czynnikiem tkwiącym we krwi każdego z radzieckich tancerzy. Mijałoby się jednak z prawdą przypuszczenie, iż dziś już tylko czerpią oni z tych w istocie niewyczerpanych zasobów własnych umiejętności. Doskonały kształt artystyczny, jaki nadają oni swoim przedstawieniom i indywidualnym kreacjom oraz fakt że pulsują one gorącym rytmem życia, dowodzą nieustannej, systematycznej pracy nad wzbogacaniem o coraz to nowe i lepsze efekty uprawianej działalności artystycznej. Oglądając „Spartakusa" i „Romea i Julię" nie mogłam oprzeć się wrażeniu, iż każdy spektakl jest dla podziwianych przez cały świat tancerzy okazją do bicia własnych rekordów. Każda próba tych działań przynosi natychmiastowy sukces. Warunkiem zdobycia go jest nieustanna praca, a jej efektem najcenniejszym szlachetna swoboda całego zespołu i nieograniczony zasób środków artystycznego wyrazu, pozostających w jego dyspozycji. Z jaką lekkością wykonywali radzieccy tancerze arcytrudne układy choreograficzne! Niech ilość godzin mozolnych prób i monotonnych ćwiczeń pozostanie tajemnicą tych wybitnych artystów. W naszych „zwykłych" (choć były zupełnie niezwykłe) oklaskach staraliśmy się oddać hołd talentom, o których wiadomo, iż w każdej dziedzinie sztuki dają zaledwie pięć procent gwarancji powodzenia oraz pracy, która powodzenia tego jest podstawą.

Balet radziecki ma wspaniałe, przeszło 200-letnie tradycje. W przywiezionych przez naszych gości spektaklach, od czasu akcji których dzielą nas już całe wieki, z satysfakcją odnajdujemy wpisaną w ich sceniczną materię osobistą refleksję współczesnego twórcy, jego zapisaną tańcem, uniwersalizującą, a przez to przybliżającą całość poruszonej przez kompozytorów problematyki, myśl artysty. **Jurij Grigorowicz,** wybitny choreograf (a zarazem dyrektor baletu w moskiewskim Teatrze Wielkim) w materii dramaturgicznej opracowanych przez siebie baletów znalazł problematykę żywo interesującą współczesnego widza, a bohaterów swoich spektakli postawił przed bliską i nam koniecznością dokonywania wyborów, podejmowania decyzji ostatecznych. **Spartakus** z wyboru ginie w walce o wolność, **kochankowie z Werony** podejmują decyzję ostateczną w imię uczucia, które zrodziła ludzka bardzo namiętność, od której dość odległe są „niebiańskie" uniesienia, a która Julię z kilkunastoletniej, rozbrajającej swą naiwnością i niewinnością dziewczynki czyni świadomą swej dojrzałości kobietę i dalej — zmusza ją do podjęcia przemyślanej w każdym szczególe walki z nie rozumiejącym jej uczuć otoczeniem. W zawartej w programie, krótkiej charakterystyce osobowości twórczej Jurija Grigorowicza znalazłam następującą informację: **„Najważniejszym problemem każdego baletu Grigorowicza jest prawda psychologiczna o człowieku, przedstawianym w ciągłej walce".** Przedstawienia **„Spartakusa" i „Romea i Julii"** potwierdziły tę informację i właśnie owa prawda psychologiczna przydała im tego szczególnego piękna, które tak zachwyciło łódzką (a wcześniej warszawską) publiczność.

„Spartakus" i „Romeo i Julia", to spektakle mogące stanowić wzór najpełniejszego porozumienia artystycznego choreografa (będącego jednocześnie ich reżyserem) i scenografa. **Simon Wirsaładze,** twórca oprawy plastycznej obydwu przedstawień objawił się nam jako artysta myślący o powierzonych mu dziełach równie współcześnie jak Jurij Grigorowicz. Zarówno dla „Spartakusa", jak i dla „Romea i Julii", stworzył scenografię, która nie pozbawiając spektakli elementów niezbędnych dla oddania klimatu epok, w jakich rozgrywa się ich akcja, w znakomity sposób uniwersalizuje i przybliża współczesnemu widzowi przeżycia bohaterów. W obydwu spektaklach przy pomocy niezwykle prostych, ale bardzo szlachetnie użytych środków, nakreślił dwa konieczne dla pełnego odczytania owej jakże współczesnej interpretacji choreograficznej i reżyserskiej plany sceniczne. Spartakus, Krassus, Frygia i Egina — bohaterowie baletu Arama Chaczaturiana oraz Romeo i Julia z baletu Prokofiewa ukazali się widzom w całej pełni swych osobowości dzięki stworzeniu w każdym ze spektakli dwóch wewnętrznie zróżnicowanych planów scenograficznych: planu bezpośredniego działania i niezależnego, jakby wyabstrahowanego z otaczającej ich konkretnej rzeczywistości, planu ponadczasowej refleksji, planu psychicznego, lub może — by rzecz określić jeszcze precyzyjniej — planu wewnętrznych, bardzo głębokich przeżyć.

Omówiwszy zasady kompozycyjne obydwu przedstawień powinnam, jak sądzę, i do czego czuję się zobowiązana, przejść do szczegółowej analizy, a przynajmniej — dokładnego opisu tego wkładu, jaki zarówno do „Spartakusa", jak i do „Romea i Julii" wnieśli soliści i corps de ballet oraz towarzysząca im w sposób budzący ogólny zachwyt orkiestra moskiewskiego „Wielkiego". Cóż jednak począć, kiedy słów brakuje na opisanie ich kunsztu, a każdy z cisnących się pod pióro komplementów wydaje się śmiesznie wątły w zestawieniu z ogromem emocji i uznania jaki musiałby w sobie zawrzeć. To co widziałam to po prostu doskonałość budząca żal, że już się skończyło, gdy po raz ostatni opadła kurtyna marzenie: oby nasi tancerze... oby nasi soliści... oby nasz zespół...

Chcąc wymienić tych tancerzy moskiewskiego zespołu, którzy wzbudzili najwyższe uznanie, należałoby... po prostu przepisać pełną listę nazwisk artystów biorących udział w spektaklach. Obydwa spektakle są wręcz monumentalne i wypełnione prawdziwymi tłumami, a wszyscy świetni... Najgorętsze wyrazy dla całego zespołu złoże więc na ręce solistów dziękując im dodatkowo za stworzenie (obok kreacji baletowych) wybitnych kreacji aktorskich. Proszę by wyrazy te zechcieli przyjąć: **Michaił Ławrowski** (Spartakus), **Michaił Gabowicz** (Krassus), **Natalia Biessmiertnowa** (Frygia) i **Swietłana Adrychajewa** (Egina), których podziwialiśmy w pierwszym spektaklu „Spartakusa" oraz **Nadieżda Pawłowa** (Julia), **Wiaczesław Gordiejew** (Romeo), **Aleksiej Łazariew** (Tybalt) **Michaił Cywin** (Merkutio), **Marianna Siedowa** (Matka Julii) i **Agnesa Balijewa** (Piastunka) — w pierwszym przedstawieniu „Romea i Julii" Słowa najwyższego uznania należą się **Algisowi Żurajtisowi** i wspaniale prowadzonej przez niego znakomitej orkiestrze. Wasze występy były prawdziwym świętem wielkiej sztuki i jej gorących u nas wielbicieli.

EWA PANKIEWICZ

POETA WOBEC WSPÓŁCZESNOŚCI „ŚWIATOPOGLĄDY" CZY „STRATEGIE"?

Dalszy ciąg ze str. 1

wielką siłę trwania, odrywa się od żywej literackiej rzeczywistości i w końcu wprowadza w świadomość odbiorczą system spetryfikowanych, raz na zawsze rozpoznanych — a przeto fałszywych — wartości.

Ów fenomen: zetykietowanej literatury, niespójnego modelu kultury współczesnej z owymi lukami w „pamięci społecznej" jest „współczesnością" polskiego poety, współczesnością zmuszającą go często bądź do aktów bezradnego nihilizmu, bądź też do aprobowania (a jest to równie niebezpieczne dla rozwoju kultury) strategii, walk podjazdowych, pozornych sporów o literę a nie ducha kultury polskiej.

II. MIĘDZY OBRONĄ SAMOISTNOŚCI POEZJI A POWINNOSCIAMI WOBEC MECENASA

(Kilka uwag o tzw. „pokoleniu Współczesności").

Na początku była negacja. Poeci debiutujący w roku 1956 łatwo mogli wyznaczyć obszary tradycji zanegowanej — była nią literatura okresu schematyzmu. Każdy sprzeciw wobec poetyki, którą rządziła „strategia agitatora" równoważny był z aktem nie tylko nowej kreacji artystycznej, ale także (w intencjach poetów debiutujących w roku 56) próbą budowania nowego systemu wartości kulturowych. Dlatego też przysłowiowe „zajączki" Harasymowicza zestawione ze schematycznymi tekstami o dopieszczaniu traktora bądź lokomotywy mogły być traktowane jako wyraz buntu przeciwko literaturze zunifikowanej. Owa strategia negacji zaznaczała też charakterystyczne opozycje: nominalizmowi (deklaratywności) poezji schematycznej przeciwstawiono realizm, konkretyzm, „reizm" nowej materii poetyckiej; pięknosłowie znalazło swoje zaprzeczenie w słowach „kalekich" M. Białoszewskiego; bezkonfliktowemu, uładzonemu obrazowi rzeczywistości prowokacyjnie przeciwstawiono piękną brzydotę, postawie bohaterskiej — szmaciarską itd.

Poeci pokolenia „Współczesności" próbowali uzasadnić potrzebę autonomiczności literatury, autonomiczności rozumianej na sposób dwojaki. Po pierwsze przyznano poecie prawo do wyzwolenia wyobraźni, po drugie oderwano literaturę od doraźnych, pragmatycznych celów, do których ją zmuszała sytuacja lat wcześniejszych. Poszerzono w ten sposób pole działań twórczych, wprowadzono pewne „luzy" w układzie: pisarz — mecenas (polityka kulturalna). Poeta może (i często to czyni — jak Białoszewski) bronić własnej „prywatności" manifestując postawę dezynwoltury wobec wartości „oficjalnych". Może po prostu leżeć sobie pod górą kołdry. Górą Odosobnienia, kontemplując świat rzeczy „spod ręki". W tym miejscu wszakże rozchodzi się moja ścieżka z drogą prof. A. Sandauera.

Widziałbym bowiem w owym minimalistycznym, peryferyjnym, nobilitującym powszechne doświadczenia codzienności nurcie poetyckim, próbę budowania modelu kultury „demokratycznej". Zdemokratyzowaniu wyobraźni przydano demokratyzm form językowych (koncepty oparte na znanej powszechnie frazeologii — jak u Białoszewskiego) oraz dialogowe odwołanie się do kanonu lektur szkoły średniej (niektóre wiersze E. Brylla), w końcu wykorzystanie terenów subkultury (folkloru miejskiego czy podmiejskiego — Białoszewski oraz Czachorowski).

Korekta: Z chwilą przełamania tradycji negatywnej, jednak poetyckie losy pokolenia „Współczesności" zindywidualizowały się. Została jedynie nazwa, etykietka bez desygnatu i nierozpoznana, niedostrzeżona szansa poezji „powszechnej" („nieustannego, uroczystego zdziwienia"), tworzącej się na sposób samoistny, a nie pod naporem administracyjnych dyrektyw. W końcu z owej powszechnej, demokratycznej próby poezjowania największą szansę aprobaty „oficjalnej" zyskały sobie śpiewogry.

III. „DZIŚ" ZAKORZENIONE W UNIWERSALNYCH WARTOŚCIACH KULTURY

(O tzw. pokoleniu Orientacji).

Ponieważ nie chciałbym ustawiać formacji artystycznej, która siebie przezwała Orientacją w sytuacji przysłowiowego „chłopca do bicia", pominę wszystkie znane zarzuty, z jakimi spotkała się ona w latach 70, pominę też jej argumenty służące samoobronie. Celem zasadniczym Orientacji (jeśli dobrze zrozumiałem jej manifesty i programy) było zadanie wykreowania takiego rodzaju poezji, który dramatyczności „dzisiaj" mógłby przeciwstawić formułę spójnego aktu poetyckiego. I gdyby na owe próby spojrzeć od strony metodologii poezji, byłby to sposób „poetyckiego mówienia" najbardziej chyba konsekwentny w dążeniu do autonomiczności tworu artystycznego. Pragnieniem tych poetów było tworzenie „piękna, które ocala", ale piękno zaś — jak pamiętamy — jest także „początkiem przerażenia". „Przerażenie" owo lokujemy nie w metafizycznych rejonach Rilkego — ale w sferze owych (jak je K. Marks nazwał) „przeoczeń bytu", który przecież kształtuje świadomość. Następuje rozbrat pięknego wiersza z postępującym dramatyzmem „rzeczywistości".

IV. MIĘDZY GAZETĄ A „GAZETĄ"

(O poezji tzw. Nowej Fali)

Jeśli zatem dla Orientacji współczesność rozumiana była jako możliwość zakorzenienia „dziś" w „zawsze i wszędzie" dla poetów lat 70 — będę dalej używał terminu—worka. Nowa Fala — współczesność (a zatem to, co „nasze" „wspólne", „aprobowane") staje się funkcją Tu i Teraz. Postawiono poezję poprzedników w stan oskarżenia, zarzucając jej eskapizm (salwowanie się ucieczką w stylizację, w nadprodukcję wartości estetycznych w chwili, kiedy ocaleniem dla literatury mogła być jedynie etyczna postawa powinności interwencyjnych wobec rzeczywistości społecznej i kulturowej), o celowe zamulanie obrazu rozregulowanych mechanizmów kulturowych, o łatwą odwagę „języka ezopowego" etc. etc.

Odnajdujemy poznany już wcześniej mechanizm wytwarzania tradycji negatywnej. „Nasze" związane jest z kategorią pokolenia („młodych, nowych"), „obce" — z pokoleniem „starych". Swiadczą o tym takie wiersze jak „Nie czytajcie Jastruna", negatywny stosunek do twórczości Nowaka, Grochowiaka i innych poetów. Negacja „poetyckości" winna prowadzić konsekwentnie do wyboru „gazety" (współczesność chwytana na gorąco), gazeta jednak stanie się metaforą nieautentyczności, odpersonalizowania aktu poetyckiego, oraz celowego zafałszowania obrazu świata. Owo medium „języka oficjalnego" poddane zostaje rytuałowi magii homeopatycznej (nakłuwania szpilkami), zaś owe magiczne zabiegi miałyby być równoznaczne z tezą, iż należy interweniować „w Rzeczywistość". Operator ludzki („ja" poetyckie) usytuowany jest nie w ciągu funkcji: „świat" — „wypowiedź poetycka", ale w ciągu opozycji: język „oficjalny", język „prywatny".

Prześledźmy, za pomocą jakich technik poetyckich dokonuje się obrona przed agresywnością języka mass mediów.

a) Po pierwsze utwór poetycki jest obroną przed kreolizacją (zmieszaniem) mowy oficjalnej i prywatnej. W wierszu „Papier i popiół" wchodzą ze sobą w jakieś niebezpieczne związki język wyznania lirycznego oraz język „przyznania się", dziennika intymnego oraz nielirycznego protokołu. Sytuacja taka doprowadza w końcu do decyzji milczenia za wszelką cenę („Spal i spłacz dziennik").

b) Po wtóre można zacytować język celebracji w celu wykazania jego niespójności (przy pozornej spójności dokonanej na drodze nacisku składni, wykorzystania frazeologii itd.), wzajemnego wyniszczania się znaczeń (wiersz — „określona epoka").

c) Można poszerzyć pojęcie języka (wedle reguł semiotyki traktujących każdy spójny system znaków jako język) i opisać celebrację oficjalną (pochody, widowiska, estradowe podrygi etc. — wiersz „Co jest grane?"). Strategia walki z magiczną kukłą (języka oficjalnego) zawęża niebezpiecznie pole działań poetyckich Nowej Fali, doprowadza w końcu do wytworzenia „poetyki repertuaru", do poezji retorycznej.

Korekta: W strategii pokoleniowej (młodzi contra starzy, autentyczni przeciwko nieautentycznym pięknoduchom), odnajdziemy także mechanizmy nieobce poezji lat 50. Był to przecież typ wypowiedzi nie poetyckiej, lecz retorycznej. Pamiętajmy jednak, że retoryka zalecała budować wypowiedź wedle trzech zasad: probare, movere, delektare(przekonywać, wywrzeć wrażenie, dać przyjemność estetyczną). W obu tych poetykach zrezygnowano z ostatniego członu (delectare). W latach 50 atakowano „starych" za hołdowanie „burżuazyjnemu estetyzmowi", w latach 70 oskarżono kategorię „poetyckości". Byłaby zatem Nowa Fala spełnioną po latach potrzeba poezji zaangażowanej (oczywiście a rebours)?

V. NOWA PRYWATNOŚĆ CZY KONIEC POEZJI?

Brak czasu nie pozwala na dokładniejszą analizę poetyckiej reakcji na Nową Falę, reakcję ambiwalentną, bowiem przy manifestacyjnej niezgodzie na nowofalowy program młodzi poeci obficie korzystają z rekwizytorni poetyckiej poprzedników. Najdobitniej zabrzmiał głos kolegów z Gdańska, grupy „Wspólność" głoszącej potrzebę „nowej prywatności". Mam nadzieję, że do tej propozycji powrócimy w dyskusji.

Chciałbym jednak owo zjawisko powrotu do manifestowanego „ja" poetyckie — zaprezentować bodaj dokonując krótkiej analizy dwu tekstów, a właściwie fragmentów tekstów. Porównajmy wiersz (z 1956 r.) debiutanta Grochowiaka oraz debiutanta z r. 1978 — T. Soldenhoffa Oto fragmenty „Naszej wiedźmy" pierwszego i „Mojej muzy" drugiego poety.

1. (...) Nasza wiedźma nie ma duszy
mówi tylko przedmiotami
Wącha mięso zamiast róży
Woli rzepę od konwalii
Nasza wiedźma.

2. (...) Jeszcze nie schizofreniczna,
chociaż już nerwowa
moja muza robi w portki
na lekcji gramatyki,
kuca pod ławką, trenuje tiki
zmęczenia i nudy (...)

„Wiedźma" — muza pokolenia „Współczesności" — patronuje tym wszystkim wartościom, o których wcześniej mówiliśmy, analizując poezję powstałą w roku 56. Są to wartości „niskie", plebejskie, preferujące konkret zamiast pojęcia („Mówić przedmiotami"). W wierszu drugim istnieje tylko jakby plan „Kultury". Poezja „dzieje się" tu nie między „mięsem" a „różą", ale między „schizofrenią" a „gramatyką". To opozycja pierwsza. Drugą opozycję — pozwalającą na określenie relacji „nowa prywatność" — „Współczesność" oraz „nowa prywatność" — „Nowa Fala" — wprowadzają wyrażenia zaimkowe.

Przeciwstawiono bowiem „nasze" — „mojemu". „Nasze" **Współczesności** było projekcją wspólnych, pokoleniowych doświadczeń, „ja" Soldenhoffa łączy się z całym nurtem „prywatności" poezji lat 80.

Owo „ja" jest także negacją apelatywnego „Wy" — gramatycznej kategorii Nowej Fali. W poezji najmłodszej następuje zatem ucieczka w „ja" — najpierw (trochę chyba za Wojaczkiem) w „Ja" biologiczne, potem zaś w „ja wątpiące". Parafrazując wcześniejsze sformułowanie, iż „ekstaza przeszła w ironię", można o tej poezji powiedzieć, że w niej „ironia przeszła w autoironię" a nawet w autodestrukcję, jeśli zawierzyć katastroficznej wymowie tytułu zbioru — „Koniec poezji".

CZAS NA PODSUMOWANIE

Omawialiśmy strategię działań literackich wyrażającą się w pokoleniowych atakach na krótkim odcinku poetyckiego frontu. Była to często walka pozorowana: walczyły ze sobą etykietki nie zaś wartości. Dlatego też raz jeszcze chciałbym przypomnieć, jakie niebezpieczeństwo wnosi zetykietyzowana literatura.

Można postawić tezę, że zawładnięcie życiem kulturowym przez etykietki może być niepokojącym symptomem ustatycznienia kultury — powodować pseudodyskusje o pseudoproblemach, a zarazem stwarzać dychotomiczny, czarno-biały obraz życia kulturalnego, w którym swoboda wyboru twórców zostaje ograniczona bądź do „wpisania się" pod etykietkę powszechnie aprobowaną, albo też decyzji pozostania poza nią. Sytuacja taka nie wytwarza poznawczo płodnego dialogu, a może powodować jednoznaczny podział na sztukę „aprobowaną" i „przemilczaną" (bądź wręcz „milczącą").

HENRYK PUSTKOWSKI

*) Wprowadzając pojęcie etykietki literackiej opierałem się częściowo na tekście traktującym o tym zjawisku a napisanym wespół z K.W. Tatarowskim.

Referat wygłoszony podczas XIII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

W kuluarach festiwalu. Jan Huszcza w rozmowie z Arturem Sandauerem.

Foto: R. Łucyszyn

TELEWIZJA

CZAR CZTERECH KÓŁEK

Nieoczekiwanie rozmnożyło się nam „Studio 2". Wielu telewidzów uważniej czytało gazety, poszukując w nich informacji o dodatkowej wolnej sobocie, a panie domu zapobiegliwie przygotowywały siatki i torby z niechęcią myśląc o wolnosobotnich zakupach. Sygnał „Studia 2" to jak dźwięk dzwonka z eksperymentu Pawłowa. A że zabrzmiał już w piątek, tym bardziej rozkojarzył naszą telewizyjną świadomość. Właśnie w ów piątek wyjaśniło się wszystko: żadna wolna sobota, można z ulgą odłożyć siatki i torby i iść spokojnie do pracy. „Studio 2" pojawiło się na małym ekranie w roli znanego artysty uświetniającego uroczystą akademię.

Obchodzimy, jak Polska długa i szeroka, radosne święto z okazji wyprodukowania w Bielsku Białej milionowego samochodu. Rzeczywiście rozglądając się dokoła zauważamy, że oto zewsząd zaczynają nas osaczać „maluszki" (jak mówi Eugeniusz Pach) we wszystkich kolorach tęczy: na osiedlowych parkingach, na poboczach ulic oznakowanych zakazem zatrzymywania się i postoju, na przejściach dla pieszych, na skrzyżowaniach. Proszę państwa, motoryzacja ante portas! Na szczęście „Fiat 126p" w niczym nie przypomina Hannibalowych słoni, a dzięki operatywności eksporterów ów „milion małych „Fiatów" na naszych drogach" dopiero przed nami: jeszcze za oknem można dojrzeć trawnik.

„Studio 2", jak każdy „znany artysta", przedstawiło w ubiegły piątek i sobotę wszystkie swoje wypróbowane numery, przetykane okazjonalnym przebojem w wykonaniu Jana Kobuszewskiego, który mieścił się (bez reszty) w standardowym maluchu.

Najpierw więc „Giełda pomysłów". Każdy z nich, dla laików a i nawet dla bardziej w mechanice samochodowej zorientowanych wydawał się mieć racjonalne i pragmatyczne podstawy. Choć niektóre, jak np. kółko z linką do zastosowania w przypadku, gdy bielski produkt nie chce zapalić można by nazwać motoryzacyjnym paradoksem. Jako laik sądzę, że maluch przede wszystkim powinien zapalić, ruszyć, a potem jechać. Od tego momentu dopiero jest pole do popisu dla wynalazców. Dyrektor Iskra wszystkie pomysły sprowadził do popołudniowych działań majsterkowicza, który miesiącami robi półeczkę na kwiaty. I tu odetchnęliśmy: w Bielsku i w Tychach o wszystkim pomyśleli. Jednak nie na długo. Bo oto dyrektor naczelny FSM podczas sobotniej konferencji z dziennikarzami wyjawił, że Dział Głównego Technologa (bodaj tak się nazywa) z dyrektorem Iskrą na czele od czterech lat opracowuje nowy, sprawniejszy i wygodniejszy, korek wlewu paliwa. Tych, którzy tego nie słyszeli pragnę poinformować — nowy typ korka został wreszcie opracowany i będzie wprowadzony do produkcji. Ile czasu zatem będziemy czekać na wdrożenie mechanizmów nieco bardziej skomplikowanych (myślę tu o rewelacyjnym ponoć gaźniku)?

Okazjonalny charakter miały także „Potyczki rodzinne", których bohaterowie (tym razem według modelu 2 plus 3) wywodzili się spośród załogi FSM. I tym razem socjologiczne implikacje wynikające z tego programu nie były nazbyt pocieszające. Nie wiem jednakowoż czy taka diagnoza warunkowana jest takimi a nie innymi aspiracjami życiowymi bohaterów „Potyczek", czy też nie najlepszym przygotowaniem merytorycznym audycji. Sądzę, że jedno i drugie. W końcu i redaktor Pijanowski zakończył recytację inwokacji „Pana Tadeusza" na dwóch pierwszych wersach. Poza tym rozgrzany atmosferą konkursu z minuty na minutę starał się być coraz to dowcipniejszy. Efekty były niewspółmierne do włożonego wysiłku.

Dowcipny pod wieloma względami program zaprezentował wspomniany już przeze mnie Eugeniusz Pach. Zafascynowany wyścigami Formuły 1 zabłysnął pomysłem zgoła karkołomnym. Wymyślił konkurencję, w której „maluszek" byłby w stanie wygrać z samym „Porsche". I rzeczywiście wygrał. Na następny raz (np. na początku roku 1984 kiedy to będziemy świętować dwumilionowego „Fiata 126p") proponuję organizację wyścigu, na trasie którego ustawi się bramki o wysokości półtora metra, a do konkursu zaprosi się najwyższe ciężarówki typu TIR. Zaręczam, że i ten wyścig mały „Fiat" bezapelacyjnie wygra!

Nie chciałbym aby z tego sprawozdania wynikało, iż jestem przeciwnikiem motoryzacji (w takich przypadkach mówi się: sam przecież jeżdżę") ani tym bardziej „Fiata 126p". Chciałbym natomiast, aby TvP oprócz ekscytacji motoryzacyjnym boomem starała się w swojej publicystyce zająć (częściej i radykalniej) tym co motoryzacji bezwzględnie musi towarzyszyć. Wiem, że tym wszystkim (brakiem parkingów, fatalnym oznakowaniem dróg, skandalicznym niekiedy stanem tych dróg, dystrybucją części zamiennych, zapleczem serwisowym etc. etc.) powinny się zainteresować inne instytucje (znów można by ich wymienić z dziesięć). Rzecz w tym, aby obraz motoryzacyjnej teraźniejszości i przyszłości, jaki TvP przedstawia był w miarę pełny. Po prostu realny. Owszem to będzie psychoterapia zaledwie, bo jak powiedziałem konkretnym działaniem musi zająć się kto inny. Ale przynajmniej krzyk przez sen, gdy nam się przyśnią dwa miliony małych „Fiatów" na polskich drogach, nie będzie taki przeraźliwy.

GRZEGORZ GAZDA

PANI ZOFIA

TADEUSZ PAPIER

Byłem sąsiadem pani Zofii Lorentz. Mieszkała w tym samym domu. Dawało to okazję do częstych spotkań. Przez pewien czas mieliśmy wspólny telefon, tak zwany „towarzyski". Przechowuję do dziś kartkę, na której pani Zofia, kiedy zabiegała o założenie u siebie telefonu, napisała: „Jak tam z tym telefonem? Czy pan już załatwił?" Bowiem ja miałem abonament i od mojej zgody zależało, czy będzie mogła założyć u siebie aparat. Przypominam sobie ten epizodzik i odczuwam z tego powodu drobne zadowolenie.

Pracowałem razem z nią w zarządzie oddziału ZLP, Zofia Lorentz była wybierana do władz związkowych w latach 1962—1968. W pracy była rzeczowa i solidna. Ta rzeczowość cechowała ją także w rozmowach prywatnych. Nie oznacza to, że była pozbawiona ciepła. Przeciwnie. Zadawała pytania jasne i konkretne, na dnie których kryło się prawdziwe zainteresowanie. I to zainteresowanie odczuwali rozmówcy. Przynajmniej ja je tak odbierałem. To ukryte ciepło odczuwały także dzieci. Bo pani Zofia była „nachylona" ku dzieciom. Szkoły zabiegały o spotkanie z autorką „Wakacji pod blaszanym człowieczkiem". Większość swoich książek poświęciła dzieciom i młodzieży. W opowiadaniu „Wątpliwość" zamieszczonym w tomie „Przed i po" bohaterka odpowiada na pytanie, czy nie żałowała nigdy swojej decyzji adopcji dziecka: „Nie, nigdy. Wprost przeciwnie. Uważałam zawsze i uważam do dziś, że to była moja najrozumniejsza decyzja w życiu". Takie „najrozumniejsze decyzje" cechowały panią Zofię. Przeglądałem protokoły zebrań zarządu z lat, kiedy ona pracowała. Jaka szkoda, że owe protokoły są lakoniczne; że nie zawsze notowaliśmy nasze wystąpienia, ograniczając się do zapisywania końcowych uchwał i wniosków. Możemy dzisiaj polegać tylko na pamięci, ale ta z upływem lat wysycha. Nie przez to niedopatrzenie straciliśmy materiału poznawczego.

Ostatni raz spotkałem ją na kilka dni przed jej śmiercią. Byłem na spacerze z wnuczką Na Kościuszki, niedaleko ul. Świrki zobaczyłem panią Zofię. Szła powoli, podpierając się laseczką. Przystanąłem przed nią. Wyglądała na zmęczoną, ale twarz jej rozjaśniał życzliwy uśmiech. Od dawna wiedzieliśmy, że choruje, ale wbrew opiniom lekarzy i rażącym obawom przezwyciężyła tę chorobę. Wymieniliśmy kilka zdań na temat pogody. Pani Zofia wyciągnęła rękę w kierunku dziecka. „Och, rzekła, jaka jesteś ładna". I ten gest pozstał w pamięci — ostatnia fotografia pani Zofii. 16 kwietnia otrzymaliśmy wiadomość, że pani Zofia umarła.

Pogrzeb odbył się 21 kwietnia w Warszawie. Została pochowana w rodzinnym grobie na cmentarzu ewangelickim przy ulicy Młynarskiej. Dzień był piękny, można powiedzieć wyjątkowy, gdy poprzedzające dni były zimne i deszczowe i następnego dnia znowu padało.

Spoczęła w Warszawie, chociaż miejsce urodzenia (w Gozdowie koło Łodzi), lato i jesień jej życia, jak i wszystkie książki, które napisała, a także działalność społeczna związane są z Łodzią i okolicami Łodzi. Ale Warszawa też jest wpisana do jej życiorysu. Walczyła przecież w jej obronie we wrześniu 1939 roku jak i w latach okupacji. Pisze o tym w wielu książkach. W „Słowie od autora" do „Szpitala polowego nr 4" czytamy: „Przeżycia z tego okresu przeorały mi duszę". I następnie: „Wtedy też postanowiłam odtworzyć kiedyś rzeczy widziane wówczas i usłyszane". Zofia Starowieyska-Morstinowa pisze w „Kalejdoskopie literackim" o „punkcie patrzenia" niektórych pisarzy: „Komponować to obrać punkt patrzenia. Wyborem punktu patrzenia komponuje swój obraz fotograf czy filmowy operator. W dużej części także i malarz".

Zofia Lorentz miała swój punkt patrzenia. Jej działalność społeczną i twórczość budują dwa główne nurty: patriotyczny i wychowawczy, wywodzący się z miłości do dzieci i młodzieży. W czasie pogrzebu Zofii Lorentz padło nad jej trumną przy jej nazwisku nazwisko Janusza Korczaka. Istotnie, można mówić o pasji korczakowskiej w życiu i twórczości Zofii Lorentz. Ale przy tej okazji: wymieniając nazwisko autora „Króla Maciusia Pierwszego" musimy pochylić głowy przed ową wstrząsającą sceną, kiedy Stary Doktor prowadzi razem z innymi wychowawcami dzieci na śmierć gazową. „Wśród sławnych zgonów, jakie zna historia — pisze w swoich wspomnieniach Irena Krzywicka („Wielcy i niewielcy") — ten jest jednym z najbardziej przejmujących".

Cokolwiek powiemy i napiszemy o Zofii Lorentz, pozostanie ona w naszej pamięci jako ta, która miłowała swój kraj i oddawała swój czas na głoszenie tej miłości. Miłość realizuje się w różnych formach i na różnych płaszczyznach życia. U Zofii Lorentz nie ma rozbieżności pomiędzy tym, co pisała i jej prywatnym życiem. Zofia Lorentz to gorąca patriotka; to przyjaciel dzieci i młodzieży; to żołnierz Września i powstania, który nigdy nie został zdemobilizowany. Dla Zofii Lorentz powstanie warszawskie to sprawa ojczyzny. W tym powstaniu służyła nadal, choć wojna się skończyła, powracając do tego tematu w książkach i zwierzeniach osobistych. Jeżeli czytelnicy (i uczestnicy spotkań z pisarką) dochodzą do przekonania, że twórczość Zofii Lorentz jest przepojona tymi wartościami, nabierają również pewności, że te same wartości spotyka się w jej życiu osobistym. To są właśnie owe „punkty patrzenia" pisarki.

W „Odzie do starości" zamieszczonej w ostatniej książce swojego życia „Przed i po" Zofia Lorentz napisała: „Największą troską starości jest niepokój, czy uda się umrzeć przyzwoicie, nie budząc w ostatnich dniach swego życia politowania i nie sprawiając kłopotu bliskim. Ale nie tylko to. Istnieje także niepokój o dalsze losy istot najbliższych i kochanych, losy, których wprawdzie już oglądać ani w nich uczestniczyć się nie będzie, ale które dręczą właśnie tym, że są niewiadomą". Są to niemal ostatnie słowa napisane przez Zofię Lorentz. Stanowią jakby testament, a może niedomówienie artystyczne tej księgi, którą zowiemy życiem.

Kiedy stałem nad grobem Zofii Lorentz wspomniałem w duchu nazwisko jej brata Zygmunta Lorentza. Te dwa życia Brata i Siostry — uzupełniają się wzajemnie. Zygmunt służył tej samej sprawie, co Zofia. Przed wojną był cenionym wychowawcą i nauczycielem historii w Miejskim Gimnazjum w Łodzi. W czasie wojny był jednym z organizatorów tajnego nauczania. W czasie podróży konspiracyjnej z Warszawy do Łodzi został aresztowany. Zginął męczeńską śmiercią. Złożył taką samą ofiarę jak Janusz Korczak. Nazwisko Zygmunta Lorentza zostało na zawsze w kronikach naszego miasta. Jego imieniem została nazwana jedna z ulic łódzkich. Nazwisko Zofii Lorentz, która mieszkała i pracowała w Łodzi, także należy do miasta.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Pierwsza książka Zofii Lorentz nosi tytuł „Mali bohaterowie". Ukazała się po raz pierwszy w 1947 r. w zapomnianej dziś oficynie „Kultura Polska". Obok „W rozwalonym domu" Dobraczyńskiego, była przez szereg lat jedyną książką o konspiracji i powstaniu warszawskim, której nie obciążyły schematy „dziecięcej choroby lewicowości".

Znamienny jest prolog. Mili sercu bohaterowie starych baśni i młodzieżowych lektur zbierają się w początkach wojny na strychu jakiejś kamienicy warszawskiej na naradę. Stwierdzają swą nieprzydatność w „czasach żelaza i krwi" jako wzorce i odwieczni przewodnicy ze szczęśliwego dzieciństwa w młodość, postanawiają przeorganizować się wewnętrznie, zmienić rekwizyty... i odtąd przewodzą maleńkim konspiratorom na wszystkich odcinkach walki z okupantem, aż po zionące ogniem barykady.

Ten prolog można również potraktować i jako metaforyczne przedstawienie przełomu, jakiego pierwszy alarm dla miasta Warszawy dokonał w postawie i całożyciowym programie parającej się trochę piórem — ale raczej do szuflady — absolwentki średniej szkoły muzycznej, miłośniczki architektury starych miast i bibliotekarki. Do dnia wyjących syren pani Zofia pozostawała w głębokim cieniu swego brata, Zygmunta, nauczyciela, działacza oświatowo-kulturalnego wielkiego formatu, autora znakomitego szkicu „Narodziny Łodzi nowoczesnej"... i — żeby rzecz dopowiedzieć do końca — niebawem kuratora tajnego Okręgu Szkolnego w Łodzi, zakatowanego w któryś dzień okupacyjny przez Gendarmerie der Litzmannstadt.

W dniu pierwszego września bibliotekarka, Zofia Lorentz, zgłasza się do służby pomocniczej w wojsku i staje się ofiarną sanitariuszką Szpitala Polowego nr 4 w Warszawie. Dzieli wraz z personelem i rannymi 27 piekielnych dni i nocy w sytuacji, gdy wróg szczególnie zaciekle atakował budynki z rozpiętymi na dachach znakami Czerwonego Krzyża. Za męstwo wykazane na tym posterunku Zofia Lorentz otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami. Po upadku Warszawy pani Zofia zaczyna wytężoną pracę w podziemiu. Początkowo w ZWZ, potem w AK. Tu współredaguje „Biuletyn Informacyjny", prowadzi kolportaż, kursy pielęgniarstwa, opiekuje się opuszczonymi dziećmi. A potem jest żołnierzem Powstania Warszawskiego Zostaje wyróżniona medalami wojskowymi. Po wojnie przenosi się do Łodzi. Zaczyna się jej wytężona praca pisarska, która stanowi rzadko spotykane aż w takim stopniu iunctum z pracą zawodową, społecznymi pasjami pozapisarskimi i atmosferą domu, który stworzyła.

Określmy jej pisarstwo, zanim pochylimy się nad nim na długość czasu, jakiej wymaga konwencja wspomnienia, bo wszak nie piszę w tej chwili artykułu krytycznego. Pani Zofia należy do nurtu — ongiś jednego z głównych w naszej literaturze, dziś już zamierającego — do tych pisarzy, którym jak najbardziej obce jest przekonanie, że dydaktyzm jest czymś dla książki i autorytetu artysty uwłaczającym. A ściśle do pocztu pisarzy oddanych problemom dzieci i młodzieży, jej potrzebom, a także złożoności opieki i wychowania. Należy do pocztu, do którego zaliczamy autorkę „W piwnicznej izbie", autorkę „Drugiej bramy" i „Nad czarną wodą", zapomnianą świetną pisarkę Jadwigę z Szeptyckich Szembekową i wreszcie „Starego Doktora" — Janusza Korczaka.

Powiedziałem: iunctum, więc i z konieczności, wyrywkowo, o działalności pozaliterackiej. W początkach lat pięćdziesiątych pani Zofia jest kierownikiem Oddziału Szkół Artystycznych w PRN m. Łodzi. Są to czasy, kiedy pracowników rozliczano przede wszystkim z odmieniania na przypadki kilku dość prostych prawd. Panią Zofię jednak przede wszystkim pochłaniały tak „niepryncypialne" sprawy, jak walka o miejsce w bursach dla uczniów mających trudne warunki domowe, pomoc stypendialna, poprawa sytuacji lokalowej szkół, wprowadzanie do internatów atmosfery rodzinnej w miejsce konwencjonalnego drylu. Tamten okres w życiu pani Zofii znam może najlepiej, pracowałem z nią bowiem biurko w biurko.

Potem, na stanowisku kierownika literackiego dziecięcego teatru „Arlekin" zabiega o repertuar patriotyczny i oparty o tradycje regionalne, a są to lata nieufności do tradycji i swojszczyzny (z tych czasów pochodzi piękna kontuszowo-sukmanna sztuka kukiełkowa pani Zofii o łęczyckim Borucie — „Zapusty"). Potem pani Zofia jest wieloletnim ławnikiem w sądach dla nieletnich, opiekunką społeczną; praktykuje także formy opieki nad potrzebującymi serca dziećmi nie objęte żadnymi odgórnymi formami etatowo-organizacyjnymi.

Powiedziałem: iunctum, więc z kolei — twórczość.

Składa się na nią — choć przecież późno zaczęta — kilkanaście tomów powieści i opowiadań, ponadto formy drobne, a także sztuki radiowe i telewizyjne. Są to utwory bądź bezpośrednio adresowane do dzieci i młodzieży, bądź poświęcone różnym aspektom tej problematyki. Bo nawet książki z założenia „dorosłe", osnute na wspomnieniach wojennych („Punkt na ulicy Różanej", „Transport 77", „Szpital Polowy nr 4" i in.), powstawały bynajmniej nie tylko pod ciśnieniem wspomnień i nie tylko z myślą ocalania od zapomnienia czasu odeszłego, zacierających się w pamięci ludzkiej tragedii i czynów, których nie przechowa Historia Wielka. Bynajmniej — powtarzam — nie tylko z tych pobudek. Chodziło w nich przede wszystkim pani Zofii o przekazanie czytelnikom młodym wzorców. Wzorców postaw, zachowań i temperatury ideowej ludzi pokolenia odeszłego i odchodzącego.

A oto książki niby to letnio-przygodowe, jak np. „Wakacje pod blaszanym człowieczkiem", a w rzeczywistości książki o potrzebie ciepła dla dzieci i rozumienia nader skomplikowanego dziecięcego mikroświatka.

Szczególne miejsce w twórczości byłego ławnika i opiekunki społecznej zajmują książki o młodzieży trudnej — aspołecznej, hippisującej, zbuntowanej, staczającej się w środowiska przestępcze, a więc „Końce w wodę", „Pierwsza runda", „Daleko jabłko od jabłoni", i in. Nie epatują one czytelnika „egzotyką" tego światka, drastycznościami. Nie wywołują owego dreszczyku, który tak kochają miłośnicy kryminałów i kobry, ani uczuć beznadziei czy przerażenia. Przepojone są bowiem wiarą w przewagę w naturze ludzkiej dobra nad złem. Przekonują czytelnika, że w tym wieku nie ma zła samego w sobie, bywają tylko sprzężenia właściwego dla okresu pokwitania totalnego buntu wobec zastanych układów i konwencji w połączeniu z niedostatkiem czasu, jaki mogą tym ludziom w wieku krytycznym poświęcić zapracowani dorośli, bądź z nieumiejętnościami podejścia i fatalnemu w skutkach wkładaniu, trudnej potem do zdarcia, maski oschłości. Powieści Zofii Lorentzowej ukazywały źródła konfliktów i adresowane były do rodziców. Są to — trzeba tu chyba dodać — powieści dobrze napisane, z głęboką wiedzą psychologiczną i zręcznością dramaturgiczną i choć doradcze, bynajmniej nie nudne i mentorskie.

Zbliżamy się do końca przeglądu. Bo oto właśnie, pod koniec życia, pani Zofia pożegnała nas książką inną, niż poprzednie, o znamiennym tytule „Przed i po". To książka — obrachunek z życiem, niejako kompedium refleksji nad sensem egzystencji ludzkiej, nad przemijającymi i wieczystymi wartościami życia, nad humanistycznymi wartościami późnej starości. Mało jest w literaturze równie mądrych i godnych pożegnań ze światem przed progiem Ostatecznego. Jednym z nielicznych jest ostatnią książka wspomnień profesora Władysława Tatarkiewicza, drugą — zmarłej kilka lat temu pisarki, Heleny Dunin — „Na wieczór twego życia przyjdź z własną lampą".

Nie sposób nie przypomnieć kolegom i nie powiedzieć wszystkim, komu wiedzieć należy, że pani Zofia była najbardziej zdyscyplinowanym i najbardziej koleżeńskim członkiem łódzkiego oddziału pisarzy. Póki pozwalały jej siły, pracowała w zarządach poszczególnych kadencji, troszcząc się z wrodzoną żarliwością o sprawy bytowe wszystkich i dla każdego miała serdeczny uśmiech.

I oto przyszło nam odprowadzić panią Zofię po ścieżkach cmentarza ewangelickiego w Warszawie do ziemi i do Nieskończoności. Spoczęła obok swych rodziców na Woli, której przed laty broniła. Żegnając panią Zofię, kiedy przebrzmiały słowa psalmu, mówiłem patetycznie — czy nie zbyt patetycznie — o tym najskromniejszym człowieku, jakiego znałem, lecz ani przez chwilę nie opuszczała mnie myśl o tym, jak krótka bywa pamięć obdarowanych sercem ludzi. Ale, pocieszałem się, długo trwają i pełnią swą służbę książki.

PROZA

REPORTAŻ Z MIASTA UMARŁYCH

Przez wiele dziesięcioleci służyła badaczom i miłośnikom narodowej przeszłości znakomita trzytomowa monografia Kazimierza Władysława Wójcickiego „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą" (Warszawa 1855—1858). Miarą jej popularności była całkowita niemal niedostępność na rynku antykwarskim a wreszcie przedruk techniką fotooffsetową wykonany w nakładzie 500 egzemplarzy przez Drukarnię Narodową w Krakowie w 1974 r. Stosunkowo wysoka cena reprintu i niewielki jego nakład sprawiły, że dzieło Wójcickiego zarówno w oryginale jak i w przedruku znajduje się raczej w bibliotekach naukowych i nielicznych księgozbiorach prywatnych.

Wójcicki przedni gawędziarz i szpargalista, przechował dla potomności wiele źródłowych informacji o przeszłości rodzinnego miasta jego kulturze, życiu codziennym, obyczajach i zwyczajach Warszawy. Staroświecki, trącący już myszką styl przydaje uroku gawędom Wójcickiego, a jego „Klechdy domowe" dziś jeszcze budzą zainteresowanie wśród naszych najmłodszych.

W katakumbach i pod ziemią powązkowskiego cmentarza znalazło ostatni odpoczynek około miliona mieszkańców Warszawy, licząc od uroczystego poświęcenia cmentarza przez biskupa Antoniego Ochęckiego w dniu 20 maja 1792 r. do naszych czasów, gdy cmentarz ten w zasadzie jest już zamknięty.

Stanisław Szenic, erudyta, varsavianista, autor poczytnych książek przedstawił ostatnio swą nową pracę — „owoc wielokrotnych przechadzek po mieście umarłych" — „Cmentarz Powązkowski 1790—1850. Zmarli i ich rodziny". Z tak wielkiej liczby zmarłych, z których co najmniej kilkanaście tysięcy, jak powiada autor, zasługuje na przypomnienie, Szenic wybrał 220 nazwisk, poświęcając im mniej lub bardziej obszerne szkice biograficzne. Ten swego rodzaju słownik biograficzny przypomina dzieje życia pochowanych na Powązkach dostojników duchownych i świeckich, pisarzy i poetów, artystów dramatycznych i rzemieślników, których nazwiska godne są przechowania w pamięci narodu. Lektura dzieła Szenica zdradza, że autor zamierza ogłosić kolejne tomy „cmentarza", które winny przynieść biografie ludzi zmarłych w II połowie XIX wieku.

Czytelników dzieł Wójcickiego i Szenica uderzy niewątpliwie fakt, że Szenic kierował się nie tyle, jak zapowiadał we wstępie, „swą intuicją zamiłowanego varsavianisty", ile przekazem źródłowym odziedziczonym po wielkim poprzedniku. Na 220 sylwetek opublikowanych przez Szenica aż 183 opracował już wcześniej Wójcicki, do stanu wiedzy o zmarłych pochowanych na Powązkach dodał więc zaledwie 37 nowych życiorysów, z których zresztą takie jak np. arcybiskupa Franciszka Skarbka Malczewskiego czy generała Józefa Zajączka pominął Wójcicki świadomie ze względów patriotycznych.

Mimo wszystko „Cmentarz Powązkowski" w ujęciu Szenica spełnia zadanie jako źródło informacji o zasłużonych dla kraju obywatelach, a, miejmy nadzieję, w dalszych tomach opracowania znajdzie się wiele informacji źródłowych, anegdotycznych i obyczajowych. Zresztą mimo kompilacyjnego charakteru praca Szenica rozszerza stan wiedzy zarejestrowanej przez Wójcickiego, bo też od tamtych czasów nastąpił ogromny postęp w badaniach historycznych, ukazało się wiele nowych opracowań wykorzystanych przez Szenica znakomicie.

W książce Szenica, w przeciwieństwie do chaotycznej kompozycji Wójcickiego, układ jest chronologiczny według dat śmierci i pogrzebu. Najliczniej w księdze reprezentowani są wojskowi, wśród których doliczyć się można 16 generałów wielu pułkowników, z tym najsławniejszym: szewcem Janem Kilińskim na czele. Wielu tu głośnych swego czasu poetów: Antoni Malczewski, Cyprian Godebski, aktorów: Wojciech Bogusławski i Bonawentura Kudlicz, Alojzy Żółkowski (ojciec) i Ignacy Werowski, Truskalska i Ledóchowska. Na Powązkach znajdują się groby dwóch prezydentów Warszawy: Stanisława Węgrzeckiego (1845) i Aleksandra Józefa Graybnera (1847). Aż 13 warszawskich lekarzy zasłużyło sobie na biogramy Wójcickiego i Szenica. Wśród życiorysów nie zabrakło też kolei życia osób, wyróżniających się w dawnej Warszawie szczególną popularnością jak np ów 125-letni starzec Franciszek Ignacy Narocki, który na osiem lat przed śmiercią zwrócił się z supliką do bawiącego w Warszawie Napoleona Cesarz udzielił pamiętającemu schyłek XVII wieku starcowi audiencji i przyznał mu dożywotnią rentę w wysokości 100 napoleondorów. Przypomniał także Szenic żebraczkę Katarzynę Mirską, po śmierci uznaną przez pozostałą rodzinę za członka książęcego rodu Światopełk Mirskich. Wśród przedstawicieli różnych zawodów, złożonych na Powązkach, przypomniał Szenic dwóch byłych katów m. Warszawy, ojca i syna Bemów. Pierwszemu z nich, Stefanowi, wręczył nominację na stanowisko kata sam prezydent miasta Warszawy Ignacy Wyssogota Zakrzewski. Wspomniał Szenic o cukierniku Karolu Lesslu, zegarmistrzu Antonim Gugenmusie, złotniku Karolu Lilpopie. Na Powązkach pochowano artystę medaliera Jana Regulskiego, malarzy Antoniego Brodowskiego i słynnego weducistę Wincentego Kasprzyckiego. Przy tej okazji warto by może poddać rewizji powtórzone i przez Szenica jakoby Kasprzycki przez całe życie borykał się z biedą. Tymczasem w księgozbiorach publicznych i prywatnych do dziś trafiają się cenne książki, stanowiące ongiś własność malarza. Sam posiadam przynajmniej kilka książek pochodzących z tegoż księgozbioru, wyróżniających się pięknem opraw w stylu empire i biedermeier, świadczących o dobrym smaku kolekcjonera.

Należy mieć nadzieję, że po uwspółcześnionej przez Szenica monografii Wójcickiego pojawią się kolejne tomy, zawierające biografie pochowanych na Powązkach wybitnych ludzi „złączonych nierozerwalną więzią z narodem, jego kulturą i historią".

ANDRZEJ KEMPA

Stanisław Szenic, Cmentarz Powązkowski 1790—1850. Zmarli i ich rodziny. Warszawa 1979 Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 480, zł 180.

LAUR DLA SIR LAURENCE'A

Już nie po raz pierwszy w cyklu „Teatr telewizji na świecie" Laurence Olivier przedstawił nam najlepszy brytyjski spektakl roku. Osoba rekomendującego to żywa legenda teatru angielskiego, ciesząca się na całym świecie najwyższym uznaniem.

Nie umiałbym wręcz powiedzieć, czy sir Laurence jest lepszym aktorem czy reżyserem. W obu dziedzinach działalności twórczej sięga szczytów. Dziś człowiek siedemdziesięciotrzyletni wciąż jeszcze zachowuje aktywność i prezentuje najwyższy kunszt aktorski. Już aby tylko jego podziwiać warto było obejrzeć sztukę Jamesa Bridie „Laurowa Daphne", zaadaptowaną ostatnio dla telewizji, ale której prapremiera sceniczna odbyła się w Londynie w 1949 roku.

Dafne, piękna nimfa z najbliższego otoczenia Artemidy, jest jedną z bohaterek „Przemian" Owidiusza. Zakochał się w niej szaleńczo Apollo i opanowany namiętnością zapragnął ją posiąść. Ścigana przez niego Dafne uratowana została przez Zeusa, który zamienił ją w drzewo laurowe. Odtąd laur stał się ulubionym drzewem Apollina, a jego liście służą nie tylko jako przyprawa do potraw, ale także do wieńczenia artystów za wybitne dzieła.

Tu wtrącić muszę uwagę, że słowo laur (lub wawrzyn, to to samo) brzmi po grecku właśnie daphne od imienia nieszczęsnej nimfy. Tytuł „Laurowa Daphne" nie jest więc najszczęśliwszy, bo to tyle, co masło maślane.

Ale przejdźmy do sztuki Jamesa Bridie, która choć rozgrywająca się we współczesności, wywodzi swoje posłanie właśnie z owego mitu starogreckiego o nimfie i oczarowanym nią bogu! Być może wielu telewidzów przyjęło ją niechętnie, bez zrozumienia. Istotnie nie jest to utwór najłatwiejszy, a przede wszystkim utrzymany w konwencji, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni. Zadajmy sobie jednak pytanie, czy słusznie odrzucać to, co wydaje nam się dziwaczne, bo nie mieści się w granicach zakreślonych przez nasze przyzwyczajenie? Czy nie powinniśmy raczej zastanowić się i starać zrozumieć?

Przy pozorach realizmu jest „Laurowa Daphne" swoistym odkształceniem rzeczywistości, poetycką metaforą, która dozwala bohaterom sztuki zachowywać się niezgodnie z naszym doświadczeniem życiowym. Jeden z bohaterów sztuki, młody Polak, któremu autor nadał niemal symboliczne nazwisko Piast (gra go Clive Arrindell), jest jakby przeniesionym w dzisiejsze czasy Apollinem. W podrzędnej knajpie na Soho spotyka podpitą pięćdziesięcioletnią damę (znakomita kreacja Joan Plowright) i ulega tak wielkiej fascynacji jej osobą, że przestaje kierować się rozsądkiem.

Rolę Zeusa, który powstrzyma namiętny pościg rozkochanego młodego człowieka, spełnia sędziwy mąż owej damy, sir Joseph (wykonawcą tej roli jest sam Laurence Olivier), uosobienie mądrości życiowej i trwałej miłości do ekstrawaganckiej żony. Dzięki niemu młody człowiek trochę oprzytomnieje i zaniecha bezsensownego tropienia starszej pani.

Wspomniałem, że sztuka Jamesa Bridie (należy tu jeszcze dodać nazwisko reżysera przedstawienia, Warisa Husseina) może wydać się nam dziwaczną. Świat powołany do życia przez autora nie kieruje się bowiem prawami dosłowności. Zachowanie się występujących w nim postaci i wypowiadane słowa traktować należy jako projekcję najskrytszych uczuć, niezrealizowanych marzeń, psychicznych dewiacji. Nad tym wszystkim unosi się duch poezji i dyskretnego humoru, jakże typowego dla Anglików.

Tak! Niezależnie od świadomych odstępstw autora od realizmu, abstrahując od owej mgiełki, przez którą spoglądać nam każe na bohaterów sztuki, jest w „Laurowej Daphne" zakodowana angielskość, cały zespół cech charakterystycznych właśnie dla tego narodu. Dlatego tak trudno nam nieraz identyfikować się z występującymi na ekranie postaciami, z ich sposobem bycia i wyrażaniem swoich uczuć.

Owo nałożenie się na siebie poetyckiej metafory i angielskiej rodzajowości, niczym dwóch klisz, mogło właśnie utrudnić nam odbiór widowiska. Sądzę jednak, że wrażliwszy odbiorca dopatrzył się swoistego uroku w przedstawieniu, usprawiedliwiającego rekomendację sir Laurence'a. Ci wszyscy zgodzą się ze mną, że należy przyznać liście laurowe, zerwane z drzewa daphne, przede wszystkim Laurence'owi Olivierowi, autorowi, reżyserowi i pani Joan Plowright, która tak świetnie prezentuje postać niezrównoważonej psychicznie damy.

Jestem osobiście przekonany, że spektakl teatralny zaprezentowany nam przez telewizję w ostatni poniedziałek należy do bardziej udanych. Jeśli nawet nie satysfakcjonuje do końca widza, nie schlebia mu, to przecież pozostawia uczucie niepokoju, skłania do pewnej skromności. W stosunku do dzieła sztuki skromność jest zaś jak najbardziej na miejscu, a pewność siebie i łatwość odbioru prowadzi do satysfakcji tylko pozornej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TELEWIZJA

JUBILEUSZOWE PREZENTACJE

Jubileuszowi 35-lecia Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych towarzyszą cztery wystawy: prac studentów — eksponowana w galerii szkolnej, pedagogów — w Ośrodku Propagandy Sztuki, autorska Bolesława Utkina (absolwenta szkoły, ucznia W. Strzemińskiego) oraz wystawa fotografii — z historii i teraźniejszości szkoły.

Dwie z tych wystaw pozwalają na porównanie wyników pracy dydaktycznej pedagogów z ich pracą artystyczną, obrazują osiągnięcia dydaktyczne i twórczość indywidualną artystów-nauczycieli akademickich.

W galerii szkoły, która mieści się w gmachu PWSSP, ekspozycja prac studentów przygotowana przez pedagogów ukazuje, jakie wymagania stawia szkoła swoim przyszłym absolwentom i jak wysoki poziom artystyczny muszą osiągać ich studenckie zmagania się z warsztatem specjalizacji. Jednocześnie wystawa obrazuje, jakie związki istnieją w programie dydaktycznym pomiędzy nauczaniem przedmiotów artystycznych i projektowych, a więc kształceniem ogólnoplastycznym i specjalistycznym.

Malarstwo, rysunek, rzeźba, służą zdobywaniu przez studentów podstaw do pogłębiania umiejętności warsztatowych, specjalistycznych. Martwe natury, portrety, studia z natury, studia formy i kompozycji niewiele różnią się między sobą, niewiele mówią o studentach, więcej zaś o dość sztywnym nauczaniu tych przedmiotów, zrygoryzowaniu dydaktycznym. Do prac studenckich przenika niekiedy w zbyt dużym stopniu indywidualność pedagoga. Widać to szczególnie w malarstwie. Wyraźnie odczytuje się w nim formalne związki kształtowania materii malarskiej z doświadczeniami malarskimi nauczyciela prowadzącego pracownię. Czy z tego można uczynić zarzut dydaktyce? Chyba jednak nie. Nauczanie przedmiotów artystycznych opiera się bowiem na jedynej sprawdzającej się formie, jaką jest bezpośrednie przekazywanie przez nauczyciela własnej wiedzy i umiejętności uczniowi.

Porównując studenckie rysunki, obrazy i rzeźby z pracami wykonanymi w pracowniach specjalizujących, zauważyć można mniejsze zainteresowanie studiujących formą malarską, rysunkiem i rzeźbą. Dobrych prac jest niewiele. Czyżby studenci nie zdawali sobie sprawy z tego, że w pracy artysty aparat fotograficzny, nawet jeśli jest pomocny, nie rozwiąże problemów formy? Forma bowiem, a to dokumentuje wystawa pedagogów, jest najwyższym stopniem artystycznego wtajemniczenia.

Jak więc to się dzieje, że pracownie specjalistyczne potrafią wyegzekwować od studentów więcej? Projekty studenckie, od grafiki po biżuterię są naprawdę na wysokim poziomie. Prawdopodobnie ma na to wpływ fakt posiadania przez bibliotekę szkoły wydawnictw, których zawartość (bardzo bogata w zdjęcia o znakomitej jakości), staje się niewyczerpalnym źródłem wzorów, jakie przyswajane i transponowane są przez studentów. Łatwiej im więc pracować nad formą projektową, niż nad formą malarską, czy rzeźbiarską.

Wystawa prac pedagogów obejmuje malarstwo, grafikę, rzeźbę, tkaninę. Eksponaty na nią wybrali artyści-dydaktycy. Prace w znacznej części pochodzą z ostatnich lat. Do ekspozycji zostały włączone obrazy pedagogów, którzy odegrali doniosłą rolę w rozwoju uczelni, a którzy stali się tak, jak ich twórczość — historią. Są to obrazy **Władysława Strzemińskiego, Stefana Wegnera, Mariana Jaeschkego, Lecha Kunki.**

Wiemy, że postawy artystyczne pedagogów łódzkiej uczelni wywodziły się głównie z dwu nurtów: konstruktywizmu i koloryzmu. Konstruktywizm wprowadził na uczelnię Strzemiński, niezwykle konsekwentnym kolorystą był Marian Jaeschke. Wśród obecnych dydaktyków szkoły są wychowankowie i Strzemińskiego i Jaeschkego. Wszyscy oni poszli w kierunku poszukiwania własnej formuły sztuki, własnej formy i wypowiedzi malarskiej, w której odnaleźć można echa ideałów mistrzów. Dla Strzemińskiego w sztuce najważniejszy był problem tworzenia nowej formy, nowej jej konstrukcji. Dla Jaeschkego problem kształtowania formy poprzez strukturę barw. Te dwie idee obecne są w twórczości malarskiej dydaktyków PWSSP. Interesuje ich również przekazywanie w sztuce treści zindywidualizowanych, psychicznych, społecznych, kulturowych, albo też potrzeba wypowiadania się i określania za pomocą tylko formy w stosunku do form już wcześniej zaistniałych, w znacznym stopniu skonwencjonalizowanych.

Złośliwi twierdzą, że obecna twórczość dydaktyków łódzkiej uczelni artystycznej, to nic innego, jak „gładki ekspresjonizm", że nie czuje się w niej faktury i tajników warsztatu, że zbyt daleko odeszła od tradycji. Wydaje się, że nie jest to prawdą, albowiem znać w tej twórczości swobodę wyboru artystycznego, kontynuację doświadczeń konstruktywizmu, koloryzmu, realizmu. Tylko najmłodsi pracownicy dydaktyczni uczelni jeszcze się nie zdążyli określić, jeszcze zbyt dalece cudza forma wnika w ich obrazy i grafiki. Niektórzy z nich nie są znani łódzkim odbiorcom sztuki. Nie mieli jeszcze wystaw indywidualnych, za mało uczestniczyli w wystawach zbiorowych. Podejrzewa się ich o to, że malowali specjalnie na tę wystawę, aby się godnie zaprezentować.

Najliczniej przychodzą oglądać wystawę studenci. Oceniają swoich nauczycieli surowo, choć nieobiektywnie i dość nieodpowiedzialnie. Trudno to zrozumieć, bo już teraz powinni wiedzieć, jaka odpowiedzialność spoczywa na artyście, że musi on pracować, aby stać się artystyczną indywidualnością. Łatwo jest przyjąć cudze doświadczenia, ale postęp i prawda w sztuce wymagają od artysty ciągle innego, indywidualnego obrazowania świata.

Bolesław Utkin był studentem Strzemińskiego. Uczelnię ukończył w 1950 roku. Wystawa jego prac pokazuje, jak mocno identyfikuje się ten artysta z konstruktywizmem spod znaku „a.r.". Jego prace wykonywane w różnych materiałach charakteryzują się ścisłą dyscypliną formalną. Operuje w nich B. Utkin elementami abstrakcji geometrycznej, niegeometrycznej. Barwę i materię podporządkowuje konstrukcji zdynamizowanej, kontrastującej ze sobą w liniach ostrych i miękkich, obrazy w większości są reliefami. Formy prac Utkina bliskie są w znacznym stopniu formom **Strzemińskiego, K. Kobro,** a w abstrakcji niegeometrycznej formom **H. Arpa.** Do pokazu prac dołączył artysta swoje wczesne, studenckie szkice rysunkowe postaci ludzkiej oraz zdjęcia, na których rozpoznać można Władysława Strzemińskiego i jego studentów z lat 1945—50. Korespondują one z fotografiami, które tworzą następną wystawę.

Jest nią mieszcząca się w salonie BWA na Piotrkowskiej wystawa fotografii pokazujących codzienność szkoły na przestrzeni 35 lat. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów pedagogów oraz ze zbiorów uczelni. Ułożone są w cykle i tworzą zbiorowy portret ludzi i pracy. Oddaje on w pełni klimat uczelni, w której powaga togi profesorskiej egzystuje obok bezpośredniości w obcowaniu ze studentami. Ten jakże żywy obraz szkoły jest prawie zupełnie nieczytelny dla niewtajemniczonego widza. Kto nie zna szkoły i jej pedagogów, nie odczyta wszystkich znaczeń fotografii, nie uchwyci ich wartości poznawczej. Pozostanie mu tylko migawkowy, nieokreślony, urywany przekaz o czymś, czego istotę fotografie zaledwie zaznaczą. Kto zaś zna szkołę, odnajdzie we wszystkich wystawach jej prawdziwe oblicze.

MARIA KĘPIŃSKA

PLASTYKA

DZIENNIKARZ CZY REPORTER?

Jeden z recenzentów *Kontrastów*, Jan Rosłan, analizując wydaną książkę Zygmunta Wójcika napisał: *„Suita chłopska" ujawnia nam to, czego jeszcze nie chce przyjąć do wiadomości wielu reporterów: światopoglądową istotę reportażu. Otóż Wójcik wykazuje dowodnie, że literatura faktu od literatury fikcji różni się nie tym, że w przeciwieństwie do tej drugiej opisuje p r a w d z i w e życie, lecz tym, iż unieruchamia je na poziomie pewnej przejrzystej reguły, by nie rzec — schematu. Za reportażem stoi inne, niż za literaturą piękną, rozumienie świata, inny system wartości, inne hierarchie.*

Drugi z recenzentów tychże *Kontrastów*, Jan Kwasowski, opatrując recenzję tomu reportaży Ryszarda Ciemińskiego *Portrety z ram wyjęte* znamiennym tytułem — *Obiecujące niespełnienie*, pisał: *Trudno u Ciemińskiego dopatrzyć się jakiejś zasady organizującej reporterski materiał. Nic nie zdradza poglądów, przemyśleń, czy wreszcie obsesji determinujących wybór tematów, bohaterów, zasad kompozycji i właściwości stylu. Zabrakło w tym tomie spoiwa, które połączyłoby w jedną całość poszczególne utwory i nadało im piętno autorskiej indywidualności.*

Oba fragmenty przytoczonych wypowiedzi można dzisiaj przyłożyć jako recenzencką miarkę do najnowszej książki Ryszarda Ciemińskiego, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą pod tytułem *Pod miejscowym znieczuleniem*. Z zaskoczeniem trzeba stwierdzić na wstępie, że wypowiedź Jana Kwasowskiego nie straciła nic ze swej aktualności również i w stosunku do kolejnej książki Ciemińskiego.

Znaliśmy dotychczas Ryszarda Ciemińskiego głównie jako autora ważkiej i udanej książki o powstaniu i rozwoju Gdyni, *Miasto z morza*. Teraz otrzymaliśmy do rąk płód chyba jeszcze do końca nie gotowy, nie przetworzony w reporterskim zamyśle.

Składa się nań dwadzieścia pięć reportażowych miniatur, zgrupowanych wokół dość ogólnie sformułowanych zagadnień: *Między ludźmi, Sportowe życie, Pod miejscowym znieczuleniem i Zmowa nieobojętnych.*

Prapoczątkiem sprawy, którą postanawia zająć się reporter jest zwykle odbyty już proces sądowy, bądź zakończone prokuratorskie dochodzenie. Informacja o sprawie dociera do reportera poprzez informację prasową, list do redakcji, notatkę sądową i wtedy reporter rusza w teren. Idzie tropem sprawy. Zbiera materiał, opisuje i selekcjonuje fakty. Przytacza relacje głównego bohatera reportażu, świadków zdarzenia, ekspertów, ludzi obojętnych. Powstaje w ten sposób panorama zdarzenia. Obiekt reporterskiej analizy — fakt poddany zostaje skrupulatnej obróbce w reporterskim warsztacie. Nic nadzwyczajnego — powie bezstronny obserwator. Tak, oczywiście. Zwykła sprawność warsztatowa. Jeszcze jeden przykład dobrej roboty.

I to jest właśnie u Ciemińskiego to *obiecujące*. Owe reporterskie poczynania wskazują, że odznacza się autor *Pod miejscowym znieczuleniem* cechami, jakie charakteryzują tzw. rasowego dziennikarza: wrażliwością na ludzką krzywdę i niesprawiedliwość, wyczuleniem na społeczne zło, nieprzejednaniem, a także wnikliwością, uporem i energicznością.

W poszczególnych tekstach, zawartych w książce otrzymamy czytelnik obszerną porcję prowincjonalnej znieczulicy. Tej indywidualnej, popychającej człowieka do zamordowania własnej teściowej. Wszak już jest niepotrzebna, majątek zapisała i tylko mieszkanie zajmuje *(Namawiał, by popełnić robotę)*. W innym wypadku, przyczyni się ona do spowodowania śmierci młodej kobiety, która pod presją matki, „ukochanego" i środowiska podda się zabiegowi usunięcia pięciomiesięcznej ciąży. *(Pod miejscowym znieczuleniem)*. Niezwykle groźna jest także inna odmiana znieczulicy, którą nazwać można — społeczną. Zaniedbanie służbowych obowiązków, niewielkie wprawdzie, prawie niedostrzegalne, brak odpowiednich kwalifikacji spowoduje śmierć pacjentki w szpitalu, ponieważ przetoczono jej krew niewłaściwej grupy. *(Śmierć w probówce)*.

W *Zmowach nieobojętnych* uczestniczymy w dochodzeniu przez krzywdzonego człowieka swoich praw. Będzie to próba uzyskania renty powypadkowej u możnego potentata przemysłowego. *(Życie na złość)*, innym znów razem przeciwstawiamy się eksmisji, społeczną pasją zorganizowanego, ośrodka zdrowia dla dzieci. *(Eksmisja)*, bądź protestujemy przeciwko zwolnieniu starszego likwidatora szkód w PZU, który nie potrafił dogadać się ze wsią. *(Nie szedł ludziom na rękę)*. Wreszcie, obserwujemy proces, ale nie ten sądowy, skutecznego niszczenia tzw. społecznego zaangażowania człowieka, którego życiową pasją stała się higiena wiejskiego obejścia. *(W gumowych butach nie chodził)*.

Znajdujemy się zatem w kręgu spraw, zdawałoby się drobnych, ale mających niezwykle duży społeczny rezonans. Pasja i dociekliwość dziennikarza, tak charakterystyczna dla pracownika działu miejskiego, choć nim Ciemiński nie jest, zawiedzie autora na szlaki reporterskich wędrówek po Polsce. Geografia owych zdarzeń jest bowiem bardzo rozległa. Od Suwalszczyzny po południe kraju.

Tom uzupełniają zawikłane przykłady sportowego życia. Tematy samograje. Znany bokser upija się, rozbija rodzinę i niszczy swoją karierę *(Nokaut)*. Machinacje działaczy przekreślają trud sportowego wysiłku, wypaczają sportowy wynik. Piłkarze sprzedają mecz, itd., itp. Wystarczy zajrzeć do codziennej prasy sportowej.

Wielość i różnorodność tematów reportaży Ciemińskiego narzuca wrażenie, iż zabrakło w tomie pewnej konsekwencji, starannej selekcji, zarówno proponowanych postaci, jak i zagadnień, będących obiektem zainteresowania reportera. Wśród spraw egzystencjalnych, często ostatecznych, takich jak ludzkie życie i śmierć znajdujemy mało istotne, zasługujące na rozwiniętą notatkę prasową, sprawozdanie lokalnego pisma. Razi brak weryfikacji faktów, nie uniknął autor powtórzeń, rozwijania tematów opracowanych już przez film dokumentalny, bądź nawet przez niego samego, jak choćby tekst o Błażeju Rejdaku. Oczywiście powrót do tego samego wątku jest możliwy, ale tylko wtedy, gdy nie warunkuje go sama chęć zobaczenia, co dzieje się dalej z bohaterem reportażu, filmu. Dotknięcia raz jeszcze tych samych spraw, opisania swego wrażenia, jak dzieje się to w tekście o człowieku, który samotnie zbudował kamienny most. *(Jana Stacha pomnik trwalszy od kamienia)*.

Wypada zatem wrócić do stwierdzenia Jana Rosłana, cytowanego na wstępie, że opisywanie autentycznego życia nie wystarcza do napisania dobrego reportażu. Jest to jeszcze jedna książka, którą napisało życie, a reporter pozostał w jego służbie, w służbie społecznej.

Szkoda tylko, że nie spełnił się w twórczym kształtowaniu literackiego materiału, w konsekwentnym tworzeniu jednolitej całości reporskiego bogactwa faktów, postaci i spraw. A więc raz jeszcze „obiecujące niespełnienie". Raz jeszcze przykład znakomitej dziennikarskiej roboty popartej literackimi ambicjami.

JERZY GOS

Ryszard Ciemiński, Pod miejscowym znieczuleniem, LSW, Warszawa 1979, str. 273, cena zł 24.

REPORTAŻ

Obchody 550 rocznicy nadania praw miejskich oraz 150-lecie istnienia Łodzi przemysłowej znalazły w roku 1973 dobitny wyraz w decyzjach władz miasta, powołujących do działania od roku 1975 Muzeum Historii Miasta Łodzi.

ANTONI SZRAM

U ŹRÓDEŁ TERAŹNIEJSZOŚCI

Powstało muzeum, mające swą siedzibę w części pomieszczeń dawnego pałacu fabrykanckiego przy ul. Ogrodowej 15, oraz dysponujące budynkiem przy pl. Wolności 2, położonym obok Ratusza. W budynku tym zlokalizowana była i nadal istnieje pierwsza w Łodzi apteka.

Muzeum nie przejęło w spadku żadnych eskponatów czy dokumentów, umożliwiających pełną i natychmiastową realizację zadań. Dopiero obecnie zbiera się eksponaty, materiały historyczne. W tym celu nawiązane zostały kontakty z wielu instytucjami, urzędami, przedsiębiorstwami, itd., od których, zgodnie z postanowieniami władz miasta, można oczekiwać przekazania części posiadanych materiałów historycznych oraz niektórych eksponatów obrazujących kulturę materialną Łodzi. Zdołano już zgromadzić bibliotekę lodzianów, sporo materiału ikonograficznego, trochę starych druków, dokumentów, interesujących wycinków oraz pojedynczych egzemplarzy prasy. Są to jednak zbiory szczupłe, nie dające możliwości organizowania ekspozycji obejmujących określone problemy społeczne, gospodarcze czy kulturalne. Mimo to muzeum, już w okresie początkowym, prowadziło działalność wystawienniczą oraz kulturalno-oświatową. Wystawy ukazywały teatr, film, malarstwo oraz architekturę Łodzi; odbywały się odczyty, spotkania autorskie.

Równolegle z bieżącą działalnością muzeum przeprowadza remonty i adaptacje dla potrzeb muzealnych części dawnych pomieszczeń biurowych, przejętych po Urzędzie Wojewódzkim, mieszczącym się w byłym pałacu Poznańskiego. Jednym z efektów tej działalności adaptacyjnej jest wyremontowanie i rekonstrukcja znacznej części pomieszczeń muzealnych.

W Muzeum Historii Miasta Łodzi

Foto: R. Łucyszyn

Głównym zadaniem w najbliższym czasie będą prace przygotowawcze do otwarcia stałej wystawy materiałów historycznych, dokumentów, zbiorów rzeczowych, stanowiących dzieła pracy ludzkiej lub narzędzi służących do tej pracy oraz wszelkiego rodzaju archiwaliów, jak: rysunki, obrazy, fotografie, plany zagospodarowania przestrzennego miasta, dających obraz przeszłości miasta w jego złożonych funkcjach gospodarczych, społecznych, kulturalnych. Wystawa ta powinna spełniać rolę popularyzatorską dziejów miasta Łodzi.

Drugi z kolei kierunek pracy będzie koncentrował się na tworzeniu ekspozycji doraźnych, charakteryzujących działalność określonych środowisk i grup społecznych w dziedzinie gospodarczej, kulturalnej, szkolnictwa i opieki społecznej sportu, itp. Ten kierunek działalności wystawienniczej będzie też prezentował szczególne osiągnięcia zarówno poszczególnych osób jak i zespołów.

Kierując się przesłankami ogólnymi, w myśl których na czoło wysuwa się zagadnienie „zabezpieczenia i wykorzystania ruchomych dóbr kultury z terenu łódzkiego województwa miejskiego", Muzeum Histori Miasta Łodzi projektuje zastosowanie układu problemowego. Układ taki pozwoli bowiem na możliwie pełną ilustrację określonych grup zagadnień w oparciu o materiały własne muzeum i znajdujące się w rozproszeniu, często w rękach prywatnych właścicieli, dzieła sztuki, narzędzia i wytwory pracy mieszkaców miasta, itp. obrazujące różnorodną przeszłość historyczną Łodzi i jej mieszkańców. Będą to więc następujące grupy problemowe:

I. — Przestrzeń miasta w różnych okresach. A więc mapy plastyczne terytoriów Łodzi i jej okolic, poczynając od czasów najdawniejszych, tj. od chwili nadania miastu praw miejskich, do chwili obecnej.

II. — Ludność. Osadnictwo łódzkie oraz byt ludności napływowej, w tym próby pokazania stopnia zamożności imigrantów (w ogólnej masie to biedota poszukująca polepszenia swego bytu) oraz ich uzależnienie od sytuacji kraju, np. w okresie kryzysu lat 1844—45.

III. — Tworzenie się świadomości ludności wyrobniczej miasta, powstawanie klasy robotniczej oraz jej walka z wyzyskiem. Łączy się to z dążeniami niepodległościowymi, a po roku 1918 z narastającą walką klasową.

IV. — Struktura organizacyjna miasta i jego władz oraz ich rola i znaczenie w kraju. Wiadomo bowiem, że rola władz miasta w latach powstawania i początkowego rozwoju przemysłu łódzkiego była znaczna, szczególnie na odcinku gospodarczym. Niemałą rolę odegrały władze miasta w dążeniu do stabilizacji osadnictwa łódzkiego oraz w działalności opiekuńczej. Od samego niemal początku osadnictwa przemysłowego władze miasta niosły pomoc imigrantom, również w postaci zatrudnienia i stwarzania możliwości zarobkowych, podejmując na własny rachunek działalność wytwórczą W początkowym okresie władze municypalne miały także wpływ na zabudowę miasta. Rolę tę tracą jednak w miarę rozwoju gospodarki kapitalistycznej. Podejmowały one działalność najczęściej w tych dziedzinach, które ze społecznego punktu widzenia są dla miasta niezbędne, lecz ze względu na ich charakter oraz deficytowość nie znajdowały zainteresowania wśród indywidualnych podmiotów gospodarczych.

Po 1945 roku zakres działalności podlegającej merytorycznie władzom uległ znacznemu rozszerzeniu. Ta różnorodna i szeroka sfera działalności gospodarczej, społecznej i kulturalnej, stanowiąca przedmiot zainteresowń lub decyzji władz miejskich, w różnych warunkach i okolicznościach, a także w różnych okresach znajdzie wyraz w opracowaniu odpowiedniego scenariusza, pozwalającego na prawidłową ekspozycję tej szerokiej grupy problemowej.

V. — Budownictwo i architektura. Zmiany zachodzące w zabudowie miasta skłaniają do zachowania śladów dawnego budownictwa, jego form oraz architektury. Rysunki, plany, makiety, fotografie pozwolą na właściwe pokazanie dokonanych i dokonujących się zmian, zarówno w charakterze użytkowym obiektów, ich rozmieszczeniu i architekturze tak zewnętrznej jak i wnętrz budowli.

VI. — Rozwój rzemiosła, a później przemysłu, handlu, transportu, komunikacji. Całość tej problematyki przedstawiona będzie w rozwoju historycznym, poczynając od działalności rzemieślniczo-cechowej, poprzez pierwsze manufaktury i przedsiębiorstwa organizowane i czynne w Łodzi.

VII. — Kultura i sztuka. Będą to wystawy dotyczące: literatury, prasy, teatru, muzyki i związanych z tymi dziedzinami sztuki imprez. filmu oraz twórczości plastycznej. Znajdzie się tu miejsce dla obrazów plastycznych Łodzi, np. placów, ulic, budowli, a także ilustracji obyczajów mieszkańców, ich życia kulturalnego, folkloru wyrażającego się w literaturze, widowiskach teatralnych, malarstwie, fotografii, filmie.

Przedstawiony wyżej program realizacji podstawowych zadań muzeum jest dość trudny. Przyczyny trudności leżą głównie w szczupłości własnych materiałów muzealnych. Muzeum musi więc wykorzystywać materiały znajdujące się w rozproszeniu na terenie łódzkiego województwa miejskiego. Pracownicy muzeum podejmują zabiegi zmierzające do pozyskania odpowiednich materiałów historycznych, mogących stanowić przedmiot ekspozycji muzealnej. Poszukiwane materiały, wzbogacając istniejące zbiory, będą włączone do wystaw, w tym szczególnie wystawy stałej, lub też umożliwią podejmowanie wystawiennictwa problemowo-czasowego.

Obok realizacji zadań związanych z wystawiennictwem, pracami przygotowawczymi do uruchomienia wystawy stałej oraz działalnością kulturalno-oświatową, muzeum prowadzi prace związane z przygotowanym „skansenem kultury robotniczej" na Księżym Młynie. Współdziałało także w powstaniu Muzeum Regionalnego miasta Głowna oraz specyficznej placówki o charakterze muzealnym jaką stanowi oddział muzeum poświęcony działalności Łódzkiej Straży Pożarnej. Przy tak szerokim zakresie zadań, obejmującym wspomniany „skansen", stała wystawa obrazująca historię miasta i jego mieszkańców będzie stanowiła centralny ośrodek naukowy informujący o przeszłości miasta. Muzeum, wraz ze swymi zbiorami, powinno stanowić placówkę inspirującą poczynania i myśli dotyczące przeszłości miasta Łodzi.

STYCZEŃ 1945 roku

Dziw bierze — lecz z pewnością nie podziw — że na historyczne opracowanie dziejów wyzwolenia naszego miasta i jego okolic wypadło nam czekać całych trzydzieści pięć lat. Podaję tę liczbę słownie, by jej kto nie pomylił w korekcie: tak jest nieprawdopodobna. Od tamtych dni styczniowych, które dla wielu łodzian wciąż jeszcze nie mogą być tylko historią, minęło dokładnie 35 lat i — z łaski tak modnego dziś poślizgu wydawniczego, co jak miłość wszystko wybaczy — jeszcze parę tygodni, zanim doszła do naszych rąk książka pod tytułem: **„Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej. Styczeń 1945"**, opublikowana świeżo (1980) przez — jakby mogło być inaczej — Wydawnictwo Łódzkie. Przeglądam podaną w tej książce bibliografię i nasuwają mi się dwie refleksje. Pierwsza jest łódzka: jakże niewiele można wyliczyć publikacji, odnoszących się bezpośrednio do dziejów wyzwolenia naszego miasta! Ileż więcej uczyniono pod tym względem gdzie indziej, również w ośrodkach nie-uniwersyteckich, gdzie jest już po kilka poważnych prac, poświęconych dziejom wyzwolenia! Aż zazdrość bierze, a jednocześnie żal, że mimo wszystkich jubileuszów i nader rozlicznych okazji, te jakże ważne chwile z najnowszych dziejów Łodzi i okolic tak długo nie zwracały na siebie uwagi profesjonalnych historyków.

Druga refleksja jest ogólniejsza. Niestety sprawdza się — na naszych oczach — smutna krytyczna refleksja znakomitego naszego uczonego, prof. dr Stefana Kieniewicza, który zauważył nie tak dawno temu, że pomimo wszystkich wezwań i nawoływań do zajmowania się dziejami czasów rzeczywiście najnowszych, w praktyce od czasu wydarzeń, będących przedmiotem zainteresowania historyka, do czasu ukazania się ich naukowego opracowania mija dziś więcej lat, aniżeli dawniej, nawet przed wojną. Gdyby niegdyś trzeba było czekać tak długo, jak obecnie, nim jakie zagadnienie z dziejów najnowszych wejdzie na warsztat historyków, zapewne do końca dni II Rzeczypospolitej nie powstałaby żadna poważniejsza książka o I wojnie światowej: nie starczyłoby na to czasu. Niepokojącym zjawiskiem jest, że ów i tak przydługi dystans czasowy od zdarzeń, do możliwości ich naukowego opracowania — bowiem chodzi tu nie tylko o chęci, ale i o owe możliwości — wydłuża się u nas coraz bardziej, co jest absolutnie sprzeczne z ogólnymi tendencjami rozwoju badań historycznych w innych krajach, zarówno socjalistycznych, jak kapitalistycznych. Nie jest to sytuacja zdrowa, należałoby więc poważnie zastanowić się nad tym, jakie przedsięwziąć środki, by uległa wreszcie zmianie.

Autorami pracy o wyzwoleniu naszego miasta i okolic — termin „Ziemia Łódzka" został użyty w tytule tej książki umownie, na oznaczenie obszaru dawnego województwa łódzkiego — są dwaj łódzcy historycy młodszej generacji: **Kazimierz Badziak i Włodzimierz Kozłowski.** Zawdzięczamy im rzecz naprawdę wartościową: opartą o stosunkowo szeroką podstawę źródłową, zawierającą ogromną liczbę różnego rodzaju zweryfikowanych faktów, przynoszącą obraz zdarzeń, składających się na dzieje owych pamiętnych dni styczniowych. Rzecz jest ujęta raczej tradycyjnie: autorzy rozpoczynają od wojskowo-geograficznej charakterystyki interesującego ich terytorium, po czym rozpatrują plany walczących ze sobą stron, by następnie przejść do omówienia działań I Frontu Ukraińskiego na południu Ziemi Łódzkiej, I Frontu Białoruskiego w bojach nad dolną Pilicą, Bzurą i Rawką i w końcu do prezentacji dziejów operacji radomsko-łódzkiej i wyzwolenia naszego miasta. Dwa ostatnie rozdziały książki zostały poświęcone dalszym walkom I Frontu Białoruskiego oraz II Armii Wojska Polskiego na Ziemi Łódzkiej. Pracę zamyka zwięzłe zakończenie, po którym następują przypisy, bibliografia, indeks dat wyzwolenia ważniejszych miejscowości Polski centralnej, indeksy i mapki. Całość została nader starannie ogłoszona przez Wydawnictwo Łódzkie, które z pewnością będzie mogło zaliczyć tę książkę do swych sukcesów edytorskich

Jeżeli jednak lektura tej nader interesującej książki pozostawia mi wrażenie niedosytu, to dlatego, że mam nieco inną, niż jej autorzy koncepcję tego, jak należałoby pisać podobne prace.

Otóż autorzy tej książki zaprezentowali w niej udany — jak podkreślam — opis wydarzeń w porządku, w jakim one rzeczywiście następowały, opis pewnego ciągu dziejowych zaszłości — indywidualnych, niepowtarzalnych, ważnych. Rzecz wszakże w tym, czy tego rodzaju opis jest tym, na czym historyk powinien poprzestać. Wielu historyków, nawet przedniej marki, jest zdania, że opis jest podstawowym celem pracy historyka Ja — i nie tylko ja jeden — myślę jednak, że rzecz ma się nieco inaczej: winien on być środkiem dla historycznego wyjaśnienia.

Do tego trzeba jednak czegoś więcej, aniżeli tylko najbardziej nawet precyzyjnej rekonstrukcji zdarzeń, trzeba przyjęcia innej optyki oglądu rzeczywistości, trzeba analiz, osadzonych w konkretach ówczesnej społecznej rzeczywistości. Tego zaś w tej książce nie ma. Mamy w niej prezentację kolejnych działań i kontrdziałań na wojennym froncie — co z całą pewnością jest cenne — mamy też konieczny opis rezultatów owych działań — co z całą pewnością jest potrzebne Ale obraz całości wygląda mniej więcej tak, że złośliwiec mógłby zatytułować tę książkę nie Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej", ale „Jak nam wyzwolono Ziemię Łódzką"! Brakuje tu społeczeństwa, zarówno polskiego, jak — rzecz to wcale nie wstydliwa — i niemieckiego, brakuje owej społecznej rzeczywistości, w której dokonywały się opisywane przez autorów działania i która z całą pewnością miała istotne znaczenie dla nich samych. Konwencja wojskowo-wydarzeniowa, przyjęta przez autorów w ich opisie jest stanowczo zbyt wąska, aby zmieścić w niej całokształt problematyki, składających na kompleks zagadnień, zasygnalizowanych w tytule książki Społeczeństwo — w całym swym zróżnicowaniu klasowym, narodowym, politycznym i wszelkim innym — nie może być przez współczesną historiografię traktowane jako nieistotne, bierne tło dla rzeczywiście ważnych wydarzeń, dokonujących się na wojennym froncie. Ponieważ całościowe ujmowanie ważnych historycznych zagadnień, w perspektywie historii społecznej, jest wciąż często bardziej postulatem, niż dziejopisarską rzeczywistością nie od rzeczy było — jak sądzę — przypomnieć o tym przy okazji lektury interesującej i wartościowej — jak podkreślam — książki młodych łódzkich historyków. A może, gdy dojdzie do następnego wydania tej pracy, pokuszą się oni o rozszerzenie swego historycznego ujęcia?

ANDRZEJ F. GRABSKI

EGIPT

KOCIOŁ POD CIŚNIENIEM

Izolacja reżimu sadatowskiego w samym Egipcie rośnie z dnia na dzień. Wewnętrzne siły opozycyjne ogarniają coraz szersze kręgi społeczeństwa i krzepną organizacyjnie. Wiodący działacze społeczno-polityczni i państwowi zjednoczyli się niedawno w opozycyjny front antysadatowski i występują przeciwko normalizacji stosunków między Arabską Republiką Egiptu (ARE) i Izraelem, przeciwko amerykańskiej dominacji w kraju i żądają zagwarantowania swobód demokratycznych.

Rządzący reżim i prezydent Sadat widzą w tej sytuacji groźne niebezpieczeństwo, tym bardziej, iż nie mogą całkowicie polegać na armii, w której także narasta niezadowolenie. Sadat pokłada więc całą nadzieję w siłach bezpieczeństwa wewnętrznego, które w ostatnich czasach powiększono do 250 tysięcy ludzi. Przeznacza się je nie tylko do tłumienia antyrządowych wystąpień ludności, lecz także, jeśli zajdzie potrzeba, do przeciwstawienia się niepokojom w armii egipskiej. Taka sytuacja o czymś świadczy.

W związku z tym warto poświęcić nieco miejsca kwestii: reżim — armia. Otóż w grudniu ub. roku 172 oficerów, w tym jednego generała, przeniesiono w „stan spoczynku". W rzeczywistości była to czystka. Prowadzono ją na osobiste polecenie Sadata, na podstawie „spisu nieprawomyślnych", sporządzonego przez wiceprezydenta Mubaraka odpowiedzialnego za działalność służb wywiadowczych, infiltrujących egipskie siły zbrojne. Blisko połowę osób, których nazwiska figurowały na spisie, zwolniono za „niedostateczną przychylność dla normalizacji stosunków z Izraelem". Czystka była jednym z pierwszych punktów w ogólnym programie przygotowań reżimu sadatowskiego do oficjalnego nawiązania, w dniu 26 lutego br., stosunków dyplomatycznych z Izraelem i wzajemnej wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych na szczeblu ambasad.

Inni oficerowie trafili na czarną listę za odmowę wzięcia udziału w rozprawie sądowej przeciwko generałowi asz-Szazliemu, szefowi sztabu generalnego armii egipskiej podczas wojny październikowej 1973 roku (chodzi o przygotowywany obecnie proces — red.). Gen Szazli przebywa na emigracji i rozprawa z nim nosi charakter nie wojskowy, lecz polityczny generał publicznie oświadczył o zerwaniu z reżimem Sadata i od tego czasu występuje z ostrą krytyką politycznej linii oficjalnego Kairu. Oficerowie ci odmówili także goszczenia w swoich oddziałach ministra obrony Izraela podczas jego wizyty w ARE, jak również otwarcie występowali przeciwko włączeniu egipskiego ministra obrony w skład biura politycznego Partii Narodowo-Demokratycznej (partia rządząca — red.), co było by sprzeczne z konstytucja kraju.

Stymulowana przez reżim działalność prywatnego kapitału i przenikanie zagranicznych monopoli do ekonomiki Egiptu ze **szkodą dla sektora państwowego**, wzbudzają zdecydowany protest ze strony postępowych sił kraju. Ekonomiczna polityka „infitach", po arabsku: „polityka otwartych drzwi", funkcjonująca już pięć lat, przekształciła sektor prywatny, wraz z zagranicznym kapitałem, w „fundament ekonomicznego rozwoju kraju". Rządowy system podatkowy odpowiada tylko interesom właścicieli kapitału, ograniczając jednocześnie prawa robotników, chłopów i urzędników.

W handlowym centrum Kairu, przy ulicy Kasr ań-Nil, każdego dnia kłębi się tłum Egipcjan. Ustawiają się w kilometrową kolejkę przed biurem jordańskiej i libańskiej kompanii lotniczych w nadziei zdobycia biletu na samoloty, lecące do Bejrutu i Ammanu, skąd zamierzają przedostać się do krajów Zatoki Perskiej. W ogromnej większości są to chłopi, którzy porzucili wsie pogrążone w nędzy i chorobach. Mają nadzieję znaleźć w innych krajach „dobrobyt", który Anwar Sadat obiecywał niegdyś Egiptowi. Jednak polityka ekonomicznej „liberalizacji" i pokój z Izraelem nie spełniły ani jednej z obiecanek Sadata. Mimo gwałtownego przypływu zagranicznych kapitałów, Egipcjanie stanęli w obliczu inflacji, nieograniczonego wzrostu cen, spekulacji, czarnego rynku i fantastycznej korupcji.

Tak zwana liberalizacja ekonomiki rozwiązała ręce importerom i spekulantom, zgarniającym bajeczne zyski. Rynek pęka od importowanych towarów. Tańsze wyroby krajowej produkcji znikły ze sklepów. Ceny skoczyły do niewiarygodnego poziomu. Inflacja sięga 60 procent rocznie, podczas gdy płace pozostały niezmienione od 1973 roku. Kryzys mieszkaniowy dopełnia miarki.

Kair — pisze reporter rzymskiego dziennika „Paese Sera" — jest jak gdyby zwierciadłem wszystkich plag dzisiejszego Egiptu: brud, chaos, nędza i przeludnienie. Każdy dzień przybliża stolicę do przepaści. Służby miejskie praktycznie nie istnieją. Na liczbę co najmniej 10 milionów mieszkańców stolicy przypada zaledwie 11 tysięcy autobusów. Nędza osiągnęła rzadko spotykane rozmiary: nocny przechodzień co krok potyka się o ludzi śpiących na jezdniach i trotuarach, co noc dziesiątki Egipcjan giną pod gruzami walących się, zwietrzałych, przeludnionych domów. A jest ich w Kairze mnóstwo.

Kair dla tych, którzy w nim mieszkają jest koszmarem, a dla reżimu kotłem parowym pod wysokim ciśnieniem, który każdej chwili grozi wybuchem. Echa wydarzeń ze stycznia 1977 roku jeszcze nie ucichły. Wówczas to, w ciągu kilku liczonych minut, we wszystkich dzielnicach miasta wybuchło powstanie. Interweniowało wojsko, były setki zabitych i rannych, aresztowano tysiące osób. Dotąd odbywają się procesy sądowe tzw. komunistycznych prowokatorów powstania. Zakim Murad, sekretarz partii komunistycznej, który zginął niedawno w wypadku samochodowym, spowodowanym zdaniem opozycji przez władze, powiedział swego czasu: „Nie było żadnych prowokatorów. Powstanie wybuchło spontanicznie. Egipcjanie wyszli na ulice ze strachu przed głodem. To może się powtórzyć jeśli sytuacja będzie się pogarszać".

Aparat represyjny czeka w pogotowiu. W ciągu ostatnich dwóch lat Sadat rozbudował siły policyjne i „oddziały specjalne do walki z zakłócaniem porządku". Ustawy o stanie wyjątkowym pozostają w mocy, chociaż zniesiono już stan wojny z Izraelem. Trybunały wojskowe mogą nadal podejmować kroki w zakresie tłumienia opozycji, w jakiej by się ona formie nie przejawiała. Kogo boi się Sadat? Sadat jest dziś bardzo niepopularny, co więcej, mimo oficjalnych danych o masowym poparciu prezydenta, które zresztą uważa się za mocno przesadzone, nie ulega wątpliwości, że jego „inicjatywy" naród egipski przyjmuje z wyraźną niechęcią.

Oczywiście Sadat cieszy się wielkim poparciem kompradorskiej burżuazji, zbijającej ogromne majątki na spekulacjach, którym sprzyja „liberalizacja" ekonomiki. Urzędnicy, którzy zawsze tworzyli w Egipcie kościec społeczeństwa, widząc szybkie pogarszanie się ich sytuacji materialnej, przestali popierać Sadata. Egipska klasa robotnicza z jej starymi tradycjami walki z burżuazją i mocną, spoistą organizacją otwarcie rzuca wyzwanie reżimowi. Mimo rządowych zakazów wciąż wybuchają strajki. Ale dotąd Sadat odpowiadał na nie szybko i „dyplomatycznie": żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się fali zaburzeń, z robotnikami natychmiast podejmuje się rozmowy na temat spełnienia ich żądań, tłumiąc w ten sposób tlące się już zarzewie wybuchu. Niezadowolenie jest powszechne.

Katastrofalna sytuacja, z której Egipt próbuje się wyrwać, jest konsekwencją decyzji o „liberalizacji" ekonomiki, wprowadzonej w interesie międzynarodowych monopoli i miejscowej burżuazji. Według danych Narodowego Banku Egipskiego, jak informuje wspomniany już dziennik rzymski, „większą część środków inwestuje się obecnie w przedsiębiorstwa pracujące na zaspokojenie potrzeb pasożytniczych warstw społeczeństwa. Międzynarodowe monopole i egipska burżuazja szybko znalazły wspólny język i zaktywizowały działalność, kładąc nacisk przede wszystkim na budownictwo, eksploatację kompleksów hotelowych i turystycznych, na rozszerzanie handlu hurtowego, operacje importowo-eksportowe, usługi w zakresie pośrednictwa, słowem — na dziedziny przynoszące im ogromne dochody.

Wielka burżuazja kompradorska odwojowała utracone niegdyś pozycje. Żyje dziś w niesłychanym luksusie, rozdając łapówki na prawo i na lewo, które chętnie przyjmują ludzie odpowiedzialni za ekonomikę. Ogromnego rozmachu nabrała korupcja: uczestniczą w niej najwyżej postawione osobistości. Następstwem bogacenia się burżuazji i nieograniczonego importu jest dalszy spadek i tak już bardzo niskiego, poziomu życia mas pracujących. Polityka „otwartych drzwi" rzuciła kraj na łup zagranicznego kapitału. Sytuacja w Egipcie wzbudza rosnący opór przeciwko kursowi polityki Sadata niemal we wszystkich warstwach ludności, ogarnia cały kraj.

JERZY CZECH

Fellachowie, chłopi egipscy żyją w lepiankach nad nilowymi kanałami pod Kairem jak w czasach faraonów *Foto: J. Katarasiński*

VOLKMAR SIGUSCH

SKALPELEM PO DUSZY

Prof. dr Volkmar Sigusch, lekarz-seksuolog o światowej sławie, wykładowca uniwersytecki i współwydawca kilku czasopism fachowych, jest autorem bardzo interesującego opracowania na temat stosowania metod chirurgicznych w psychiatrii — zamieszczonego w tygodniku DIE ZEIT.

Przed laty przyszedł do mnie młody człowiek ze wsi, homoseksualista, i powiedział, że chce się tylko upewnić. Pewien profesor badał go niedawno i powiedział, że nowoczesna medycyna może usunąć to, co go dręczy, przez prosty zabieg chirurgiczny w mózgu. Badanie trwało około 10 minut, termin operacji został od razu ustalony.

Kiedy ów młody człowiek ze wsi siedział przede mną, początkowo nie chciałem wierzyć w jego historię. Normalnego homoseksualistę, przeżywającego właśnie konflikt, przez który wszyscy muszą przejść — takiego człowieka chcieć tylko z tego powodu poddać operacji mózgu? Kto tu był chory, nienormalny, niemoralny czy niebezpieczny dla otoczenia? Ten człowiek ze wsi?

Dziś wiem więcej, niż chciałbym wiedzieć. W Republice Federalnej Niemiec faktycznie poddawano homoseksualistów takim operacjom mózgu. Dr Gerhard Dieckmann w raporcie Uniwerystetu Saary w 1977 r. wyraził pogląd, że w ten sposób można „kontrolować zachowanie się homoseksualne i dostosowywać je do wymogów społeczeństwa".

Mowa jest o tzw. psychochirurgii, pojęcie to mówi samo za siebie. Jako zabiegi psychochirurgiczne określam operacje przeprowadzane na morfologicznie zdrowym mózgu w celu likwidacji pewnych sfer przeżywania i zachowania się człowieka, wywierania na nie wpływu albo poddania ich kontroli przez zniszczenie tkanki mózgowej lub poddawanie jej bezpośrednim bodźcom. Z zabiegami tymi nie należy mylić operacji podejmowanych w związku z chorobą organiczną, jak np. guzem mózgu.

Chodzi tu o nadużywanie tzw. psychiatrii, ponieważ bez pomocy części psychiatrów hołdujących tzw. psychiatrii biologicznej chirurdzy dawno by już musieli odłożyć skalpel i sondę. W ZSRR zakazano ustawowo takich zabiegów już w 1950 roku. W NRD, „Humanitas", czołowe pismo „medyczno-społeczne", przed paroma tygodniami napiętnowało zabiegi psychochirurgiczne jako nieludzkie... W czołówce międzynarodowej znajdują się psychochirurdzy zachodnioniemieccy. Wiele zabiegów przeprowadzili po raz pierwszy i odkryli nowe „dziedziny ich stosowania". Na swoje konto mogą np. zapisać stereotaktyczną hipotalamotomię, dokonywaną zwłaszcza na ludziach z odchyleniami seksualnymi. Psychochirurdzy amerykańscy, którzy przecież na ogół nie są zbyt drobiazgowi, uważają zresztą tę operację za niewykonalną technicznie. Nie licząc się nawet z taką krytyką, psychochirurdzy zachodnioniemieccy już w 1976 r. propagowali tę metodę jako skuteczny środek „leczenia" strachu i napięć, depresji, schizofrenji, manii prześladowczej, postaw agresywnych, dewiacji seksualnych i skłonności do nałogów.

Operuje się także dzieci, nawet poniżej piątego roku życia. Gerhard Dieckmann, według własnego oświadczenia, w latach 1964—1975 zoperował w ten sposób 37 dzieci. Bardzo wpływowy lekarz indyjski, V. Balasubramaniam, do 1979 roku zoperował przeszło 150 dzieci, które określano jako „agresywne". Przez psychochirurgię rozumie on tę gałąź neurochirurgii, która pozwala „przez operację uspokoić pacjenta i sprawić, by dał sobą kierować". Śmiertelność w wyniku jego operacji wynosiła 8 proc... Oto niszczenie życia przez „sztukę lekarską".

Dzisiejsza medycyna podzielona jest na obozy, z jednej strony somatycy, z drugiej — specjaliści od psychiki. Obozy te są wobec siebie bardziej obce niż np. dentysta wobec instalatora i złotnika, czy internista wobec mechanika samochodowego lub specjalisty od elektronicznego przetwarzania danych. W „erze techniki" ton nadają somatycy — aż do dziedziny klasycznej psychiatrii. Jednakże ich idee fixe — że choroby psychiczne trzeba ostatecznie uważać za wywołane przyczynami fizycznymi — psychochirurdzy wzięli dosłownie, krwawo i śmiertelnie. Problemy psychospołeczne traktują jak problemy organiczne. Ponieważ nie mogą udowodnić swoich twierdzeń, mówią dziś coraz częściej o zakłóceniach f u n k c j i mózgu. Te jednak wymykają się próbówce i mikroskopowi.

Dla nas psychozy, neurozy czy perwersje są chorobami o podłożu psychospołecznym. Ich leczenie, jeśli w ogóle wymagane, musi się odbywać zawsze za pomocą środków psychoterapeutycznych i socjoterapeutycznych. Wszystko inne to albo terapia na wypadek nagłej potrzeby, albo na zasadzie „ultima ratio", tzn. ostatniej szansy terapeutycznej. Jednak właśnie wówczas nie wolno rezygnować z zasad etycznych, przeciwnie, trzeba o nich tym bardziej pamiętać... Psychochirurgiczne operacje mózgu zmieniają bowiem albo znoszą najwyższe duchowe, emocjonalne i społeczne uzdolnienia człowieka. Zawsze powodują nieodwracalne uszkodzenia. Nie można ich stawiać na równi np. z amputacjami kończyn. Nie są terapią w nagłej potrzebie, dla ratowania życia ludzkiego.

Na niebezpieczeństwo zoperowania mózgu naraża się nie „tylko" ten, kto cierpi na lęki, stany depresyjne, jest homoseksualistą, kleptomanem, cierpi na neurozę prześladowczą, albo jest narkomanem i, mając nadzieję, że w ten sposób uwolni się od tych dolegliwości, dostanie się w niewłaściwe ręce.

Udowodniono mianowicie, że w Stanach Zjednoczonych dokonywano zabiegów psychochirurgicznych z powodów czysto politycznych. Rejestrowano przestępców „notorycznych", „używających przemocy" oraz tych, którzy kierowali się motywami politycznymi, jak również terrorystów, porywaczy samolotów i innych kryminalistów lub osoby określane jako kryminaliści. Wśród więźniów wyselekcjonowanych w celu przeprowadzenia operacji mózgu znajdowali się także ludzie uznani za więźniów politycznych przez międzynarodową opinię publiczną, np. przez Amnesty International. Wymienię tu Martina Sostrego i Eduardo „Pancho" Cruza. Dyrektor generalny kalifornijskich zakładów karnych i inicjator projektu zabiegów psychochirurgicznych, Raymond Procunier, już przed kilku laty — raczej niedobrowolnie — przyznał, o co tutaj chodzi. Zapytany o kryteria selekcji, zacytował fragment ekspertyzy dotyczącej jednego z więźniów, przewidzianego właśnie do operacji mózgu: „Ma 25 lat i czyni wrażenie dojrzalszego niż jego współwięźniowie. Zna karate i nauczył go innych; przewodził strajkom i próbował nawet zorganizować w więzieniu strajk generalny; stale otwarcie mówi to, co myśli i utrzymuje kontakty z adwokatami, którzy go zachęcają i przysyłają mu książki o krytycznej treści społecznej". Również Egmont R. Koch przed kilku laty przeprowadził odpowiednie badania i stwierdził, że zespół operacyjny Amerykanina, Vernona Marka, w Massachusetts General Hospital w Bostonie zoperował przeszło 200 kobiet i mężczyzn o takich poglądach.

Wraz z innymi znanymi profesorami medycyny Vernon Mark „uzasadnił naukowo" w „Journal of the American Medical Association", a więc nie byle gdzie, dlaczego „awanturników" i „prowodyrów" należy poddawać operacjom mózgu: ludzie, „winni podpalania, strzałów zza węgła i czynnego zagrożenia cielesnego", cierpią na pewne zakłócenia czynności mózgu. Mark i jego koledzy postulowali dalsze badania w tym celu, żeby takie osoby o niskim progu przechodzenia do przemocy selekcjonować, stawiać diagnozę dotyczącą ich choroby i operować, zanim przyczynią się do dalszych tragedii.

Jeśli ktoś myśli, że w naszym kraju takie sytuacje są niemożliwe, to powinien dokładnie śledzić praktykę psychochirurgów i studiować, słowo po słowie, to, co odważają się mówić. Roeder, jeden z najaktywniejszych psychochirurgów w Republice Federalnej, już w 1971 r. wskazywał na „możliwości łagodzenia beznadziejnych konfliktowych sytuacji osobistych, a może i wykraczających poza sferę osobistą". I dalej: „Przejdźmy od razu do rzeczy i zacznijmy mówić o przestępcach... Jest rzeczą zasadniczo bardzo ważną, żeby ludzi, którzy popadli w konflikt z prawem, bardzo dokładnie badać po tym kątem. Trzeba tu postępować bardzo subtelnie". Jest to dokładnie ta sama postawa, co cytowanych wyżej Amerykanów. Roeder w każdym razie jest pewien, że „przez odpowiednie operacje mózgu można kontrolować, a może nawet likwidować chorobliwą skłonność do stosowania przemocy, prowadzącą do ciągłych przestępstw".

Fritz Douglas Roeder nie jest w Republice Federalnej osamotniony. Wszyscy znani mi zachodnioniemieccy psychochirurdzy są przekonani, że mogą i muszą „leczyć" agresywność swoimi metodami. Wszyscy próbowali tego. Przed czterema laty Gerhard Dieckmann powiedział w wywiadzie dla SPIEGLA: „Przyszedł kiedyś do mnie zamożny biznesmen i prosił, żebym go zoperował, ponieważ jest agresywny i naraża się wszystkim ludziom. Odradziłem mu operację, bo nie widziałem w tym znamion choroby. Ale nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem". Zapytany następnie, czy nie zoperowałby np. „radykała", który koniecznie chciał dostać się do służby publicznej, ale go nie przyjęto i który cierpiał z tego powodu, Dieckman odpowiedział: „Najpierw trzeba by stwierdzić, czy jest chory. Jeśli tak, to operacja byłaby nawet uzasadniona"... Dieckmann wierzy, że należy się zastanowić, czy by nie wziąć pod lupę przestępców „z przyzwyczajenia", terrorystów typu Baadera i Urliki Meinhof, pod tym kątem, czy nie cierpią na dające się zoperować zakłócenia funkcji mózgu.

Rzeczywistość prześcignęła już literackie i filmowe wizje świata całkowicie zuniformizowanego i kontrolowanego, jak u Huxleya czy Orwella albo w „Mechanicznej pomarańczy" Kubricka, rozwój sytuacji wykroczył już poza prostą psychochirurgię. Obecnie hasłem jest ESB — „Electrical Stimulation of the Brain" (elektryczna stymulacja mózgu). Za pomocą elektrod umieszczonych w mózgu na drodze operacyjnej, za pomocą „endoradiosond", systemów telemetrycznych i komputerów można wpływać na uczucia i zachowanie się, można je blokować, warunkować, kontrolować, zdalnie nimi kierować, w dzień i w nocy, 24 godziny na dobę, rok po roku. Amerykańscy uczeni Barton L. Ingraham i Gerald W. Smith, zaproponowali w 1972 r. w poważnym piśmie „Issues in Criminology", aby przestępców zwolnionych warunkowo nadzorować w taki elektroniczny sposób: „Jak roboty, przez naciśnięcie guzika". Komputer pobiera dane psychologiczne z mózgu i w sytuacjach „niebezpiecznych", albo daje sygnał do najbliższej placówki policji, albo zawiadamia kuratora, albo po prostu przesyła impuls elektryczny do elektrod umieszczonych w mózgu delikwenta. Uczeni uspokajają nas że może się to dziać także na „płaszczyźnie podświadomości", tak że nie narusza to „subiektywnego poczucia wolności" osoby kontrolowanej.

Rozwój teorii i praktyki psychoterapii posunął się tak daleko, że od tej strony nie ma żadnych nieprzekraczalnych barier w stosowaniu ludzkich procedur terapeutycznych wobec pacjentów o skłonnościach przestępczych. W Holandii już od 25 lat przestępców z silnymi zakłóceniami osobowości, faktycznie niebezpiecznych, po przeprowadzeniu psychoanalizy leczy się z dobrym skutkiem metodami socjoterapeutycznymi. W Holandii psychochirurdzy w ogóle nie mają szans, podczas gdy u nas uniemożliwiają rozwój humanitarnych metod terapii.

Ustawodawca ma możność zakazania operacji psychochirurgicznych, jeśli uzna się je za niemorealne... Jeszcze ważniejsze jest jednak wyjaśnianie bez osłonek, na czym polega ta technika i potępianie jej przez wielu lekarzy oraz opinię publiczną. Jest w tym szansa dla medycyny, by przypomnieć sobie o swoich zasadach etycznych, właśnie dlatego, że psychochirurgia jest tak niemoralna. Od samych psychochirurgów raczej nie należy tego oczekiwać...

Ja sam jestem pesymistą. Na moc etyczną naszej medycyny nie można liczyć. Na porządku dziennym są eksperymenty na ludziach, mnóstwo jest zabiegów niepotrzebnych, a nawet szkodliwych. Psychochirurgiczne operacje mózgu to nie jednorazowa pomyłka. Jest to nieunikniony wykwit i wyraźny przejaw nadającej ton medycyny technologicznej, nastawionej tylko na ciało, która w obecnych warunkach mogła osiągnąć wyżyny braku miłosierdzia. I właśnie w tym sensie stwierdzam: zagrożeni jesteśmy wszyscy.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POCZTA LITERACKA

Jestem namiętnym czytelnikiem wszelkiego rodzaju „Poczt literackich" w czasopismach społeczno-kulturalnych. Czytam te dobre rady czasem z rozbawieniem a czasem z podziwem. Sam zresztą przed laty prowadziłem „Pocztę literacką" w „Odgłosach" — szybko jednak zrezygnowałem, doszedłem bowiem do wniosku, że się powtarzam. Na dobrą sprawę należałoby młodym adeptom literatury bez ustanku tłumaczyć jedno — że jest to droga śliska, zawodna, niosąca niepokoje i frustracje, których ciężaru niektórzy po prostu nie są w stanie wytrzymać.

Niepewność tego zawodu jest tak oczywista — a jednak setki ludzi krąży wokół owego płomienia, jak ćmy wokół świecy — aby nierzadko spłonąć bezpowrotnie i bez pamięci.

Stendhal do trzydziestego roku życia pisał zupełnie marne komedie wierszem — chciał być drugim Molierem i gdyby zmarł przed trzydziestką, nikt by dziś nie słyszał o takim pisarzu. A przecież jego powołaniem była ta wspaniała proza „Pustelni Parmeńskiej" i trzeba było dopiero czasu, aby to sobie uświadomił. Lub może stało się to przypadkiem?

W roku ubiegłym zadebiutowało w Polsce pierwszymi książkami prawie stu poetów — co najmniej dwa razy tyle zadebiutowało na łamach prasy. Przy najlepszej nawet woli i przy największym obiektywizmie krytyki (a przecież, ani ta wola nie jest najlepsza, ani obiektywizm największy...) — trzy czwarte tych młodych adeptów literatury nie doczeka się nawet wzmianki, ani nie zostanie zauważonych. A mimo to będą pisać nadal, będą oblegać redakcje i wydawnictwa, dopominać się o wydanie swoich następnych książek...

Jan Parandowski napisał kiedyś pięknie: „Krople atramentu biegną w żyłach kultury". Niech więc nas nie przerażają te nowe szeregi pisarzy — nie wymagajmy, żeby wszyscy oni byli od razu na miarę Homera i Petrarki. Niech będzie Odyniec obok Mickiewicza i Rylejew obok Puszkina...

I niech czepiają się ich pretensje i wymagania bieżącej chwili, niech — jak pisze Parandowski — naciska ich zewsząd czas pochłonięty sprawami, które wydają się najważniejsze i najbardziej pilne.

Pisarz zawsze kogoś drażni, gorszy, oburza, zawsze komuś zawadza, przeszkadza, zawsze kogoś jego cień przesłania i komuś nie pozwala urosnąć, zawsze są naglące problemy, o których się jutro zapomni, które dziś jednak wymagają natychmiastowych rozstrzygnięć i sojuszów.

A te sojusze pożal się Boże! Cesarz August pozwolił na zabójstwo Cicerona, któremu tak wiele zawdzięczał, potem zniszczył Corneliusa Galla, potem wygnał Owidiusza, kazał palić książki — tak, tak, — Hitler wcale nie był pierwszy w tym względzie... I nie ostatni — niestety.

Czy pisarze o tym wiedzą? Ależ tak, oczywiście — lecz fascynacja, radość i trud tworzenia mają — jak widać — urzekającą siłę.

Spisuję te refleksje, bo oto kupiłem na bazarze za parę złotych oprawny tom „Biesiady Literackiej", rocznik 1890 i czytając go sobie do poduszki (cóż za urzekająca literatura!), znalazłem również... „Pocztę literacką".

Czytam: „Młodemu aspirantowi — Na pytanie pańskie, czy zawód literacki w naszych czasach jest zyskowny, można odpowiedzieć: tak i nie, zależy to nie tyle od talentu ile od zręczności i sprzyjających warunków. Znamy literatów bardzo zdolnych, którzy z trudnością zdołają zarobić na kawałek chleba, znamy także innych, którzy pod płaszczykiem blagi kryją płytkość umysłu, a mimo to robią dobre interesa".

No proszę! Równe dziewięćdziesiąt lat temu takie panowały stosunki w środowisku literackim! Jeśli więc dziś wzdychamy nieraz nad stanem współczesnych stosunków literackich — to przynajmniej miejmy świadomość, że stoi za nimi stara, dobra dziewiętnastowieczna tradycja. A tradycji burzyć nie należy. Gdyby zresztą ktoś nawet chciał — to mu się i tak nie uda.

WIDOK

Z GALERKI

BERNARD KEPLER

Załatwiałem w tym „Biurze". Rzucam na biurko różę.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

POCHWAŁA MAJSTERKOWANIA

Nieoceniony „Express Wieczorny" opisał niedawno dom pewnego francuskiego inżyniera. Inżynier ma 39 lat, nazywa się Pierre Sarda i osiadł na przedmieściu Brukseli — Rhode-Saint Genese. Pracował uprzednio w NASA jako elektronik konstruktor. Wyposażał między innymi kabinę statku kosmicznego „Apollo" w różne urządzenia sterowane komputerem. I to mu nasunęło pewien pomysł.

Wiadomość przeczytana w „Expressie Wieczornym" jest budująca. Mówi ona o pożytku, jaki niesie z sobą majsterkowanie. Co może sobie i innym zrobić bardzo zdolny majsterkowicz inż. Pierre Sarda wybudował bowiem dom, który „myśli". Jest to po prostu dom, w którym wszystkie urządzenia są sterowane przez centralny, domowy komputer. W sumie komputer nadzoruje 200 różnych czynności. Na przykład, kiedy listonosz wrzuci list do skrzynki, komputer delikatnym sygnałem powiadamia o tym domowników i będzie ich tak długo powiadamiał, aż wyjmą list ze skrzynki. Być może komputer wyda się komuś namolny, ale za to dba o porządek. Sam włącza i wyłącza światło w pokojach, reguluje temperaturę, alarmuje w razie pożaru. Na życzenie gotuje wodę w czajniku, robi kąpiel.

Proszę jednak nie myśleć, że inż. Pierre Sarda postawił sobie taki dom tylko po to, aby imponować i zadziwiać gości. Nie. On uznał, że w domu jest tyle drobnych spraw, jak sprzątanie, ciągłe czegoś włączanie i wyłączanie, porządkowanie, że szkoda na to wszystko czasu, skoro może to wszystko zrobić maszyna. I zainstalował komputer oraz inne urządzenia.

Przyznam się, że zazdroszczę inż. Pierre Sarda, bo też chciałbym mieć w domu takie sprytne maszynki, które spełniałyby moje życzenia. Wiem, że to brzydko komuś zazdrościć, ale co robić — zazdroszczę. Na pocieszenie mam tylko jedno, że od dawna ludzie marzyli już o czymś takim. A czymże miał być stoliczek, który się sam nakrywał, a inne baśniowe domy? Po co zresztą zaraz sięgać do baśni. Współczesny racjonalista, matematyk, publicysta, uczony, a także działacz państwowy Rumunii, Mircea Malita w książce „Kronika roku 2000" (wydanej w Bukareszcie w 1969 roku, polski przekład — Warszawa 1973) utrzymywał zupełnie poważnie, że mieszkania przyszłości będą w „najwyższym stopniu funkcjonalne", wszystko będzie pochowane w ścianach, w podłodze, pełna klimatyzacja, elektronizacja i tak dalej. Czy zatem inż. Pierre Sarda jako majsterkowicz osiągnął już stan, jaki czeka nas dopiero w przyszłości?

Wcale nie muszę jechać do Brukseli, zwiedzać mieszkania inż. Pierre Sarda, aby dojść do przekonania, że postęp w mieszkaniu daje tylko majsterkowiczostwo. Nasi majsterkowicze też mają ogromne osiągnięcia. W innej skali oczywiście. Naszym nie śni się komputer, bo kłopoty z częściami zamiennymi byłyby ogromne, więc lepiej opierać się na technice bardziej prostej. Skrzętna obserwacja wielu praktycznych poczynań w różnych dziedzinach życia dowodzi niezbicie, że im wyższa technika, tym więcej kłopotów. Niech no tylko zabraknie jakiegoś tranzystora, a już całe urządzenie leży. A przy technice mniej skomplikowanej zawsze coś się podpasuje i wszystko gra. Wiedzą o tym wszyscy majsterkowicze.

Na przykład okna. Takie otwierane komputerem muszą być precyzyjne, dokładne, dopasowane. Okna na ogół leżą na budowie i mokną, wypaczają się i już ich później żaden komputer nie zamknie i nie otworzy. A człowiek nie posługujący się wysoką techniką, albo sam dopasuje, albo wezwie majstra z pobliskiej budowy, ten nie tylko okno spasuje, ale jeszcze je zmodernizuje i absurdalne zamykanie zmieni na zupełnie wygodne. Przy myciu okien później nie trzeba budować całej okiennej konstrukcji, tylko normalnie okno otworzyć.

Temperaturę w pomieszczeniach też można regulować bez pomocy komputera. Urządzenia takie wymyślili majsterkowicze od energetyki w godzinach, kiedy nie było energetycznego szczytu i nie mieli co robić, czyli latem. Wymyślić to jednak mało. Ktoś to musi zrobić, aby dla wszystkich domów starczyło — i tego kogoś akurat nie ma. Czym innym jest zajęty. Pozostaje więc nam regulować temperaturę w pokojach sposobem tradycyjnym, dokręcając lub odkręcając zawory przy kaloryferach (jeśli zawory w ogóle działają).

Tych, którzy nie mają smykałki do majsterkowania, pragnę pocieszyć, aby się nie martwili. Zawsze znajdzie się jakiś majsterkowicz, który przyjdzie z pomocą, doradzi, a nawet zrobi za nas. Dobry majsterkowicz potrafi wszystko i nie ukrywa swoich umiejętności przed innymi. Majsterkowiczem może być każdy. Proszę się nie tłumaczyć brakiem zdolności, dwiema lewymi rękami, innymi przeszkodami. Trzeba się starać. W domu zawsze jest coś do zrobienia, a specjalistów coraz mniej. Nie zabierajmy im więc cennego czasu!

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

GOŚĆ W DOM

Pan Kowalski i jego liczna warszawska rodzina często jeżdżą za granicę, korzystając z zaproszeń różnych instytucji, a także osób zaprzyjaźnionych. Z tym zaprzyjaźnieniem to zresztą bywa tak, że już przed wyjazdem ze stolicy pan Kowalski, któremu właśnie kuzynek Kocio załatwił przydział talonu na poloneza, mówi do tegoż Kocia: zaproszenie masz w kieszeni. Już ja tam obgadam co trzeba i jak mur posiedzisz sobie w Paryżu ze trzy tygodnie. Moja w tym głowa!

No i Kocio dostaje zaproszenie od „przyjaciół" francuskich, którzy go na oczy nie widzieli. Pan Kowalski ruszył głową.

Niestety, czasami nie można uniknąć tego, żeby kogoś z owych zagranicznych przyjaciół i „przyjaciół" zaprosić do kraju w trybie rewizyty. W instytucjach zagranicznych też przyjemnie jest przedstawić się jako bardzo ważny reprezentant, taki co to nie tylko zabiera głos, uczestniczy w bankietach, fotografuje się, uświetnia i wpisuje w księgi, ale także zaprasza w imieniu celem dalszego pogłębiania. Instytucje przeważnie traktują takie zaproszenia serio i lubią z nich korzystać, co jeszcze raz świadczy o tym, że ludzie są na całym świecie jednakowi.

Tu zaczynają się zmartwienia państwa Kowalskich. Bardzo przyjemnie jeździ się za granicę, ale rewanżowanie się słynną polską gościnnością bez naruszenia pokazanego tamtym prestiżu i stopy pociąga za sobą mnóstwo kłopotów i kosztów. Panu Kowalskiemu szkoda czasu, mitręgi i pieniędzy; co robić?

Na szczęście urzędy warszawskie stanowią przeważnie szczebel centralny i zależą od nich liczne urzędy „w terenie", czyli w innych miastach. Na szczęście ma się też trochę krewnych, a to w Karpaczu, a to w Zakopanem czy gdzieś na Mazurach. Pan Kowalski łączy się więc telefonicznie z podległą mu jednostką i zapowiada przyjazd delegacji z takiego to, a takiego kraju. Jednostka podległa organizuje naradę roboczą z udziałem głównego księgowego, który radzi jak znaleźć środki, jak je wydatkować, a jak — zaksięgować. Zwalnia się też z pracy dwóch panów, coś tam paru butelkach z przezroczystym płynem stracą trochę panowanie nad sytuacją. Trudno, będą musieli dopłacić z własnej kieszeni i drugi raz oddelegować się nie pozwolą. Panie to owszem, będą zadowolone, może nawet zdobędą zaproszenia do odwiedzenia nowych przyjaciół za granicą. Po wyjeździe gości dyrekcja wykaże, że wyczerpała już wszystkie limity, co nie przeszkadza, że przy najbliższej okazji telefon odezwie się znowu, a w telefonie pełne słowa miętających z przedwojennej nauki języka obcego, oraz dwie atrakcyjne panie, zbyt młode żeby cokolwiek pamiętać. Zwolnieni panowie przeprowadzają wstępną naradę z kelnerami w eleganckim, bo niedawno otwartym lokalu, ustalają szczegółowy scenariusz bankietu, który potem i tak wypadnie zupełnie inaczej, jako że ci sami panowie przy zaufania: dacie sobie radę, kolego... Co z kolei nie przeszkadza, że po dwóch — trzech latach kontrola wyciągnie jakieś papierki spoza tysiąca innych i zacznie się pisanie protokółów po pięćset stron.

Łatwiej byłoby korzystać z własnych krewnych, ale tym trzeba się jakoś odwdzięczać osobiście, a pan Kowalski ma tych długów wdzięczności aż za dużo. Dopóki istnieje „teren", niech się martwi, niech sobie daje radę. Chyba, że...

Chyba że ukaże się zarządzenie, stwierdzające po prostu, że gośćmi zagranicznymi ma się zająć i ponieść odnośne koszty, ten, kto gości zaprosił. Zarządzenie takie właśnie zapowiedziała prasa. No i dobrze. Tyle że pan Kowalski będzie pewnie rzadziej odwiedzał przyjaciół.

ĆWIEK

PS. Niedobrze, kiedy się wytyka błędy, samemu je popełniając. W poprzednim felietonie była mowa o sklepach zamkniętych za wcześnie. Podałem tam, że stało się to 22 kwietnia, a naprawdę chodzi o 12 kwietnia.
Przepraszam!

SPORT

DALEKO DO OPTYMIZMU

Kibic jest istotą nerwową. Szybko ulega zmiennym nastrojom. Po meczu w Turynie piał z zachwytu. Coś się wreszcie zaczęło dziać. Dość długo nasi brali lanie, aż raz się postawili i nie dali. Remis w Turynie uznany został za sukces.

Później był mecz z Jugosławią i na rozgrzane głowy kibiców spłynął zimny prysznic. Kibic się zdenerwował i gotów jest nasz zespół odsądzić od czci i wiary. A przecież Jugosławianom nie przyszło łatwo z nami wygrać. Nie byli tego dnia najlepiej usposobionym zespołem. „Plavi" mają na swoim koncie dobrze notowane zwycięstwa. Mogli wygrać znacznie wyżej, bo i nasi też nie byli tego dnia najlepiej usposobieni. Kibic marzył jednak o remisie. Remis by nas zadawalał. Nawet Jan Ciszewski oglądając mecz w telewizyjnym studio wraz z Edwardem Mikołajczykiem marzył o remisie. Ale nic z tych marzeń nie wyszło.

Ryszard Kulesza z mozołem buduje nową reprezentację Polski w piłce nożnej. Też nie idzie mu to łatwo. Tak na dobrą(?) sprawę, ciągle nie mamy tej reprezentacji. Kształtuje się ona w praktyce, w konfrontacji z różnymi przeciwnikami. Kibic jest jednak pamiętliwy. Pamięta sukcesy i chce, aby na zagranicznych boiskach i w spotkaniach z zagranicznymi drużynami nie było powodów do wstydu. Chce, żeby to były zwycięstwa. W najgorszym razie — remisy.

A nasi nadal przegrywają. Kroniki to odnotowują. Specjaliści kiwają głowami: tak musi być, kiedy tworzy się zespół. Kibice się złoszczą. Znów spada prestiż polskiej piłki nożnej w światowej opinii. Kogo to może cieszyć?

Wszyscy chcemy wiedzieć, czy Ryszard Kulesza idzie dobrą drogą. On też. Dlatego uważnie przyglądamy się reprezentacji, krytykujemy, martwimy się, narzekamy. Bo niby jest tych jedenastu graczy, ale zespołu nie ma. Sprawdza się w bramce Piotr Mowlik. Obrona składa się z najlepszych graczy, jakich mamy w tej chwili w I lidze. Ale ciągle nie jest zgrana. Ciągle jeszcze popełnia błędy. Nie gra ofensywnie. Rajdy naszych obrońców należą do rzadkości. I nie może być inaczej, jeśli oni sami nie czują się najlepiej, najpewniej w poczynaniach defensywnych.

O drugiej linii napisano już niemal wszystko. Jan Ciszewski niemal płakał przed kamerami telewizyjnymi, że musiał zejść z boiska Henryk Miłoszewicz, bo on już w nim widzi lidera zespołu. Czy słusznie? To dopiero pokaże praktyka. Wszyscy z niecierpliwością czekają na powrót Zbigniewa Bońka do reprezentacji. Wiąże się z tym powrotem duże nadzieje. Czy tak będzie? To się znów okaże.

Najsłabszą stroną naszej reprezentacji jest atak. Ataku właściwie nie ma, choć grają w nim obiecujący piłkarze, jak Andrzej Pałasz czy Janusz Sybis. Przesunięcie Grzegorza Lato do drugiej linii pokazało, jak wartościowy to jeszcze piłkarz. Ale Ryszard Kulesza musi już teraz rozglądać się za jego następcą. I dobrze byłoby, aby można było ich znaleźć kilku.

Nie udał się natomiast powrót Andrzeja Szarmacha do reprezentacji. Nie udał się już Jackowi Gmochowi. Nie udał się i Ryszardowi Kuleszy. Ale obecnego trenera reprezentacji Polski można zrozumieć. Nie ma bowiem w naszej lidze dobrych napastników. Każdy, kto umie we właściwym czasie i miejscu podstawić nogę, lub głowę, może być brany pod uwagę. Ale Andrzejowi Szarmachowi udaje się to coraz rzadziej.

Nie ma łatwego życia Ryszard Kulesza. I kibice nie mają łatwego życia. Kibice wybrzydzają, a Ryszard Kulesza bardzo tego nie lubi. Dziennikarze krytykują, a Ryszard Kulesza też tego nie lubi. Można to zrozumieć bo krytyki na ogół nikt nie lubi. Ale Ryszard Kulesza podjął się odbudowania naszej piłkarskiej reprezentacji i robi to publicznie. Każdy, kto działa publicznie dobrowolnie poddaje się pod publiczny osąd. Ryszard Kulesza również. I z tym osądem trzeba się liczyć, bo nie jest wcale prawdą, że tylko trenerzy PZPN oraz Jan Ciszewski znają się na futbolu. Inni też cośkolwiek wiedzą na ten temat. Po co więc zaraz obrażać się na tych, którzy mają inne zdanie i nie patrzą na rozwój naszej reprezentacji z optymizmem?

Tu chciałabym przypomnieć wielki spór na temat innego polskiego piłkarza — Kazimierza Deyny. W pewnym okresie różnica w jego ocenie między kibicami a specjalistami była ogromna. I kto w końcu miał rację? Praktyka pokazała, że jednak kibice. Tym miłym akcentem kończę moje uwagi o aktualnym stanie polskiej piłki nożnej, pozostając z nadzieją, że jednak będzie lepiej. Pytanie tylko — kiedy?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90 438. Telefony: 652 44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 995. G-2.

Załącznik nr. 681...180

HASŁO NUMERU: Nosił wilk razy kilka. Awansowano go na tragarza.

GIEŁDA NOWOŚCI

Na przyssawce

Częstochowskie Zakłady Metalowe DOMGOS wypuściły na rynek rozdrabniacz do jarzyn. Ta sprytna maszynka, poruszana zresztą korbką, ma jedną wadę. Nie nadaje się do użytku. DOMGOS w pogoni za nowoczesnością zamiast tradycyjnej śruby, przy pomocy której przymocowywało się maszynkę do stołu, zastosował przyssawkę. Przyssawka nie trzyma. Ale, aby o tym się przekonać, trzeba maszynkę kupić, płacąc 490 złotych. Jak na eksperyment, trochę to drogo.

Pomysł

Na jeszcze lepszy pomysł wpadła fabryka zapałek w Sianowie. Wypuściła na rynek zapałki bez siarki. Same drewienka. Kupił je — i to w dość dużej ilości — czytelnik „Głosu Pracy", Jan Łazuga z Sarnowa (woj. siedleckie), o czym nie omieszkał zawiadomić redakcji. Zapałki takie można kupić w sklepie GS w Krzywdzie. Być może gdzie indziej też. Czekamy na wiadomość.

SZ. P. ERACZ

I ja chciałem, wzorem pana Michała, spytać mojego docenta, dlaczego nie występuje w telewizji, ale w samą porę ugryzłem się w język. W naszym mieście telewizja jeszcze nie uwiła sobie gniazdka, pytanie moje nie miałoby najmniejszego sensu.

Siedzieliśmy przy jamniczku powoli sącząc perłę chmielową. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła: znów spotkała nas totalna klęska.

— *Chyba już będziemy mieli wiosnę* — powiedział docent. — *Coraz większy tłok w Polmozbycie.*

— *Tak* — potwierdziłem. — *Wczoraj ponad godzinę czekałem w kolejce do myjni.*

— *I co?*

— *Nic. Doczekałem się. Było jednak słabe ciśnienie wody. Samochód nadal brudny.*

— *Mój myje żona. Dla relaksu. Dzięki temu przestała mi grozić mizogamia.*

Znów zapanowało milczenie. Aby je przerwać, rzuciłem mimochodem:

— *A co nowego na twojej uczelni?*

— *Postglacjał. Ale nie mówię tego mała fide.*

— *Domyślam się. Czasami przydałby się knockdown. Albo chirurgiczna kaustyka.*

Docent uśmiechnął się oładO. A ja podniosłem czoło: studiowanie słownika wyrazów obcych zaczęło przynosić plon. Częste spotykanie się z docentem zmusiło mnie wprost do podnoszenia kwalifikacji.

— *Dość skomplikowany jest związek kauzalny. Najlepiej stosować kawacje.*

— *I na uczelniach są typy pitekantropoidalne* — wtrąciłem się.

— *Masz na myśli konkretne osoby?*

— *Nie chciałbym sprawy symplifikować.*

— *Ale symulacja wpływa czasami na remisję...*

— *To są niuanse. Najważniejsze, aby nie uchodzić za kapeadora.*

Docent zamyślił się. Czyżby przypomniał sobie zeszłoroczną wycieczkę orbisowską do Hiszpanii?

— *Daruj mi. Czasami staję się skirtotymikiem...*

Perła chmielowa wyczerpała się. Docent wyciągnął z barku butelkę Napoleona. Serce zabiło mi żywiej.

* * *

To nie był Napoleon spod Waterloo, ale spod Austerlitz! Myśmy jednak zaczęli już zupełnie po ludzku przeżywać nasze osobiste Waterloo!

MAREK ADAM JAWORSKI

NASZE WATERLOO

— *Dlaczego* — wołał docent — *postawiłeś na Arsenal? Southampton nie jest wcale taki zły. Ja bym dał remis.*

— *Dobrze, dobrze, ale ty mówiłeś, że Middlesbrough wygra z Coventry. I co? Moje na wierzchu!*

— *Ale nie przewidziałeś, że Tottenham zwycięży na wyjeździe Wolverhampton!*

— *Ale za to zdecydowanie wypowiedziałem się za Ipswich. Ta drużyna jest ostatnio na fali.*

— *Jak jesteś taki mądry, to trzeba było też przewidzieć, że Aston Villa pokona Nottingham.*

— *Byłem jednak za remisem w spotkaniu Bristol City — West Bromwich.*

— *I za remisem Derby — Leeds. Derby jednak są górą!*

Zdenerwowałem się trochę.

— *Słuchaj, gdybym typował według twego widzimisię, mielibyśmy w najlepszym wypadku siódemkę.*

— *A tak mamy ósemkę. Czyli na jedno wychodzi.*

— *Chcesz zerwać spółę? No powiedz, chcesz? Grajmy w otwarte karty.*

Docent wzniósł kieliszek do góry.

— *Proponuję rozejm. Pokaż, kto tam gra w następną sobotę?*

Wzięliśmy do ręki „Przegląd Sportowy".

— *Bristol City — Bolton. Sześciu ekspertów stawia na gospodarzy, trzech jest za remisem, a tylko jeden faworyzuje Bolton.*

— *A w ubiegłym roku kto zwyciężył?*

— *Bristol City. Cztery na jednego.*

— *Więc jedynka czy krzyżyk?*

— *To i to. Cztery złote. Jedziemy dalej.*

Podsumowaliśmy. Wyszło 4.096 złotych. Cholernie drogi zakład. Spoglądałem na docenta kątem oka. Już chciałem zaczynać naszą analizę od nowa, aby kupon zagospodarować oszczędniej, ale docent skinął głową, po czym powolnym krokiem skierował się w stronę swej biblioteki, skąd wyciągnął swą ostatnią książkę pt.: „Moje epifenomeny".

— *Tutaj trzymam zaskórniaki. Żonę moje dzieło nie interesuje...*

* * *

Nie mówię tego mała fide. Myślę, że gdy spotkamy się w przyszłą niedzielę minie postglacjał, a docent przestanie mnie sekować. Mam zresztą na niego solidny bicz: ostatnio profesor zaproponował mi spółę. Solidną. Pro rata.

P.S. Do czytelnika: jeśli niektórych słów nie zrozumiałeś, zaprzyjaźnij się z docentem. Tylko panu Michałowi wolno!

Rys. Walerian Domański

LIST Z WARSZAWY

JAK NAJSZYBCIEJ ODJECHAĆ!

Każde szanujące się pismo otrzymuje korespondencje z różnych stron kraju i zza granicy. „Załącznik" też się uważa za szanujące pismo i postanowił zamówić list aż w samej stolicy. Nasz warszawski korespondent donosi o tym, co zobaczył na nowym dworcu PKS w Warszawie.

Zobaczył tam brud, śmieci, popękaną wykładzinę kamienną na posadzce i szklaną na ścianach, tłok przed kasami, niedoróbki budowlane i organizacyjne. Nie tak dawno wszyscy cieszyli się w Warszawie z nowego dworca PKS. Teraz wypada się tylko wstydzić. Nasz warszawski korespondent wsiadł więc do swego autobusu i odetchnął z ulgą.

JAN KOWAL

Od redakcji. Wcale nie jest nam przyjemnie, że brudno na dworcach bywa nie tylko w Łodzi.

Rys. Jan Kilkowski

WIOSENNA PRZYGODA

Ze świata

6 MLN DOLARÓW

W związku z inflacją wzrosła wartość człowieka — pisze DPA. W roku 1970 Amerykański Instytut Ubezpieczeń Społecznych ustalił, że wartość minerałów zawartych w ludzkim organiźmie wynosiła 96 centów; dziś określił ją na 7,23 dolara (wzrost o 843 proc.). Pocieszające, że ten najwyższy wzrost wartości dotyczy człowieka...

Istnieją i inne wyliczenia. Jeden z naukowców amerykańskich doliczył do tych 7,23 dolara wartość hemoglobiny, insuliny, materiału genetycznego i wyszło mu... 6 mln dolarów.

Czy w związku z tym zaczniemy się wyżej cenić?

FACHOWIEC NAJWYŻSZEJ KLASY

Niejaki Ronald Biggs, szef gangu, który dokonał „napadu stulecia" (na pociąg w Anglii w 1964 roku), znalazł się po ucieczce z więzienia w Brazylii, gdzie chce założyć Agencję Ubezpieczeń i Ochrony.

„Aby uchronić się przed złodziejami — zaufaj złodziejowi" — tak ponoć brzmi hasło reklamowe agencji.

Koleje angielskie jeszcze nie skorzystały z oferty.

JAK KTO KŁAMIE

Czasopismo „Lui" zdemaskowało kilka kłamstw. Oto, jak według niego kłamią:

Anglicy:

— Nie zawsze pogoda u nas jest taka brzydka jak dziś.

— Jeśli się człowiek przyzwyczai, to kuchnia angielska nie wydaje się wcale taka okropna.

Włosi:

— Nasze wina są równie dobre jak francuskie.

— Ten nowy rząd koalicyjny utrzyma się bardzo długo.

— Nie jesteśmy tak nieuczciwi, jak się o nas mówi.

Biedni:

— Jeśli kiedyś zostanę bogaczem podzielę się majątkiem z przyjaciółmi.

— Jeśli wygram w totka, będę nadal pracował, jakby się nic nie stało.

— Wolę być biedny i uczciwy niż bogaty i nieuczciwy.

Bogaczi:

— Pieniądze nie dają szczęścia.

— Nie wszystko można kupić za pieniądze.

— Nie zostanie mi prawie nic po zapłaceniu podatków.

(za „Forum")

„Nie udzielam wywiadów..."

powiedział Marcie Sztokfisz znany i popularny aktor Zdzisław Wardejn i odbył z nią dłuższą rozmowę. Ale nie było tam ani słowa o teatrze, filmie, grze aktorskiej. Rozmawiano o Człowieku.

TO I TAMTO

Wywiad ukazał się na łamach „Sztandaru Młodych". I bardzo dobrze.

(N. N.)

Dla oszczędnych

Jak poinformowały nas gazety codzienne, wenezuelscy lekarze doszli do wniosku, że telewizja niszczy wzrok i sprzyja przestępczości. Szczególnie u młodych.

Ale również i starszym radzimy, aby nie włączali telewizora. Daje to bowiem ogromne oszczędności: oszczędza wzrok, prąd i przyczynia się do wzrostu społecznego ładu. A poza tym program telewizyjny nie jest wcale taki znów znakomity.

O. G. LĄDACZ

Foto: L. Włodkowski

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYŚLI

Likwidacja własności prywatnej nie powinna obejmować czyjegoś własnego zdania.

Nie nadaży za innymi — kto bez przerwy ogląda się na przebytą drogę.

Nie wolno wręczać batuty takiemu, który potrafi wywijać tylko pałką.

CZESANIE ŁYSINY

O wydeptanych ścieżkach mówi się na ogół źle, ale bywa, że takie mówienie o wydeptanych ścieżkach także jest wydeptywaniem starych ścieżek. Wyglądam właśnie z okna i widzę, jak wiosenni porządkowicze pracowicie przekopują, grabią i zasiewają trawą to, co ktoś w roku poprzednim wydeptał. Ta ścieżka prowadziła do sklepu, ta do przystanku tramwajowego, tamtą można sobie było skrócić drogę do garaży.

Patrzę na to z melancholią, bo wiem, że za miesiąc, dwa, ci sami, którzy teraz kopią, grabią, zasiewają, znów zaczną wydeptywać dróżki do sklepu, do przystanku, do garażu. Tak było rok temu, dwa, trzy lata temu, kiedy sam jeszcze kopałem, grabiłem, zasiewałem i — wydeptywałem. Teraz już tylko patrzę jak porządkowicze kopią, grabią, wysiewają. Nie mam ochoty być Syzyfem — wejdę do akcji, gdy zacznie się wydeptywać, bo tylko ta czynność ma w tej sytuacji jakiś sens.

Czemuż u licha nie zostawić tych ścieżek? Trawnik przed domem nie jest parkowym klombem, na który się patrzy; tutaj ludzie się spieszą i — depczą. Aby trawnik mógł cieszyć oczy nieskazitelną geometrią, trzeba by zlikwidować pośpiech.

Patrzę i złości mnie to likwidowanie wydeptanych ścieżek. To jeszcze jedna czynność zamazująca rzeczywistość, rutynowa, bezmyślna, nie licząca się z realiami.

Przypomina mi to czesanie łysiny, albo też oddawanie bielizny do jednego z punktów pralniczych, z którego bieliznę odbiera się prawie taką samą, jak się oddało.

O. GRODNIK

MAREK NEJMAN

TRADYCJA

Prezes trzymał w lewej ręce tubę, w prawej ściskał naładowaną rakietnicę. Nad brzegiem rzeki falował tłum.

— *Przypomnam regulamin naszego konkursu* — ryknął przez tubę. — *Należy określić dokładnie składniki chemiczne. Nagrody zgodnie z ogłoszeniem...*

Z brzegu odpowiedział mu pomruk aprobaty.

Uniósł w górę rakietnicę i wypalił w niebo. Czekaliśmy w napięciu.

— *Wspaniale!* — wrzasnął ktoś nadbiegając od rzeki — *Cudownie!* Niektórzy już określili kilkanaście związków. Wyprowadzają nawet wzory chemiczne. Jury pracuje całą parą!

— *Panowie* — prezes odłożył na bok tubę — *zgodnie z umową zmuszeni jesteśmy udać się do dyrekcji.*

— *Witamy w naszych gościnnych progach* — dyrektor zakładu zgiął się w ukłonie. Prezes odsunął go zniecierpliwiony na bok.

— *Gdzie protokół wzajemnych zobowiązań?* — zapytał szorstko.

Dyrektor przełykając nerwowo ślinę wskazał oprawną w skórę księgę. Prezes pisał długo i w milczeniu.

— *Jakaś nawałanka z naszej strony?* — nie wytrzymał napięcia dyrektor.

— *W porządku* — burknął prezes — *Spust był terminowy.*

Tamten podskoczył z radości. Strzeliły szampany.

— *Prezesie* — szepnął jakiś chudzielec — *zgodnie ze scenariuszem powinien pan teraz słówko w imieniu naszego zarządu wędkarzy...*

— *No cóż...* — wyjąkał prezes — *nie jest tajemnicą, że zakładowe ścieki wytruły nam wszystkie ryby w okolicy...*

— *No, no* — pogroził palcem dyrektor.

— *Czyż jednak* — zawołał łamiącym się głosem prezes — *mielibyśmy dopuścić, by przywykła do wędkowania miejscową ludność pozbawić tego pożytecznego hobby!? Zamiast więc dotychczasowego „złap w rzece rybę" rzuciliśmy hasło zastępcze „wyłap z rzeki najwięcej związków chemicznych". Dyrekcja zaś zobowiązała się dokonywać spustu nieczystości w grze, kiedy wszyscy bierzemy udział w finałowym konkursie. Każdy były wędkarz chemikiem amatorem".*

Głos zadrżał mu niebezpiecznie.

— *Przecież* — podjął po chwili — *na ławicie śniętych ryb, odrzucając tradycyjną ich ocenę jako wyraz niszczenia naturalnego środowiska, można spojrzeć jak na... zmasowane połowy!*

Przy tych słowach prezes zemdlał i wyniesiono go z sali. Rzeczywiście, niektórym bardzo ciężko przychodzi zerwanie z tradycją.